W NUMERZE:

Odpowiedź zależy od nas

— Myślę, że zrobiliśmy jeszcze za mało. Za mało dociera do nas książek. Taki teatr im. Majakowskiego z Moskwy gościliśmy dobre dziesięć lat temu. Chcemy atrakcyjnych wystaw i dobrze się stało, że dzięki współpracy z Centralnym Muzeum Rewolucji ZSRR w Moskwie możemy w bieżącym roku pokazać „Rewolucję 1905—1907 w sztuce".

(ZBIGNIEW ANTOSZEWSKI)

Moje 35-lecie

Życia ludzkiego nie da się ściśle wtłoczyć w ramki lat, zawsze coś będzie z nich wystawać. Więc powiem tak: urodziłem się w Łodzi, róg Tylnej i Kilińskiego, na zapleczu fabryki Barcikowskiego. I z tych szczenięcych lat wyniosłem miłość do kominów, które są dziełami sztuki na miarę starożytnego Egiptu.

(ZDZISŁAW GŁOWACKI)

Nie zapomnieć o uśmiechu

W „Pinokiu" troszczyliśmy się zawsze o różnorodność i atrakcyjność przekazu. Stosowaliśmy wiele rodzajów lalek: kukły małe i wielkie, jawajki, marionetki i pacynki, lalki mechaniczne i rzeźbione w drzewie, żyworękie, półplastyczne i cienie. Bywał także „żywy" plan i aktorzy w maskach.

(MARTA JANIC)

Wybrany z wybranych

Krytyka wcześnie zwróciła uwagę na (...) szczególny walor twórczości Chopina, jakim jest jej narodowy charakter. Każdy z sygnalizujących ten walor głosów podkreślał, iż ów narodowy charakter utworów Chopina nie czyni ich sentymentalnymi, a jedynie przydaje szlachetnej urody.

(Oprac. EWA PANKIEWICZ)

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 46 (1145) ROK XXII 18 LISTOPADA 1979 R. CENA 3 ZŁ

POZA TYM:

- Poezja
- Kronika kulturalna
- Niezupełnie fantastyczny świat pomyślany
- Cywilne samoloty dla Rodezji
- Przed zmianą warty
- Recenzje
- Felietony
- „Załącznik"

KTO TWORZY NAUKĘ

„ODGŁOSY": — Od II Kongresu Nauki Polskiej i wprowadzonych w tym czasie zmian organizacyjno-finansowych i administracyjnych w nauce minęło już 5 lat. Posunięcia te, spośród których przypomnimy ustalenie rządowych programów badawczych, powołanie ekspertów naukowych, zwiększenie ilości raportów i analiz naukowych, miały w swym założeniu zwiększyć wpływ nauki na społeczno-gospodarczy rozwój kraju. Jednocześnie pociągnęły za sobą ożywioną dyskusję nad kadrą naukową oraz systemem awansu naukowego w naszym kraju. Innymi słowy — zaostrzyły krytyczne spojrzenie na obowiązujący dotychczas model kariery pracownika naukowego. Mówiąc o karierze, mamy na myśli prawidłowy, pozytywny przebieg drogi zawodowej.

Schemat ten od dawna budzi wiele zastrzeżeń. Mnożą się pytania: czy rodzima droga dojścia do stopni i tytułów naukowych jest dziś najbardziej właściwa? Czy sformalizowany proces ubiegania się o te stopnie nie sprzyja prowadzeniu badań i powstawaniu prac „pod doktora" lub „pod habilitację", co automatycznie sprzyja obniżeniu się poziomu tych prac, a więc i samej nauki.

Wzrastającą ilość zastrzeżeń, wątpliwości, często bardzo gorzkich uwag, jakie narastają wokół tych zagadnień, uważamy za zdrowy objaw krytyki środowiska naukowego, troski o poziom tego środowiska i samej nauki. Skoro bowiem nauce przyznaje się coraz większą rolę w rozwoju ekonomiczno-społecznym kraju, nie jest obojętne kto tę naukę tworzy, kto stoi wśród twórców postępu i nowoczesności.

Od kilku lat od przedstawicieli Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki oraz od rektorów uczelni słyszymy wręcz dramatyczne opinie na temat sytuacji kadrowej. O ile bowiem wzrosła w szybkiem tempie (może nawet za szybkim) liczba doktorów, o tyle bardzo powoli zwiększa się liczba samodzielnych pracowników naukowych. Jak wiadomo, w uczelniach powołano Zespoły do Spraw Oceny Kadry Naukowej, które rozważają możliwości szybszego przygotowania rozpraw habilitacyjnych i otrzymywania tytułów profesorskich. Dla przykładu: rocznie w Politechnice Łódzkiej stopień doktora uzyskuje przeciętnie 70—90 osób, a stopnie doktora habilitowanego 3—4 osoby. W Uniwersytecie Łódz-

W dyskusji o awansie w nauce udział biorą:

prof. dr hab. **Adam Bukowczyk** — kierownik Katedry i Kliniki Psychiatrii Akademii Medycznej w Łodzi,

prof. dr hab. **Zdzisław Haś** — dyrektor Instytutu Materiałoznawstwa i Technologii Metali Politechniki Łódzkiej,

prof. dr hab. **Janusz Gościński** — dyrektor Instytutu Ekonomiki Przemysłu Lekkiego Uniwersytetu Łódzkiego,

dr hab. **Aleksander Legatowicz** — adiunkt w Zakładzie Handlu Zagranicznego Instytutu Obrotu Towarowego Uniwersytetu Łódzkiego,

prof. dr hab. **Andrzej Romaniuk** — dyrektor Instytutu Fizjologii i Cytologii Uniwersytetu Łódzkiego.

KOGO TWORZY NAUKA

c. d. str. 8-9

Foto: W. Parys

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

POLESIE

„Mieszkamy już ponad trzy lata w dzielnicy „Retkinia"... — napisali do naczelnika dzielnicy Polesie mieszkańcy Retkini. — *I jako łodzianie chcemy, aby każda dzielnica Łodzi była ładna, dobrze zagospodarowana i dobrze służyła swoim mieszkańcom, ale nie możemy się zgodzić z faktem, że jedną dzielnicę preferuje się kosztem innej...".*

Rejestr pretensji i kłopotów mieszkańców nowych osiedli jest na ogół powszechnie znany. A więc, że z siecią handlową nie jest najlepiej, że brakuje zakładów usługowych, że nieporządek i szwankuje komunikacja. Kilka dni temu „Dziennik Popularny" doniósł na przykład:

„Jak nam sygnalizują Czytelnicy, na Retkini jest tylko damski salon fryzjerski, a mężczyźni muszą szukać fryzjera aż na ulicy Bratysławskiej albo na Dworcu Kaliskim.

W moich rozmowach o Polesiu ciągle wracały sprawy Retkini. Ktoś nawet wyraził wątpliwość:

Dalszy ciąg na str. 3

PODRÓŻ TEATRALNA

MOSKWA • TBILISI • EREWAN • BAKU

JERZY M. FIEDOSIEJEW

Cztery miasta, czternaście dni, piętnaście przedstawień To ostatnie miałoby znaczenie w Warszawie, w samej Moskwie zapewne też. Ale po dodaniu jeszcze Tbilisi, Erewanią i Baku, byłoby rzeczą wielce ryzykowną kuszenie się o jakieś uogólnienia, próby określenia tendencji, precyzowania kierunków. W tym przypadku można pisać tylko o radzieckich spektaklach, nie o radzieckim teatrze. tym bardziej że wybór trudno uznać za reprezentatywny. Każdy z trzydziestu polskich krytyków teatralnych biorących udział w podróży po Związku Radzieckim, kierował się własnymi upodobaniami, zasłyszną opinią, trochę intuicją. Z trzydziestu codziennie granych w Moskwie spektakli mogłem zobaczyć każdego wieczoru tylko jeden. A wieczorów było zaledwie cztery. Szło się przeto, jak należy na autora, na reżysera, na markę teatru. Ale i wówczas mogły się zdarzyć niespodzianki. **„A rankiem się zbudzili..." Wasilija Szukszyna w „Sowremienniku"** ma bardzo wysokie oceny i mnóstwo widzów na miejscach stojących. Mimo to odradzano mi pójście. W ten jeden wieczór, jaki mi jeszcze pozostał do dyspozycji, grała druga obsada. Zaryzykowałem. I słusznie. Aktorsko — majstersztyk. Moskwiczanie jednak kręcili głowami: „Trzeba było zobaczyć pierwszą obsadę. To są dwa różne przedstawienia". Kto wie, może więc w czasie, gdy w Małym Teatrze oglądałem klasycznie wystawione **„Mądremu biada" A. Gribojedowa**, w innym szło coś, o czym usłyszymy wkrótce jak o rewelacji?

Poza dyskusjami był w zasadzie tylko Teatr na Tagance, który bawił właśnie na gościnnych występach w Tbilisi. Stolica Gruzji leżała jednak na trasie naszej podróży. Taganka grała tu m. in. **„Zbrodnię i karę" F. Dostojewskiego** w adaptacji J. Kariakina i reżyserii J. Lubimowa. Najnowszy spektakl. Premiera odbyła się 18 lutego tego roku. Przed gmachem związków zawodowych, posiadają-

Dalszy ciąg na str. 11

TOMASZ SOLDENHOFF

PRZED ZMIANĄ WARTY

Pod znakiem chłodu (atmosferycznego oraz na widowni) upłynęły — trwające od 25 do 28 listopada — Łódzkie Spotkania Teatralne. Zasłużonej dla ruchu teatralnego młodych imprezie stuknęło w tym roku 15 lat. Ten nieczęsto spotykany w studenckim ruchu kulturalnym przykład żywotności zbiegł się w dodatku z dziesięcioleciem łódzkiego Teatru 77 — czołowego polskiego „teatru otwartego" i wieloletniego organizatora ŁST. Oba jubileusze odnotowujemy nie tylko z kronikarskiego obowiązku, ale i ze starej sympatii dla imprezy, która przez szereg lat była rzeczywiście jedną z ważniejszych w naszym kraju platform ideowych i artystycznych dyskusji młodych, a zarazem miejscem burzliwych sporów o bliskie nam wszystkim sprawy współczesności.

Czas przeszły, jakiego tu użyliśmy, każe nam jednak oderwać się od gratulacji i sentymentów, i przejść do konkretów. A te — niestety — są dziś mało budujące. Zapewne dlatego też kolejne, jubileuszowe Łódzkie Spotkania Teatralne nie stały się wydarzeniem.

Jest to tym bardziej przykre, że — jak może nie wszystkim wiadomo — rok 1979 był dla polskiego teatru studenckiego czasem ważnych zmian. Z dniem 1 stycznia cztery najwybitniejsze teatry: łódzki „77", poznański „8 Dzień", warszawska „Akademia Ruchu" i wrocławski „Kalambur" dołączyły do

Dalszy ciąg na str. 2

PRZED ZMIANĄ WARTY

Dalszy ciąg ze str. 1

wcześniej sprofesjonalizowanego krakowskiego Teatru STU, tworząc dostojne grono scen, które — przynajmniej formalnie — utraciły dotychczasowy, amatorski charakter. Nowy, zawodowy już status, uzewnętrznił się przede wszystkim ich organizacyjno-finansową samodzielnością. W ten sposób zapewniono najzdolniejszym przedstawicielom młodego teatru trwałe, materialne podstawy bytu, odsuwając od nich grożące im do tej pory widmo tymczasowości i wiecznej improwizacji. Wszystko to otworzyło przed wymienionymi tu teatrami nowe możliwości rozwoju, artystycznych poszukiwań i warsztatowego samodoskonalenia.

Chociaż teatry te nie odżegnały się zarazem od dotychczasowego swojego, ideowego patrona — Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, to jednak w studenckim ruchu teatralnym, który jest przecież ze swej natury zjawiskiem amatorskim, wytworzyła się poważna luka. Wypełnić ją powinny, rzecz jasna, nowe teatry rekrutujące się spośród „pokolenia, które wstępuje", debiutantów ostatnich 2—3 lat.

XV Łódzkie Spotkania Teatralne pokazały jednak, iż opuszczone przez tak nagle sklasyczniałych liderów pole jest na razie puste. Nie pojawiły się bowiem takie wartości, które dorównałyby przynajmniej najwybitniejszym inscenizacjom polskiego teatru studenckiego z czasów jego świetności — w drugiej połowie lat pięćdziesiątych i na przełomie lat 60—70. Istnieje dość powszechne przekonanie, które te sukcesy wiąże z wyjątkowo ponoć sprzyjającymi aktywności teatru studenckiego okresami polityczno-społecznych przełomów. I chociaż prawdą jest, że w takich to właśnie momentach teatr studencki najsilniej współbrzmiał z rzeczywistością, łącząc w sobie z jednej strony funkcję „barometru nastrojów społecznych", z drugiej zaś rolę przemawiającego odważnym, bezkompromisowym głosem krytyka, ale i inicjatora pozytywnych reform, to jednak balibyśmy się usprawiedliwiać dzisiejszą nijakość tej gałęzi twórczości artystycznej młodych jedynie szarością dnia powszedniego.

Potwierdzony przez XV ŁST impas teatru studenckiego nie polega bowiem tylko na odchodzeniu młodych od — tak charakterystycznej przecież dla tego teatru — odwagi w mówieniu o sprawach złożonych i trudnych, od — szeroko rozumianej — sfery polityczności. Przyczyny słabości młodego teatru tkwią także w wyczerpaniu się pewnych sposobów i form teatralnej wypowiedzi, wprowadzonych przed laty przez dziś już profesjonalne sceny studenckie, a powtarzanych aż do znudzenia przez bezkrytycznych naśladowców. I właśnie podczas ostatnich Łódzkich Spotkań wtórność ta objawiła się ze szczególną mocą: oto z własnej, nieprzymuszonej woli debiutanci-epigoni poddani zostali okrutnej dla nich samych konfrontacji z tymi, którzy te — tak wyeksploatowane dzisiaj — „chwyty" i konwencje przed laty wprowadzali... Konfrontacja ta odbyła się — że tak powiem — w pełnym majestacie i przy udziale świadków, czyli w zgodzie z programowo-organizacyjnymi założeniami Spotkań. Od dwóch lat bowiem Spotkaniom przyświeca szlachetna idea otwartości „wyrażająca się z jednej strony — udziałem zespołów studenckich i profesjonalnych, z drugiej zaś — „poszerzeniem programu spotkań o wypowiedzi filmowców i plastyków" (z wypowiedzi dyrektora ŁST Zdzisława Hejduka zamieszczonej w „Dzienniku Akademickim").

Problem polega na tym, że niedawni debiutanci z teatralnej tradycji nie przejmują tego, co w niej najcenniejsze. Odnosi się to także do tradycji studenckiego teatru. Spośród teatrów, które zaprezentowały się na tegorocznych Spotkaniach, może tylko poznański ST Jan w pewnym stopniu nawiązał do najlepszej tradycji, do formuły teatru politycznego (aczkolwiek z wyraźnym odchyleniem ku parodii, grotesce). W pozostałych jednak w ogóle brak jakiegokolwiek stosunku, brak sprecyzowanej postawy: kontynuacji bądź negacji, czy polemiki. Chyba żeby uznać za „postawę" — naśladownictwo, przy czym szczególnie ulubionym wzorem jest dla najmłodszych Teatr 8 Dnia, z którego wypowiedzi wybierają oni jedynie nerwową ekspresję, potęgując ją w dodatku do niczym nie umotywowanej pseudoartystycznej histerii. Podobnie jest z owym bezustannym niepokojem członków (ze szczególnym uwzględnieniem kończyn dolnych), służącym często tylko wypełnianiu pauz, w których zamiera reżyserska inwencja — z tym ciągłym nieopanowanym chodzeniem, dreptaniem, bieganiem etc., istną już chorobą języka studenckiego teatru.

I tak — mimowolnie — przeszliśmy w tonację humorystyczną, acz wnioski z oglądanych spektakli nie są przecież wesołe. To samo dotyczy wniosków z oglądania... widowni, reagującej jakby na miarę tego chłodu, który panował za oknami. Kiepska frekwencja — zwłaszcza na spektaklach studenckich trzeciego i czwartego dnia Spotkań — jest tylko fragmentem ogólniejszego zjawiska. Otóż przedstawień teatrów studenckich — w całej historii tego ruchu — nie oglądała nigdy tzw. szeroka publiczność. Jest jednak rzeczą ciekawą, że mimo co najmniej ćwierćwiecza historii tego teatru w PRL, nie dokonał się pod tym względem żaden postęp! Zespoły studenckie nadal grają dla garstki, nie zawsze zresztą nawet doceniając fakt, iż ktoś się na ich spektakle pofatygował, wydając na bilety niebagatelne, coraz większe z każdym rokiem sumy (nie zdradzimy tajemnicy informując, iż na XV ŁST wstęp kosztował już 30 i 50 zł).

Burzliwe dyskusje na spotkaniach młodego teatru też — zdaje się — należą już do przeszłości. I tym razem świadomość widzów nie uzewnętrzniła się dyskusjami w rodzaju tych, jakie pamiętają najstarsi uczestnicy Spotkań. Jest zresztą w tym zapewne niemała wina samych twórców, którzy chyba nazbyt wysoką cenę (a jest nią obojętność widzów) płacą za swoje eksperymenty. M i l c z e n i e publiczności jest zjawiskiem niepokojącym (bowiem przy nim teatr umiera...), zwłaszcza, jeżeli się przypomni te piękne lata, kiedy teatr studencki — bez uszczerbku dla swych ambicji, a nawet przeciwnie: z wyraźną dla siebie korzyścią, współbrzmiał z widownią do tego stopnia, iż jego sukcesy były w dużej mierze j e j sukcesami... Ta gorzka uwaga odnosi się — niestety — również do dwóch teatrów, które niedawno otrzymały profesjonalny status: wrocławskiego „Kalamburu" i warszawskiej „Akademii Ruchu".

Błąd „Kalamburu" w spektaklu pt. „Zarys portretu" wg scenariusza i w reżyserii Jerzego Bielunasa polegał na tym, iż o niepokojach i bolączkach towarzyszących wchodzeniu ludzi młodych w życie dorosłych teatr ten mówił w sposób całkowicie pozbawiony autentyczności, natomiast ze złą aktorską manierą, będącą wyjątkowo fatalną zbitką warsztatowej nieudolności, przemożnej chęci spełnienia wymogów aktorstwa zawodowego i — co najgorsze — rutyny. Pytania o to, kto ma naprawiać świat, jak zniszczyć zło, czy istnieje w ogóle możliwość ucieczki poza społeczeństwo, jaka jest treść przyjaźni, wierności, miłości w dzisiejszym zdeprawowanym świecie, otóż pytania te — w takim wykonaniu — musiały zabrzmieć fałszywie i — skądinąd słusznie — nie wywołały rezonansu na widowni.

Z innych powodów odstręczał część widzów spektakl „Akademii Ruchu". „Życie codzienne po Wielkiej Rewolucji Francuskiej" jest swego rodzaju próbą wyłowienia ze strumienia codziennych ludzkich czynności i zachowań elementów, które nadają im — niepostrzeżenie dla samych wykonawców — charakter wiecznie odnawianych rytuałów. Przeniesienie tych czynności w obręb teatru nie służy jednak ich teatralizacji, nobilitacji — poprzez sztukę, ani nadaniu im odświętności, a raczej — jak to określają twórcy — „ukazywaniu samoistnej ekspresji życia", które „mówi samo za siebie", poza „przyjętymi formami przetwarzania i stylizowania obrazu rzeczywistości". Efektem tego jest widowisko, które przy uważnym oglądaniu oddziałuje niezwykle sugestywnie, wciągając widza bez reszty w swój — pozornie tylko mechaniczny — rytm scen, gestów i dźwięków, ale dla mniej cierpliwych obserwatorów może być po prostu... nudne, monotonne i nieatrakcyjne (toteż część z nich wymyka się już po kwadransie, inni zaś po pół godzinie, nie opuszczając sali, zapalają papierosa...). Z tych też powodów wystąpienie „Akademii Ruchu" było podczas Łódzkich Spotkań najbardziej kontrowersyjne.

Na zdecydowanych entuzjastów i równych im determinacją sceptyków podzielił również widzów — już tradycyjnie — kolejny, nowy spektakl poznańskiego Teatru 8 Dnia. Z całą pewnością mógł się on wielu wydać bliski poprzez silnie emocjonalny, napięty ton, demaskatorską pasję i umiejętność budowania efektownych, symbolicznych scen, w których ruch, plastyka i muzyka tworzą sugestywną całość. Czym zaś może oddalać? Chyba ciągle jeszcze nadmiernym zaufaniem do wykorzystujących „łatwe", zbiorowe emocje chwytów, tudzież zbyt chyba pośpiesznym przechodzeniem od górnolotnych filozoficznych konstatacji do powierzchownych ich egzemplifikacji, wziętej wprost z rzeczywistości... Trzeba jednak przyznać, że zarówno w pokazywaniu całej złożoności świata i względności fundamentalnych pojęć, wśród których można jedynie polegać na indywidualnym wyborze, jak i w umiejętnościach warsztatowych (aktorstwo!) Teatr 8 Dnia osiąga z każdym nowym przedstawieniem coraz większą dojrzałość.

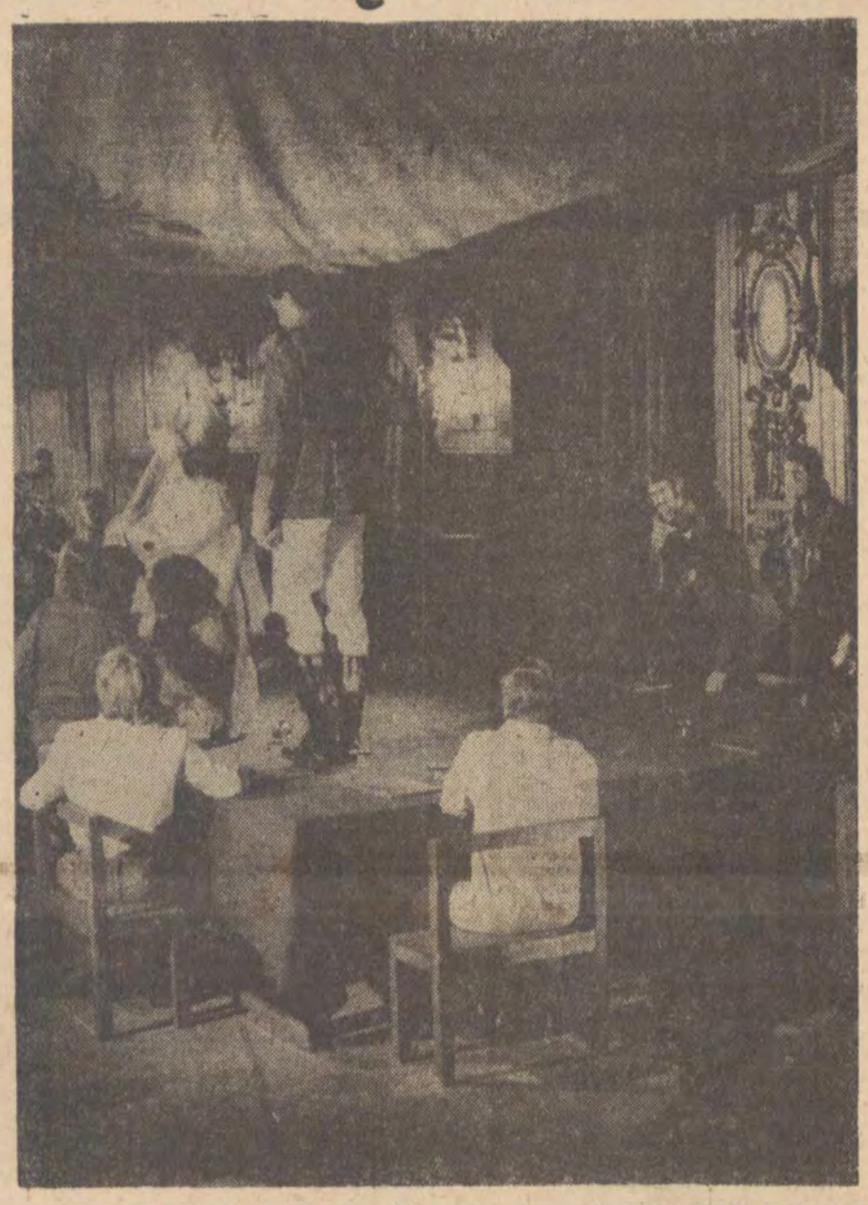

Foto: R. Łucyszyn

Teatr 77 i Divadlo „Wiosna Ludów"

Dlatego — mimo tych czy innych usterek — spektakl „Ach, jak godnie żyliśmy" przyjmowano na XV ŁST ze skupieniem i uwagą, podobnie jak nową wypowiedź łódzkiego Teatru 77, będącą osobliwym wyznaniem zespołu, który — po ośmiu latach od swej pierwszej głośnej wypowiedzi zatytułowanej „Koło czy tryptyk" — ponownie przymierza się do swych dawnych pytań, niepokojów, ideałów. „Ciąg dalszy" jest właśnie taką próbą rozrachunku, nie tylko z otaczającą rzeczywistością, ale także — „Siódemek" ze sobą, z tym, co zostało po dawnych ideałach i przekonaniach, a co może jeszcze trwa — z postawy zamanifestowanej przed laty w spektaklu — odpowiedzi na dokonujące się wówczas w naszej rzeczywistości gwałtowne zmiany. W „Ciągu dalszym" konfrontacja dawnych postaw z teraźniejszością przynosi kolejną porcję pytań: o charakter naszej demokracji, o jakość stosunków między społeczeństwem a władzą, o to — wreszcie — co nas deformuje i zniekształca utrudniając pomyślną realizację socjalizmu.

Ten typ zaangażowania w trudne sprawy rzeczywistości znalazł — w wypadku Teatru 77 — interesujące przedłużenie w drugiej po „Skrzyżowaniu" (zrealizowanym wespół ze szwedzkim Teater 9) próbie ponadnarodowej kooperacji teatralnej. I — co ciekawe — znalazł jeszcze doskonalszy wyraz artystyczny, w czym zapewne niemała zasługa drugiej strony — Divadla na Provazku z Brna, zespołu o wyjątkowo wysokich kwalifikacjach zawodowych i samoświadomości.

„Wiosna Ludów", będąca wspólną wypowiedzią obu teatrów, może służyć sceptykom znakomitym przykładem tego, jak — na płaszczyźnie artystycznej — można wcielać w życie idee internacjonalizmu... Młodzi Czesi i Polacy potrafili odnaleźć w pogmatwanej historii wzajemnych stosunków te momenty, w których do głosu dochodziło poczucie ogólnosłowiańskiej tożsamości i jedności — kiedy idee wyzwolenia narodowego i połączenia we wspólnych staraniach o niepodległość były celem, i dla Polaków i dla Czechów najwyższym. W „Wiośnie Ludów" pozornie martwy już, historyczny temat otrzymał niezwykle staranną kompozycję i przemyślaną w każdym szczególe artystyczną oprawę, bogatą w odniesienia do współczesności. Powstał spektakl w szlachetnych intencjach może nieco jednostronny, ale czysty i przejmujący.

Jest niewątpliwym paradoksem, że największą atrakcją tego przeglądu polskich teatrów studenckich i „otwartych" stał się spektakl w wykonaniu gości z Czechosłowacji. „Wesele" („Svadba") według Bertolta Brechta ściągało tłumy i wzbudzało aplauz, miejmy jednak nadzieję, że nie tylko z powodu przepysznej zabawy, jaką przedstawienie było niewątpliwie i dla publiczności, i dla aktorów. W „Weselu", mało u nas znanej jednoaktówce Brechta z 1919 roku, pisarz ten próbuje odświeżyć gatunek burleski, pokazując przy jej pomocy w krzywym zwierciadle ironicznej metafory rozpad drobnomieszczańskiego świata wartości. Reżyser Peter Scherhaufer wraz z zespołem wyśmienitych aktorów dodał do tego moc żywiołowego, improwizowanego po części humoru, obficie czerpiąc ze wszystkich możliwych źródeł inspiracji (filmowe gagi, taniec graniczący z ekwilibrystyką, żonglerka rekwizytami, parodystycznie zabarwiona muzyka itd.). W nieprzerwanym pasmie radości w końcu nie było już wiadomo, czy to aktorzy — widzom, czy też odwrotnie, udzielają swojego spontanicznego entuzjazmu...

Dla tych, którzy ostatniego dnia XV Łódzkich Spotkań Teatralnych oglądali „Svadbę", była ona może weselszym akcentem — na zakończenie 4-dniowego teatralno-filmowego maratonu. Świadomie jednak nie pokusiliśmy się tu jeszcze o porównania przedstawionych widowisk z zaprezentowanymi w ramach „kina festiwalowego" filmami (szkoda tylko, iż nic nie wyszło z zapowiadanych dyskusji — z udziałem reżyserów), bowiem obraz jaki wyłoniłby się z tej, następnej konfrontacji byłby dla teatru studenckiego jeszcze mniej pomyślny. Jedyna nadzieja w tym, iż przynajmniej część młodych teatrów wyciągnie — dla siebie — jakieś wnioski z lekcji, jakiej udzielili im starsi koledzy: Kieślowski, Kijowski i Holland, Hejduk, Raczak i Czesi z brneńskiego Statni Divadlo...

TOMASZ SOLDENHOFF

KRONIKA KULTURALNA

18 października 1979 r. w Łódzkim Ośrodku Kształcenia Ideologicznego odbyło się ogólnopolskie spotkanie kierowników wydziałów pracy ideowo-wychowawczej komitetów wojewódzkich PZPR. Referat, nakreślający główne kierunki oddziaływania propagandowo-agitacyjnego partii w środowiskach wielkoprzemysłowych wygłosił z-ca kier. Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej KC PZPR — **Andrzej Czyż**. W dyskusji zwrócono m. in. uwagę na rolę zakładu pracy — jako podstawowego ogniwa oddziaływania ideowo-wychowawczego na społeczeństwo. Postulowano również konieczność wzmocnienia historycznej edukacji społeczeństwa.

* * *

48 tytułów zrealizowanych w 10 wytwórniach obejrzeli uczestnicy zakończonego niedawno w Łodzi VII Ogólnopolskiego Przeglądu Filmów Społeczno-Politycznych. Jury pod przewodnictwem **S. Kuszewskiego** przyznało Grand Prix reż. **W. Maciejewskiemu** za film „Wiatr przedwiośnia" (WFO) a trzy nagrody główne: reż. **A. Halorowi** za film „Człowiek z laską" (WFD), reż. **I. Kamieńskiej** za film „Piękna, mroźna, polska zima" (WFD) i reż. **R. Zagóreckiemu** za film „Na hasło: ratunek" (WF „Czołówka"). Nagrodę za najlepszy film o tematyce młodzieżowej otrzymał reż. **J. Kidawa** za film „Czas entuzjastów" (WFD), a nagrodę „Głosu Robotniczego" — za twórcze poszukiwania w filmie społeczno-politycznym — reż. **L. Skrzydło** za film „Korczak" (WFO). Najlepszy zestaw filmów zaprezentowała WFD w Warszawie, a nagroda publiczności przypadła filmowi „Sprawa Henryka Rury" **W. Chełstowskiego** (TVP).

* * *

Trzydziestolecie istnienia obchodziło **Łódzkie Studio Opracowań Filmów** które zainaugurowało swoją działalność w 1949 roku realizacją wersji polskiej do filmu „Harry Smith odkrywa Amerykę". Dzisiaj Łódzkie Studio przygotowuje rocznie 7 filmów dla kina i 75 dla telewizji nie licząc komentarzy i innych opracowań. Z okazji jubileuszu w Muzeum Historii Miasta odbyło się spotkanie z udziałem przedstawicieli władz partyjnych i administracyjnych, podczas którego zasłużonym pracownikom łódzkiej placówki dubbingowej wręczono odznaczenia państwowe i resortowe.

* * *

Trzecią i czwartą częścią epopei wojennej pt. **„Blokada"** wg. powieści Aleksandra Czakowskiego zainaugurowano 7 listopada w Łodzi tegoroczne Dni Filmu Radzieckiego. Jak już informowaliśmy w 43 nr „Odgłosów" mają one szczególnie uroczysty charakter — w związku z 60-leciem kinematografii radzieckiej. Na łódzka inaugurację Dni przybyła delegacja filmowców i aktorów radzieckich, której towarzyszył redaktor naczelny „Sowieckiego Ekranu" **T. Orłow**. W repertuarze DFR znalazło się w tym roku 10 interesujących premier.

* * *

7 listopada — w 62 rocznicę wybuchu Wielkiej Rewolucji Październikowej otwarto w łódzkim **Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego** imponującą wystawę pn. „Rewolucja 1905—1907 w sztuce". Zaprezentowano na niej malarstwo, rzeźbę i grafikę z kolekcji Centralnego Muzeum Rewolucji ZSRR w Moskwie, a także liczne plakaty i przykłady satyry prasowej z tego okresu. Ekspozycję tę łódzkie muzeum wzbogaciło o prace polskich artystów plastyków ukazujące Rewolucję 1905 r. w Łodzi. Przypomniano w ten sposób znaczenie walk czerwcowych w 1905 r. w Łodzi, nawiązując jednocześnie do tradycji solidarności w wystąpieniach proletariatu polskiego i rosyjskiego w okresie przed Wielką Socjalistyczną Rewolucją Październikową.

* * *

Roli kultury plastycznej w rozwoju gospodarczym kraju poświęcona została konferencja naukowa, zorganizowana w dniach 2 i 3 listopada br. przez **Komisję Ekonomiki i Organizacji Usług ZG PTE** wraz z **ZPAP i Zakładami Artystycznymi „ART"**.

* * *

Nakładem Oddziału PWN w Łodzi — przy staraniu **„Uniontexu"**, Oddziału PAN w Łodzi i łódzkiego Towarzystwa Historycznego — ukazała się pierwsza w dziejach naszego miasta monografia zakładu przemysłowego — **ŁZPB im. Obrońców Pokoju („Uniontex")**. Na 600 stronach druku autorzy opracowania: **Stefan Pytlas** i **Wiesław Puś** omawiają historię tego największego w Europie kombinatu przemysłu bawełnianego — od 1827 roku do dnia dzisiejszego. Zwraca uwagę bogata szata graficzna dobra jakość zdjęć, zarówno archiwalnych jak i współczesnych, oraz... niski (niestety) nakład — 3 tysięcy egzemplarzy.

* * *

18 listopada br. rozpoczyna się w Łodzi — już po raz drugi — **Ogólnopolski Festiwal Współczesnej Twórczości Muzycznej dla Dzieci i Młodzieży „DO-RE-MI"**. Kompozytorzy zgłosili 300 utworów, spośród których zaprezentowanych będzie blisko 150. W imprezie zorganizowanej przez Łódzki Oddział Związku Kompozytorów Polskich i Federację Stowarzyszeń Kulturalnych wezmą udział również goście z NRD, Jugosławii, ZSRR, Czechosłowacji. Na scenie zaprezentuje się ok. tysiąca wykonawców — uczniów szkół muzycznych z całego kraju, w tym zespoły: dwie orkiestry, 12 chórów, 7 zespołów rytmicznych ok. 50 solistów i kameralistów. Cykl programów zaczyna koncert galowy w Teatrze Wielkim. Zaprezentowana zostanie również „Baśń estradowa o królewnie, co spać nie chciała" **A. Hundziaka do tekstu J. Harasymowicza**.

* * *

Inną sesję naukową w dniach 8—10 listopada br. zorganizował **Zarząd Główny i Oddział Łódzki Stowarzyszenia Historyków Sztuki**. Ponad 300 historyków dyskutowało na tematy związane z „Tradycją i innowacją" w sztuce i architekturze.

* * *

Jubileusz 30-lecia obchodził **Teatr Nowy**. Z tej okazji 10 listopada w **Muzeum Historii Miasta** odbyło się spotkanie podczas którego I sekretarz KŁ PZPR, **Bolesław Koperski**, wręczył zasłużonym pracownikom teatru wysokie odznaczenia państwowe. Następnego dnia, przed premierą spektaklu **„Bogusławski" W. Rapackiego** w reżyserii **W. Pilarskiego** otwarto wystawę obrazującą dorobek Teatru Nowego i odczytano listy gratulacyjne które przysłali zespołowi teatru I sekretarz KŁ PZPR **B. Koperski** i prezydent miasta, **J. Niewiadomski**.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-cy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAŁKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAIER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

POLESIE: DALEKO NA ZACHÓD

Dalszy ciąg ze str. 1

— *Czy problemy Retkini nie przysłaniają innych spraw Polesia?*

— *Nie ma obawy* — powiedział Wiesław Jóźwiak, I sekretarz Komitetu Dzielnicowego PZPR na Polesiu. — *Występują one niewątpliwie ostrzej. I nie ma się czemu dziwić. To już przecież prawie 70-tysięczne miasto. A będzie tam mieszkało 100 tysięcy ludzi. Jest to ciągle jeszcze miasto powstające. Musimy się więc nim szczególnie interesować. Ale nie tracimy z pola widzenia innych rejonów dzielnicy. Przede wszystkim tej części, która wchodzi w skład centrum miasta. Jest tu wiele problemów, z którymi musimy się uporać.*

Warto sobie uświadomić usytuowanie Polesia wobec innych dzielnic. Wzdłuż ulicy Wólczańskiej, 1 Maja, Gdańskiej graniczy ono ze Śródmieściem. Ulice: Ogrodowa, Drewnowska, a dalej tor kolejowy do rzeki Bałutki dzieli Polesie od Bałut. Na południu granica z Górna biegnie ulicą W. Wróblewskiego, torem kolejowym i rzeką Jasień. Jest to czwarta co do wielkości dzielnica Łodzi i obejmuje obszar 37,8 km kwadratowych. Mieszka tu 163,8 tysiąca osób. Jest to dzielnica o dużym zagęszczeniu, gdyż na 1 km kwadratowych przypadają tu 4 334 osoby. W gospodarce uspołecznionej pracuje na Polesiu 83,3 tysiąca osób. Ma Polesie 108 hektarów lasów, na które w większości składa się Park Ludowy na Zdrowiu.

POLESIE ŻYWI I UBIERA — wymyślono kiedyś takie hasło, aby uzmysłowić ludziom rolę przemysłu znajdującego się w dzielnicy. Jest tu bowiem zgrupowany przemysł wełniany: Zakłady im. N. Barlickiego, A. Struga, „Lodex", dziewiarski — zakłady „Olimpia" na Nowych Sadach — „Vera" i „Bonax" na Nowym Złotnie, jest przemysł spożywczy, tytoniowy. Jest przemysł metalowy: „Majed" i „Uniprot". Przemysł Polesia daje rocznie produkcję o wartości 36 miliardów złotych.

Wszakże nie tylko Polesie żywi i ubiera. Również bawi, uczy i leczy. Wprawdzie są tu tylko dwa kina: „Przedwiośnie" przy ulicy Stefana Żeromskiego i „Polesie" przy ulicy Małgorzaty Fornalskiej, ale jest Wytwórnia Filmów Fabularnych, Muzeum Sztuki i Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego, jest Politechnika Łódzka, Instytut Włókien Chemicznych i Instytut Włókiennictwa oraz Szpital Wojskowej Akademii Medycznej.

Jest na Polesiu zoo, Ogród Botaniczny, zespół basenów „Fala", stadion ŁKS, stadion WKS „Orzeł" z torem żużlowym, korty tenisowe w Parku im. J. Poniatowskiego.

Zbiegają się na Polesiu dwie ważne arterie komunikacyjne miasta: aleja Włókniarzy, która wchłonęła dawną ulicę Towarową oraz aleja Adama Mickiewicza, która wchłonęła dawną ulicę Główną. Aleję Włókniarzy — biegnącą równolegle do torów kolejowych — będzie się przedłużało do ulicy Pabianickiej. Dla trasy W—Z natomiast tory stanowią przeszkodę nie do pokonania. Trzeba budować nad torami wrejonie dworca Łódź-Kaliska nowy wiadukt, ale sprawa to PKP i według obietnic kolei prace przy budowie wiaduktu mają rozpocząć się w 1980 roku.

— *Dla miasta* — mówi Wiesław Jóźwiak — *jest to sprawa pierwszej wagi.*

Tor kolejowy przecina dzielnicę na dwie nierówne części. Aleja Włókniarzy i trasa W-Z łączą Polesie z Widzewem i Bałutami oraz ułatwiają dojazd do śródmieścia. Z Retkini można wygodnie dojechać w okolice placu Niepodległości, do alei Politechniki. Jest już bowiem wiadukt na ulicy Obywatelskiej, który umożliwia też dogodną komunikację Retkini z Nowymi Sadami. Do śródmieścia wszakże trzeba z Retkini jechać Karolewską i przejechać pod dwoma wiaduktami kolejowymi przy dworcu Łódź-Kaliska. A te zbudowano dawno, kiedy nie przypuszczano nawet, że będą po Łodzi jeździły samochody. A jeżdżą niestety i będzie ich coraz więcej.

— *Już robi się drogę* — mówi naczelnik dzielnicy, Zbigniew Maraszek — *która połączy ulicę Janusza Kusocińskiego z ulicą Konstantynowską. To w jakimś stopniu odciąży ulicę Bratysławską, którą teraz odbywa się cały ruch z Retkini i do Retkini.*

— *Ale to też sprawy nie rozwiąże* — powiawiada na to Wiesław Jóźwiak — *bo wiadukt na Konstantynowskiej też jest stary i choć tramwaj jedzie innym pasem niż samochody, to jest tam wąsko i przy zwiększonym ruchu będą powstawały korki.*

— *Robimy co możemy* — wyjaśnia Zbigniew Maraszek. — *Poszerzamy jezdnię. Przeniesiemy przystanek tramwajowy z placu między wiaduktami bliżej alei Włókniarzy, a tam zostawimy tylko autobus. To wprawdzie sprawy nie rozwiąże, ale przynajmniej zmniejszy korki.*

Też zdaję sobie sprawę z tego, że to nawet nie półśrodek, że bez wiaduktu komunikacja w tej części miasta będzie kulała, a to znaczy, że hamuje ona rozwój komunikacji w całym mieście. Niech się coś zepsuje na trasie do Retkini, niech się tu zapcha „wąskie gardło" a bez wątpienia da się to odczuć i na innych trasach. Z tego też powodu nie można zwiększyć ilości tramwajów jadących na Retkinię, choć mieszkańcy domagają się tego. Bez wiaduktu, jak z tego widać ani rusz.

A sam dworzec Łódź-Kaliska, który od lat czeka na modernizację?

— *Wiadukt jest pilniejszy, bardziej potrzebny, z tego powodu modernizację dworca odsunięto na dalsze lata* — wyjaśnia Zbigniew Maraszek, a ja mogę tylko dodać do tego znaną powszechnie prawdę, że Łódź nie ma szczęścia do dworców. Bo przecież przez te wszystkie lata, kiedy postulowało modernizację dworców w Łodzi, w innych miastach PKP jakoś dworce budowały. My możemy się tylko cieszyć, że dworzec Łódź-Kaliska nadaje się do filmów z naszej przyszłości, w których są sceny rozgrywające się na dawnych dworcach. Ale mała to pociecha.

Tor kolejowy dzieli Polesie na dwie nierówne części. Nowe budownictwo od samego niemal początku wyszło poza linię torów kolejowych okalających miasto. Zrodziło to kłopoty komunikacyjne. Wydłużyły się trasy tramwajów i autobusów, no i trzeba było budować wiadukty. Trzeba je będzie budować i przez następne lata. Im wcześniej się wybuduje wiadukt, tym lepiej dla mieszkańców nowej dzielnicy — osiedla.

Sięgam znów po list mieszkańców Retkini do naczelnika Polesia. Oto co piszą:

„Zakupy musimy robić w centrum Łodzi, bo kolejki po koszyczki w kilku retkińskich sklepach są ogromne. Towary dowozi się w mało odpowiednich porach, bo gdy wracamy z pracy gdzieś o 17—18, to już nic nie można dostać, a rano nie zawsze jest czas na robienie zakupów, bo się człowiek śpieszy do pracy".

Miasto rozciągnęło się. Retkinia wysunęła się daleko na zachód. Z Retkini na Widzew-Wschód jest 19 km, a jak tramwaj czy autobus gdzieś się zaklinuje to podróż niebywale się wydłuża. A ludzie jeżdżą do pracy i na Teofilów, Żabieniec, do śródmieścia, na Dąbrowę, Widzew, Brzezińską. Przy takich odległościach i niesprawnej komunikacji należyte funkcjonowanie handlu i usług odgrywa zasadniczą rolę. Ale wiadomo, jak to jest ze sklepami w nowych osiedlach.

W 1970 roku na Polesiu mieszkało 124,2 tysiąca ludzi, w 1975 roku było już mieszkańców Polesia 137,3, obecnie jest — przypomnijmy — 163,8 tysiąca. W 1977 roku oddano na Polesiu 3 486 nowych mieszkań. Jednak handlowa geografia przez ten czas zmieniła się niewiele. I jeśli w śródmieściu Łodzi na 1 000 mieszkańców przypada 853 m kwadratowych powierzchni sklepów to już na Bałutach 282, na Górnej — 262, na Widzewie — 256, a na Polesiu — 227. Trzeba sobie uświadomić, że w dzielnicy nie ma ani jednego domu towarowego.

— *Projektuje się budowę nowej dzielnicy mieszkaniowej na Nowym Złotnie* — mówi Zbigniew Maraszek. — *Zamieszka tam 30 tysięcy ludzi. Pierwsze bloki powinny być gotowe w 1983 roku. Ale przedtem postawimy tam wielki dom towarowy o 10 tysiącach metrów kwadratowych powierzchni. Będzie on również obsługiwał mieszkańców Teofilowa.*

To będzie. A co jest?

Sięgnijmy jeszcze raz do statystyki. Oto dane z 1978 roku. W roku tym w śródmieściu Łodzi sprzedano towarów na sumę 10,8 miliarda złotych, na Bałutach — na sumę 6,5 miliarda zł, na Górnej — 6,1, a na Polesiu — na sumę 3,1 miliarda zł. Tylko na Widzewie sprzedano mniej, bo na sumę 2,2 miliarda złotych.

Te dane pokazują, jak wygląda handlowa geografia Polesia. A nie tylko geografia handlowa Retkini wygląda ubogo. Tak jest również z przedszkolami, usługami, kulturą.

„Jak to jest możliwe — pytają w liście do naczelnika Polesia mieszkańcy Retkini — *że przy projektowaniu bloków nie przewiduje się tego wszystkiego, co jest ludziom potrzebne do życia, a więc sklepów, zieleńców, domów kultury, lecznic i tak dalej, a tylko stawia się same bloki do mieszkania".*

Tak jednak nie jest. W projekcie nowej dzielnicy to wszystko jest. Przy realizacji schodzi na plan dalszy. Wypada z planu — jak powiada się w inwestorskim żargonie. Wypada i czasem już nie wraca.

Foto: Archiwum

— *Przedłużeniem niejako Retkini* — mówi Wiesław Jóźwiak — *miała być przemysłowa dzielnica Smulsko. Budowane tam zakłady miały partycypować w budowie dużego domu kultury dla Retkini. Ale Smulsko jako dzielnica przemysłowa zostało odsunięte na dalszy czas. Siłą rzeczy i dom kultury dla Retkini musi być odsunięty. A jest bardzo potrzebny. Postuluje się na przykład budowę jakiegoś domu społecznego, w którym byłaby sala do spotkań, gdzie mógłby teatr ze śródmieścia wystąpić, gdzie byłaby kawiarnia z restauracją, w której można byłoby urządzić wesele, imieniny czy inne spotkanie towarzyskie. Zgadzamy się z tym. To jest potrzebne. I będziemy myśleli, jak to zrobić. Ale nie możemy obiecywać, jeśli wiemy, że to jest obecnie nierealne.*

— *Zablokowaliśmy wszystkie partery* — dodaje Zbigniew Maraszek — *i robimy tam sklepy, przedszkola, żłobki, na Retkini w całym ciągu parterów jest ośrodek zdrowia, a także dom kultury, w którym powstał już 120-osobowy zespół pieśni i tańca. W budującym się obecnie śródmieściu Retkini też na parterach powstaną sklepy i punkty usługowe.*

Zaraz po wojnie w nowych domach partery, a w dużych miastach nawet pierwsze piętra, przeznaczone były dla handlu i usług. W miarę jednak rozwoju budownictwa, w miarę jego uprzemysłowiania, co było społeczną koniecznością, technologia zmusiła do rezygnacji z wykorzystywania parterów na sklepy i stawiania pawilonów. Ale to jest zbyt pracochłonne, długotrwałe, żmudne i nie robi planu. Dostają więc ludzie mieszkania, ale bez zewnętrznego wyposażenia, a więc bez tego wszystkiego, co mieszkaniom powinno towarzyszyć. Teraz wrócono do pierwotnej koncepcji, aby znów partery budynków mieszkalnych przeznaczać na sklepy, przedszkola, żłobki, ośrodki zdrowia. Byłoby oczywiście dobrze, gdyby budowlani stawiając dom, już z góry przygotowywali partery do właściwego ich używania, ale oni wolą robić tak, jak dyktuje technologia i co jest szybsze, a później użytkownik niech się martwi.

Inna sprawa, że sklep na parterze domu, to i wygoda i kłopot zarazem. Konwojenci nie szanują snu lokatorów, hałasują nad ranem, hałasują w dzień, ale można sobie chyba z tym poradzić.

— *Również w starej części Polesia też staramy się odzyskiwać partery, łączyć pomieszczenia i tworzyć duże sklepy* — mówi Zbigniew Maraszek. — *Sklep musi mieć bowiem nie tylko właściwą powierzchnię handlową, ale również właściwe, pojemne zaplecze. Narzekania na nierytmiczne dostawy na Retkini biorą się między innymi z tego, że niektóre tamtejsze sklepy nie mają zaplecza i nie mogą zgromadzić tylu towarów, aby przez dłuższy czas zaspokajać popyt na nie. Kiedy powstanie więcej sklepów, łatwiej będzie z zaopatrzeniem.*

Zasadniczym celem działania na Polesiu jest porządkowanie dzielnicy. Prowadzi się to działanie kompleksowo. Dzielnicę podzielono na 42 kwartały i każdy oddano pod opiekę innego przedsiębiorstwa. Zyskano przez to opiekuna dla szkół w danym kwartale, inicjatora i wykonawcę różnych prac. Uporządkowano już elewacje przy trasie W-Z, przy ulicy Łąkowej, ulicę Gdańską. Porządkować się będzie plac Barlickiego.

Plac Barlickiego pełni obecnie bardzo złożoną rolę. Jest targowiskiem i dworcem autobusowym MPK. Hala Targowa położona przy tym placu wymaga modernizacji. Zdaniem władz dzielnicy autobusy MPK powinny z placu Barlickiego tylko zabierać pasażerów, bo jest to bardzo dogodne miejsce dla przesiadek ale nie powinny tu stać z zapuszczonymi silnikami, jak to robią na krańcówkach, gdyż zatruwają atmosferę. Planuje się pozostawienie kwiaciarek, ale postawi się im estetyczne stragany, a być może uda się ubrać je w jednakowe, ładne stroje „służbowe". Planuje się też po stronie zachodniej placu, w miejscu, gdzie jest kwiaciarnia, stworzyć małą restaurację z ogródkiem, bardzo w tym rejonie potrzebną.

W pracach porządkowych wyróżniły się między innymi załogi zakładów im. N. Barlickiego, A. Struga, Drukarni Wojskowej, Wojewódzkiej Komendy Straży Pożarnej, „Majedu", PKP Łódź-Kaliska. Z ciekawymi inicjatywami wystąpili uczniowie Liceum Sztuk Plastycznych. Ich pomysły przybrały kształt niektórych rzeźb dekorujących rejon alei Adama Mickiewicza, jak na przykład przy Wytwórni Filmów Fabularnych, czy u zbiegu al. Mickiewicza z al. Włókniarzy. Rozważa się możliwość ustawienia estetycznych znaków firmowych łódzkich zakładów włókienniczych wzdłuż al. Włókniarzy. Planuje się również zrobienie jednolitych numerów domów wraz z nazwą ulicy, najpierw dla Retkini, a jak to zda tam egzamin, to dla całej dzielnicy. Numery te mają być pokaźnych rozmiarów, wykonane farbami odblaskowymi, aby były też widoczne w nocy.

W rozmowach o Polesiu ciągle wraca problem Retkini. Retkinia stała się nową jakością, zmusiła do innego spojrzenia na całość dzielnicy. Zmieniła skalę problemów. Ma Polesie kilka nowych osiedli: Koziny, osiedle im. Mikołaja Kopernika, Karolew, Pienista i Retkinię. Na osiedlu im. M. Kopernika stoi kilka nowych bloków, na Retkini bodajże już 100, a jedno i drugie traktuje się jako osiedle, takie same dając im środki na konserwację i utrzymanie porządku. Gdyby spojrzeć na Retkinię tylko od strony liczby mieszkańców, to równa się ona na przykład Opolu, które ma 63 tysiące ludności lub Olsztynowi, który ma 68 tysięcy mieszkańców. A traktowane jest jako mała dzielnica dużej dzielnicy. Czasem nawet trudno nazywać Retkinię osiedlem, ale właściwej nazwy dla takiego wielkiego osiedla jeszcze nie wymyślono. I problemy są tu inne niż w osiedlach starszych.

— *W pogoni za nowym nie możemy zgubić tego, co stare* — mówi Wiesław Jóźwiak. — *64 procent budynków na Polesiu to nowe bloki. Czasem zadaję sobie pytanie: już 64 procent, czy dopiero? A przecież wśród tych starych jest dużo dobrych zdrowych domów, o które trzeba dbać. Starzeje się nam też Karolew i o tym nie wolno zapominać. Nie możemy budować tylko z myślą o dziś.*

Przed wojną wybudowano w Łodzi — w latach 1923—1939 — zaledwie 34,6 tysiąca izb, nie licząc około 50 tysięcy „bieda-budownictwa". Budował samorząd miejski, „Lokator", ZUS i Towarzystwo Osiedli Robotniczych. Samorząd miejski wybudował między innymi osiedle im. Józefa Montwiłła-Mireckiego na Polesiu Konstantynowskim z 2 700 izbami. Było to jak na ówczesne czasy osiedle nowoczesne. Stoi do dziś i służy mieszkańcom. Ale ogrzewane jest piecami, więc stąd postulaty,

WIESŁAW JÓŹWIAK: „Dysponujemy pokaźną siłą, w organizacji partyjnej mamy 20 tysięcy członków i kandydatów, 60 tysięcy ludzi należy do różnych organizacji społecznych..."
Foto: L. Włodkowski

aby osiedle to podłączyć do centralnego ogrzewania. Postulat słuszny, ale trudny do rozwiązania. Niektórzy zastanawiają się, czy to się w ogóle opłaci. Ponieważ w tamtym rejonie będzie się budowało ciepłociąg, więc i szansa dla mieszkańców osiedla im. Montwiłła-Mireckiego, że i u nich zaczną grzać kaloryfery.

Rozwój budownictwa pogłębia różnicę w wyposażeniu mieszkań, w warunkach mieszkaniowych. Robi się więc na Polesiu bilans tego, co wymaga utrzymania i modernizacji i tego, co trzeba będzie wyburzyć, a w tym miejscu postawić nowe budynki.

— *Po ukończeniu ŚDM* — mówi Zbigniew Maraszek — *przyjdzie chyba kolej na Polesie I musimy być już na to przygotowani.*

Pod zarządem PGM jest na Polesiu 2 300 posesji. Do tej pory uporządkowano i wyremontowano 1350. Jest więc co robić. Było do wyremontowania 600 dachów, ale nie było papy i lepiku na wszystkie, więc naprawiono 400. Teraz jest już papa, jest lepik, ale przyszły deszcze, a nawet śnieg i mróz. Z niektórymi trzeba będzie poczekać do wiosny. Łatwo to się mówi, ale niełatwo mieszka w cieknącym mieszkaniu.

— *Staramy się widzieć sprawy dzielnicy nie w oderwaniu, ale w powiązaniu ze sprawami innych dzielnic i całego miasta* — mówi Wiesław Jóźwiak. — *Projektowana budowa osiedla na Nowym Złotnie spowodowała, że nawiązujemy ścisłą współpracę z Bałutami dla wspólnego rozwiązywania wielu problemów. Ze Śródmieściem planujemy utworzenie wspólnego magazynu na używane meble. Coraz częstsze są wizyty władz miasta w dzielnicy, co pozwala miastu poznać nasze sprawy i inicjatywy, a nam widzieć nasze sprawy na tle miasta. To bardzo nam pomaga.*

Organizuje się na Polesiu turniej obwodów i osiedli. Bardzo to pożyteczna inicjatywa, zmusza bowiem do gospodarskiego spojrzenia na to, co się wokół nas dzieje. W czynie społecznym uporządkowano na Retkini rejon ulicy Juliana Marchlewskiego, rodzice pomagali w szybszym oddaniu szkoły przy ulicy Balonowej. W 1979 roku mieszkańcy Polesia wykonali czyn społeczny wartości 40 milionów złotych, nie wykonując w tym żadnych zadań inwestycyjnych, a więc głównie tylko prace porządkowe. W pobliżu szkoły przy ul. Balonowej — również w czynie społecznym — powstanie duży ośrodek rekreacyjny. Będzie tam sztuczne lodowisko, będą boiska.

— *Dysponujemy pokaźną siłą* — mówi Wiesław Jóźwiak — *w organizacji partyjnej mamy 20 tysięcy członków i kandydatów. Poza tym 60 tysięcy ludzi należy do różnych organizacji społecznych. Staramy się w programie naszego działania formułować konkretne, realne zadania. Dużo uwagi skupiamy na tych wszystkich sprawach, które utrudniają ludziom życie, a które możliwe są do szybkiego załatwienia. Sporo wniosków wpłynęło do dzielnicowej instancji z kampanii sprawozdawczo-wyborczej w grupach partyjnych, w podstawowych organizacjach. Złożą się one na nasz program działania. Ale wiele spraw można już rozwiązać i będą rozwiązywane. Czasem wystarczy tylko pomyśleć, poczuć się bardziej odpowiedzialnym nie tylko za należyte wykonywanie poleceń, ale wykazać trochę inicjatywy, dobrej woli, pomysłowości. I o tym mówiono na zebraniach partyjnych. I z tego wyciąga się wnioski na odpowiednich szczeblach zarządzania. Nie o wszystkim musi się przecież decydować od razu na szczeblu dzielnicy.*

Kiedy z pętli autobusowej MPK przy ul. Janusza Kusocińskiego na Retkini spojrzałem ku śródmieściu, zobaczyłem wieżowce ŚDM. Daleko to, a przecież blisko. Daleko na zachód wysunęła się Retkinia, ale jej problemy są bliskie miastu, bo jest jego częścią. I przypomniałem sobie zdanie z listu mieszkańców Retkini do naczelnika Polesia:

„I jako łodzianie chcemy, aby każda dzielnica Łodzi była ładna, dobrze zagospodarowana i dobrze służyła swoim mieszkańcom...".

I od nas w dużej mierze to zależy.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

JACEK INDELAK

ZACZYNA SIĘ OD AMBICJI

Po wprowadzeniu nowego podziału administracyjnego Polski świeżo upieczone województwo skierniewickie zostało sklasyfikowane na 42 miejscu w kraju pod względem koncentracji zatrudnionych w dziale „kultura i sztuka". Nie tylko zresztą ilościowy stan kadry był tu opłakany, nie lepiej przedstawiała się baza, w której kadra ta miała tworzyć i upowszechniać kulturę.

I.

Skierniewickie utworzono przecież z granicznych terenów dwóch silnych województw: warszawskiego i łódzkiego, które nie wykazywały zbyt wielkiej troski o swoje peryferie. Konsekwencje owej peryferyjnej przeszłości ponosiło młode województwo w momencie narodzin, a i ponosi nadal. Tak przynajmniej utrzymują niektórzy działacze społeczno-gospodarczy, stwierdzając masochistycznie:

— Sytuacja ta w dalszym ciągu rzutuje na obecny poziom upowszechniania kultury!

Czy mają rację? Na pewno tak, gdyż mimo znacznego postępu w tej dziedzinie — rozwoju bazy i kadry — wciąż daleko do ideału. — Nie od razu Kraków zbudowano! — powiadają dla odmiany optymiści, ciesząc się z tego, co już jest i co będzie. I też mają rację.

Zacznijmy od kadry. W Wydziale Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego, w bibliotekach, muzeach, domach kultury, klubach, świetlicach i szkołach muzycznych — jest obecnie 258 etatów, z czego połowę zagarnęły biblioteki. 23 proc. pracowników etatowych ma ukończone studia wyższe, co oznacza wyraźną poprawę, nadal jednak odbiega od wymagań i potrzeb. Na 124 gospodarzy klubów „Ruchu" i „Młodego Rolnika" 100 nie ma nawet wykształcenia średniego. Prawie połowa — spośród 117 — pracowników bibliotek gminnych i ich filii ukończyła szkołę podstawową. Cóż, niewielkie pocieszenie w tej sytuacji stanowi informacja, że wszyscy pracownicy Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego — a jest ich 7, słownie: siedmiu — legitymują się wykształceniem wyższym. Ale nie traktujmy danych statystycznych zbyt formalnie. Liczy się też zapał, ambicje, doświadczenie, a tych skierniewickiemu aktywowi nie brakuje.

Z bażą podobny szkopuł. Im niżej — tym gorzej. Wyjątek — **Skierniewice** — potwierdza regułę. Jako tako — a nawet i dobrze — w innych ośrodkach miejskich: **Łowiczu, Sochaczewie, Żyrardowie, Brzezinach.** W gminach — z reguły — fatalnie. W całym województwie istnieje — dla przykładu — 13 kin stałych i 6 ruchomych, a tylko jedna wieś — **Bełchów** — dysponuje kinem stałym, pozostałe bowiem to kina miejskie. Rozmieszczenie także i innych placówek kulturalnych i wychowawczych wzbudza wiele wątpliwości.

Mieszkańcy województwa mają do dyspozycji łącznie 207 domów kultury, klubów i świetlic. Nie dla wszystkich są one jednak równie dostępne. Szczególne kontrasty występują tu na szczeblu gminy. Zaledwie siedem gmin dorobiło się własnych ośrodków kultury. Są wprawdzie gminy — np. **Nieborów, Głuchów, Łyszkowice** — które poszczycić się mogą nieźle rozwiniętą siecią placówek kulturalnych, do wyjątków nie należą jednak gminy — np. **Baranów, Jaktorów, Kocierzew Południowy** — w których dwie lub trzy placówki przypadają na kilkanaście sołectw. Sytuację pogarsza dodatkowo fakt, że kurczy się — prymitywna w istocie — sieć miejskich klubów „Ruchu", które likwiduje się coraz częściej ze względu na żałosny stan techniczny ich pomieszczeń.

I tu dotknęliśmy jednej z najdotkliwszych chyba bolączek skierniewickiej kultury. Liczba bowiem placówek nie zamyka tematu, nie mniej istotna jest ich jakość. 40 procent bibliotek, klubów i świetlic mieści się w jednej zaledwie izbie. Ogółem 37 bibliotek gminnych i ich filii pracuje w pomieszczeniach nieodpowiednich. Dotyczy to m.in. bibliotek w **Babsku, Boguszycach, Dziurdziołach** i **Lipcach Reymontowskich.** W nader trudnych warunkach pracują szkoły muzyczne w **Brzezinach** i **Żyrardowie,** miejskie biblioteki w **Łowiczu** i **Sochaczewie** oraz Wojewódzka Biblioteka Publiczna w **Skierniewicach,** a także poradnie pracy kulturalno-wychowawczej w **Żyrardowie** i **Rawie Mazowieckiej.** Od niepamiętnych wręcz czasów ciągnie się remont Domu Kultury w **Łowiczu,** którego mieszkańcy do reszty już chyba stracili nadzieję, że budowlani „zwrócą" miastu tę placówkę. Coraz większą też irytację wywołuje przedłużający się remont Domu Kultury, tym razem w **Żyrardowie.**

Na jedną placówkę kulturalno-wychowawczą przypada w województwie skierniewickim 1.900 mieszkańców, podczas gdy w kraju wskaźnik ten nie przekracza 1.700 osób. W statystycznej placówce województwa działa jeden zespół zainteresowań, podczas gdy przeciętna krajowa wynosi dwa zespoły na każdą placówkę. Na jedno miejsce w kinie przypada 102 mieszkańców województwa, podczas gdy w kraju wskaźnik ten jest prawie dwa razy mniejszy. Statystyczny mieszkaniec województwa skierniewickiego bywa w kinie dwa razy do roku, podczas gdy przeciętny Polak odwiedza kino cztery razy w roku. Na jednego mieszkańca województwa przypada w ciągu roku 50 gazet i 19 czasopism, podczas gdy przeciętny Polak kupuje rocznie 76 gazet i 23 czasopisma. W kraju co 45 obywatel jest członkiem zespołu amatorskiego ruchu artystycznego, podczas gdy w województwie skierniewickim — zaledwie co setny.

II.

Młode województwo uczyniło od chwili swych narodzin naprawdę wiele, aby podreperować i postawić na nogi tę dziedzinę życia. Otworzył swe podwoje piękny i nowoczesny kinoteatr **„Polonez"** — z salą widowiskową na 470 miejsc — najprawdziwsza ozdoba stolicy województwa. Nowe siedziby otrzymały gminne biblioteki i ich filie — w **Dmosinie, Godzianowie, Jeżowie, Kocierzewie, Mokrej Prawej, Sochaczewie** i **Teresinie.** Powiększona została jedna z łowickich bibliotek, przeprowadzono generalny remont bibliotek w **Nowej Suchej** i **Młodzieszynie,** a także dwóch sochaczewskich placówek. Dla Miejskiej Biblioteki Publicznej w **Żyrardowie** szykuje się nowa siedziba — dobiega końca remont przyznanych na ten cel pomieszczeń. Nowy lokal otrzymało skierniewickie Biuro Wystaw Artystycznych. Na przestrzeni ostatnich czterech lat powstało 19 kolejnych placówek kulturalno-oświatowych: domów kultury, świetlic i klubów.

— Baza i kadra to nie wszystko! — usłyszeliśmy jednak w Skierniewicach. — **Można mieć gigantyczne zaplecze lokalowe i tabuny wykwalifikowanych etatowców, a mimo to — nie mieć nic do powiedzenia w kwestiach kultury. I na odwrót: można działać w prymitywnych warunkach z garstką zaledwie ludzi, a robić prawdziwą kulturę. W kulturze się przecież nie pracuje, lecz się działa. Toteż potrzebni są działacze z prawdziwego zdarzenia, a nie urzędnicy w zarękawkach i z liczydłami, przepraszam, z kalkulatorami. A jeśli już ci działacze są, to i tak niewiele wskórają bez odpowiedniej atmosfery, bez odpowiedniego klimatu...**

Czy klimat taki, czy taka atmosfera dają się wyczuć w Skierniewicach?

Ostatnie Plenum KW PZPR — poświęcone w całości właśnie sprawom kultury — dostarczyło wiele dowodów na to, że polityka władz partyjnych i administracyjnych województwa sprzyja rozwojowi i upowszechnianiu kultury wśród mieszkańców miast, osiedli i wsi ziemi skierniewickiej. Tak z referatu Egzekutywy KW PZPR — przedstawionego przez sekretarza KW PZPR — **Teresę Garlińską** — jak i z wypowiedzi kilkunastu dyskutantów wynika jasno, że kultura w województwie skierniewickim nie odgrywa bynajmniej roli przysłowiowego piątego koła u wozu, lecz jest przedmiotem codziennej troski tak władz województwa, jak i jego mieszkańców.

Województwo skierniewickie ma autentyczną pasję, najżywszą ambicję wzniesienia swego życia kulturalnego na wysoki poziom. Ma ambicję dorównania — a może nieustępowania? — innym województwom, włącznie z tymi najbardziej kulturotwórczymi i ukulturalnionymi, z tymi, w których w parze z wieloletnimi, bogatymi i głębokimi tradycjami idzie odpowiednie zaplecze — instytucjonalne, organizacyjne, kadrowe. Skierniewice mają więc ambicje nieulegania wpływom sąsiadów — Warszawy i Łodzi, usamodzielnienia swego życia kulturalnego.

III.

Na przestrzeni czterolecia, jakie upłynęło od narodzin województwa, namnożono w nim faktów i zjawisk, którymi skierniewiczanie — z dumą i bez skrępowania — chwalą się przy byle okazji, o ile akurat narzekać przestali.

Przytoczmy niektóre z podsuwanych przez nich przykładów.

Wśród każdego tysiąca mieszkańców województwa — 219 to aktywni użytkownicy bibliotek, podczas gdy w kraju przeciętna jest nieco niższa. W zeszłym roku biblioteki odnotowały 1.725 tys. wypożyczeń książek, co stanowi znaczny postęp w porównaniu z 1975 rokiem, plasując równocześnie to województwo na wysokiej pozycji w kraju. Zwiększa się liczba konkursów i turniejów czytelniczych, wystaw i przeglądów. Rośnie też aktywność amatorskiego ruchu artystycznego, skupiającego dziś 110 różnych zespołów.

W **szkołach** i innych placówkach działa 160 zespołów artystycznych i klubów zainteresowań. Od 1975 roku z 11 do 16 wzrosła liczba zespołów folklorystycznych, a z 6 do 15 — zespołów instrumentalno-wokalnych.

Nie tylko wzrasta ich liczba, **ale i jakość.** Dowodem tego jest coraz większy udział amatorskich reprezentacji województwa w ogólnopolskich przeglądach, konkursach i festiwalach.

Dowodem są **liczne sukcesy:** kabaret **„Klip-Klap" z Żyrardowa** i Teatr Publicystyki **„Ensamble" z Łowicza** zdobyły I miejsca w Ogólnopolskich Przeglądach Amatorskich Zespołów Teatralnych kapela ludowa **Stanisława Klejnasa z Raducza** została wyróżniona na Festiwalu Kapel i Solistów Ludowych w Kazimierzu nad Wisłą, zespół instrumentalno-wokalny **„Almanach"** dotarł do finału Przeglądu Piosenki i Muzyki Młodzieżowej w Toruniu, a zespół **„Rezonans"** — Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu i Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze, na IV Harcerskim Festiwalu Kultury w Kielcach zespół **„Baśń" z Żyrardowa** zdobył „Brązową Jodłę", a ekipa województwa skierniewickiego — główną nagrodę festiwalu.

Szeroką popularność — nie tylko w województwie, a nawet nie tylko w kraju — zdobyły m.in. takie zespoły, jak **zespół folklorystyczny z Lipiec Reymontowskich,** zespół pieśni i tańca **„Kolejarz" z Łowicza,** chór **„Echo" z Żyrardowa,** zespół pieśni i tańca z **Boczek Chełmońskich,** kapela podwórkowa z **Sochaczewa,** zespół Technikum Rolniczego w **Łowiczu „Blichowiacy".**

Przed trzema laty powołano w Skierniewicach **Biuro Wystaw Artystycznych,** które urządziło dotychczas 30 wystaw indywidualnych i zbiorowych. Skierniewice zorganizowały kilka plenerów plastycznych — m.in. „Kartka do albumu", „Człowiek i jego praca", „Piękno województwa w malarstwie" — w których wzięło udział 80 artystów z okręgu warszawskiego i łódzkiego, a także z miejscowego oddziału Związku Polskich Artystów Plastyków. Oddział ten wykazuje nb. godną podziwu aktywność. Podobnie zresztą jak miejscowe oddziały Stowarzyszenia Twórców Ludowych i Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich, a także 12(!) stowarzyszeń społeczno-kulturalnych.

Jednym z najprężniejszych i najliczebniejszych stowarzyszeń jest **Skierniewickie Towarzystwo Muzyczne im. F. Chopina,** które m.in. prowadzi społeczne ogniska muzyczne. Jest ich w tej chwili 12 — czyli dwa razy więcej niż przed reformą. Skupiają one 450 uczniów. Jeśli dodamy, że w województwie działają trzy szkoły muzyczne — da to jeszcze lepsze wyobrażenie o ruchu muzycznym, stanowiącym jedną z silniejszych dziedzin życia kulturalnego na tym terenie.

Równie mocną stroną działalności kulturalnej jest w Skierniewickiem **muzealnictwo.** Na tę okoliczność skierniewiczanie podsuwają kolejny chwalebny szczegół statystyczny: spośród każdego tysiąca mieszkańców województwa aż 600 odwiedza raz w roku muzeum, podczas gdy na tysiąc statystycznych Polaków bywa w muzeum tylko 200. Prócz dwóch oddziałów **Muzeum Narodowego — w Łowiczu i Nieborowie** — działają cztery muzea terenowe: **w Żyrardowie, Brzezinach, Rawie Mazowieckiej i Sochaczewie.** Do tego wspomnieć należy o dworku w **Żelazowej Woli,** placówce muzealnej prowadzonej przez Skierniewickie Towarzystwo Muzyczne im. F. Chopina, jak również o muzeum pałacowym w **Radziejowicach,** a także o prywatnych zbiorach regionalnych w **Sromowie** i **Złakowie Borowym,** o zbiorach szkolnych w **Kuklówce** i **Lipcach Reymontowskich** oraz o szeroko rozreklamowanej **„Wiejskiej Galerii Sztuki" Wojciecha Siemiona w Petrykozach.** Na tym zresztą nie koniec: zbiory przyrodnicze o charakterze dydaktycznym gromadzi **Leśny Zakład Doświadczalny w Rogowie,** a także **Instytut Sadownictwa i Kwiaciarstwa** oraz **Instytut Warzywnictwa w Skierniewicach.**

Skoro wymieniliśmy tu owe szeroko znane placówki naukowo-badawcze podkreślmy, że uczestniczą one w życiu kulturalnym Skierniewic w sposób znaczący. Nie zagłębiając się w szczegóły, zwrócić należy uwagę na organizowaną z ich udziałem od trzech już lat malowniczą i oryginalną imprezę, której nadano już rangę ogólnopolską. Chodzi tu mianowicie o **Święto Kwiatów, Owoców i Warzyw,** które stało się jednym z wyrazistych wykładników aktywności kulturalnej i społecznej tego województwa.

IV.

Umacnianie i rozwijanie osiągnięć oraz likwidowanie i łagodzenie niedostatków — tak można skwitować przyjęty przez plenum program. Generalnie rzecz ujmując, program sensowny i konkretny, nie bujający bynajmniej w obłokach, lecz trzymający się mocno ziemi, a więc rozsądnie uwzględniający lokalne potrzeby i możliwości.

Warto przy tym zwrócić uwagę na jeden szczegół. W proponowanym nowym modelu strukturalnym kultury głównym ogniwem — centralą, mózgiem, czy jak to nazwać? — ma być **Wojewódzkie Centrum Kultury i Sztuki,** w skład którego wejdą wszystkie placówki kulturalne stolicy województwa z Wojewódzkim Domem Kultury, Wojewódzką Biblioteką Publiczną, Galerią Sztuki i kinoteatrem „Polonez". Baza lokalowa jednak skromniutka, jakeśmy już sobie — za skierniewiczanami — ponarzekali. Otóż to: trwa już w Skierniewicach remont i adaptacja obiektu, którego uruchomienie złagodzi, a może i w sporej mierze usunie tak dotkliwe dziś mankamenty. Obiektem tym jest bowiem zespół pomieszczeń byłego browaru, których łączna powierzchnia — 6.500 m kw. — umożliwi skupienie pod jednym dachem sali widowiskowej, kawiarni i sali klubowej, sal wystaw i sal prób, pracowni kół zainteresowań, a nawet i szkoły muzycznej, szkoły plastycznej, zakładu małej poligrafii oraz pracowni usług plastycznych.

Skierniewiczanie już się niecierpliwią, że remont — prowadzony poza planem i portfelem, systemem na poły gospodarczym — potrwa długo. A ich niecierpliwości trudno się dziwić, bo trudno też być cierpliwym, gdy potrzeby przypierają do muru, a ambicje nie pozwalają usiedzieć spokojnie na miejscu...

NIE ZAPOMNIEĆ

Rozmowa z MARTĄ JANIC

— Gratulując pani tegorocznej Nagrody Prezesa Rady Ministrów za twórczość artystyczną dla dzieci i młodzieży, chciałbym naszą rozmowę zacząć od przypomnienia początków pani drogi twórczej. O ile wiem, związana była ona przede wszystkim z łódzkim Teatrem Lalek „Pinokio"...

— Tak, ale lalkarstwem zainteresowałam się wcześniej, już przed wojną, kiedy pracowałam jako nauczycielka. Ukończyłam i prowadziłam wówczas kursy lalkarskie zorganizowane przez Okręg Kielecki ZNP. Brałam udział w tworzeniu sieci teatrów lalkowych w 15 miastach tego okręgu.

Bardziej realne myślenie o teatrze lalek — w wolnej już Polsce — zaczęło się w 1944 roku, w Częstochowie. Z gronem entuzjastów, pod wodzą późniejszego wykładowcy UŁ prof. Mariana Glutha, utworzyliśmy wtedy coś w rodzaju grupy założycielskiej przyszłej sceny lalkowej. To był zalążek, z którego już po roku miał wyrosnąć teatr, nazwany w 1949 roku: „Pinokio".

„Często wracam pamięcią do naszych początków. Niekiedy zachęcają mnie reakcje widzów. Zdarzają się dowody na to, że „Pinokia" nie zapomnieli ci, którzy tworzyli pierwszą publiczność".

— Jak do tego doszło? Kronikarze teatru wspominają, że kiedy teatr dawał swoją pierwszą premierę, w Berlinie huczały jeszcze działa....

— Poszliśmy za namową prof. Glutha, który powiedział kiedyś: „Łódź, takie duże robotnicze miasto, a nie ma swojego teatru lalek...". Zebrało się nas 8 osób, no i pojechaliśmy. Łódzki teatr zainaugurował występy 1 maja 1945 roku. W sali Robotniczego Domu Kultury graliśmy przywiezione z okupacji „Bajowe bajeczki" Marii Kownackiej, w mojej reżyserii, ze scenografią Jadwigi Niemcowej i muzyką Macieja Zalewskiego.

— Jak dzisiaj — z perspektywy prawie 35 lat istnienia „Pinokia" — widzi pani tamte początki?

— Mam do nich szczególny sentyment, bo zręby teatru tworzyliśmy w bardzo trudnych warunkach. Wszystko musieliśmy załatwiać od początku sami. Chodziło się więc po urzędach, nękało... Wtedy nie było jeszcze mowy o państwowej dotacji, ale z czasem Towarzystwo Przyjaciół Dzieci wstawiło do planu symboliczną złotówkę i wzięło nas na etaty... wychowawczyń przedszkoli. Był w tym jakiś romantyzm. Wtedy nie liczyło się godzin spędzanych w teatrze... Za to dzisiaj zdarza mi się spotykać ludzi, którzy dziwią się, że kiedyś takie życie było możliwe. A teraz? Przyszła stabilizacja, ludzie zaczęli myśleć głównie o wygodzie. Drobiazgi, które niegdyś nie były dostrzegane, urastają do nie lada problemów. Może to zresztą naturalne, że po tylu latach ludzie chcą żyć wygodniej? W każdym razie organizacja życia teatralnego powinna być sprawniejsza. W tamtych czasach wiele opierało się tylko na zaufaniu, bez dobrej woli różnych ludzi niewiele byśmy zdziałali... Ja zresztą, z drugiej strony, zawsze starałam się być dość twarda w swoich wymaganiach, tam, gdzie w grę wchodził interes teatru.

— Mówi się czasem, że „Pinokio" wywiódł swoją działalność i swój program ze źródła współczesnego polskiego lalkarstwa, jakim przed II wojną był RTPD-owski „Baj". Na czym, pani zdaniem, polegał ten związek?

— W międzywojennej Polsce był „Baj" jedynym zawodowym, a jednocześnie postępowym, na wskroś laickim teatrem lalek. W oparciu o ten teatr organizowaliśmy właśnie sieć scen lalkowych w Kieleckiem. Po wojnie, kiedy TPD objęło patronat nad 8 teatrami lalkowymi, w tym również nad „Pinokiem", nie było dla nich repertuaru. Jedyny stanowiły sztuki „Baja". Dziś jest to już klasyka. I czy ktoś chce czy nie chce, będzie się do niej wracać. Tym bardziej że teatry lalek nadal cierpią na brak dobrego repertuaru.

— A poza repertuarem nie było żadnych podobieństw?

— „Bajowi" niejednokrotnie zarzucano dydaktyzm. Ale dydaktyzm można różnie rozumieć: wąsko i szeroko. Jeśli teatr chce pełnić funkcję wychowawczą, musi najpierw być teatrem artystycznym. W „Pinokiu" staraliśmy się, aby wszystko to co dydaktyczne, było zawsze również artystyczne. Wychowanie przez sztukę rozumieliśmy jako zaspokajanie potrzeb artystycznych małego widza, kształtowanie jego wyobraźni i wrażliwości estetycznej, a także jako pomoc w przygotowaniu dziecka do życia między ludźmi. Nie jest łatwą rzeczą znaleźć wspólny język z dzieckiem. Wierzę, że chociaż części dorosłych pomogliśmy w nawiązaniu tego kontaktu.

— W programie artystyczno-wychowawczym kierowanego przez panią teatru nie brakowało przy tym treści społecznych. Znalazło to odbicie w uzasadnieniu tegorocznej nagrody, przyznanej przecież „za wartości społeczne i artystyczne"...

— Swój zawód rozumiałam zawsze jako misję artystyczną, wychowawczą i społeczną, przy czym treści społeczne starałam się wyrażać nie tylko przez sztukę. Mojej pracy zawodowej towarzyszyły liczne funkcje poza teatrem, ważne dla mnie zresztą i dzisiaj. Wymienię pracę w Towarzystwie Kultury Teatralnej, w Polskim Ośrodku Lalkarskim „POLUNIMA" i inne. Muszę zarazem podkreślić, że w inspirowaniu amatorskiego ruchu teatralnego uczestniczył zawsze aktywnie cały zespół teatru.

W pracy artystycznej w „Pinokiu" chcieliśmy zachować właściwe proporcje między ideowością i artyzmem, trzymając się zawsze zasad socjalistycznego humanizmu i współczesnej

ZDZISŁAW GŁOWACKI

„...sztuka nieprzedstawiająca stanie się realizmem XXI wieku".
Foto: R. Łucyszyn

Bliższy mi jest miękki pędzel niż ostre pióro. Ale nawet i nim powiedziałem chyba dotąd za mało jako malarz.

Życia ludzkiego nie da się ściśle wtłoczyć w ramki lat, zawsze coś będzie z nich wystawać. Więc powiem tak: urodziłem się w Łodzi, róg Tylnej i Kilińskiego, na zapleczu fabryki Barcikowskiego. I z tych szczenięcych lat wyniosłem miłość do kominów, które są dziełami sztuki na miarę starożytnego Egiptu. W tamtych czasach sztuka pełniła przecież funkcje czysto użytkowe, była rytuałem codziennego bytowania. Czy ktoś wpadłby na pomysł rozebrania na części Iglicy Kleopatry? Uznano by go za wariata. A w Łodzi kominy rozebrano, nawet ten najpiękniejszy „Emforu", chociaż mógł być z powodzeniem wykorzystany jako urządzenie klimatyzacyjne.

Piszę tak, bo kocham Łódź, z którą zrosło się moje życie. Tu oglądałem pierwszy raz wystawę malarstwa. Chociaż życie artystyczne nie toczyło się przed wojną zbyt bujnie oprócz kręgu Strzemińskiego działali tu przecież Mackiewicz, Kwapiszewska. Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie zrobiło na mnie przyznanie nagrody m. Łodzi Tadeuszowi Kulisiewiczowi, młodemu przecież wtedy artyście. Przeżyłem także w tamtych latach wystawę trzech generacji Kossaków. Wielkie znaczenie miało dla mnie zapoznanie się z twórczością Jana Cybisa w galerii IPS. A młody Konstanty Mackiewicz? Uczęszczając do szkoły pobierałem lekcje malarstwa u Wippelda, a potem wybrałem się do Krakowa na studia w ASP.

Potem nadeszła wojna, która ściągnęła mnie na powrót do Łodzi. Znalazłem się, jako podchorąży rezerwy, w kompanii łpanc 16 DP. Przeżywałem gorycz klęski, ale czułem jednocześnie coś na kształt satysfakcji widząc pretorianów, którzy uciekali na rowerach. Życie ocaliła mi zdobyczna lornetka, którą strzaskał niemiecki pocisk. Miałem też to szczęście, że nikogo na wojnie nie zabiłem poza ranną kobyłą, Dusią, której skróciłem męki strzałem z pistoletu. Pamiętam ten moment do dziś, ale wojna zawsze była mi wstrętna i może dlatego nawet nie starałem się jej wyrazić jako malarz.

W pierwszych dniach okupacji pracowałem jako tramwajarz w zajezdni na Helenówku. Pewnego dnia podjąłem decyzję, żeby żyć z malarstwa. Pracowałem wtedy jako buchalter w Częstochowie. Obrazy pozwalały mi żyć, bo zapominałem o okupacyjnej rozpaczy. W pierwszych dniach po wyzwoleniu wróciłem do ojca do Łodzi, który jako pracownik zakładów Sztajnerta mieszkał wtedy przy ul. Pabianickiej. Zostałem rewidentem ksiąg i remanentów w Zjednoczeniu Przemysłu Bawełnianego, ale pociągały mnie przerwane studia i w Krakowie, w pracowni Rudzkiej-Cybisowej uzyskałem dyplom ASP.

W Łodzi mnie nie chcieli. Wreszcie znalazłem zrozumienie u prof. Ormezowskiego, który zaproponował mi asystenturę. Nigdy nie przypuszczałem, że zostanę kiedyś rektorem łódzkiej uczelni, ale to już osobna sprawa, do której jeszcze wrócę. W obchodach 35-lecia PRL zawiera się trzydzieści lat mojej działalności pedagogicznej, trzydzieści lat mojej świadomej działalności artystycznej i trzydziesty rok mego małżeństwa, bo w 1949 r. ożeniłem się z młodziutką malarką Jadwigą Cielecką. Wracam myślą do tych lat i myślę, że malarze polscy są w dużo lepszej sytuacji niż ich koledzy za granicą. Artysta powinien zawsze odpowiadać na potrzeby społeczne, a one się zmieniają. I to zmusza z kolei do ciągłej rewizji poglądów, do ciągłej korekty postawy artystycznej. Na to nie może sobie pozwolić artysta na Zachodzie, bo, po prostu, straci rynek. Nas stać na luksus posiadania idei.

W Szkole Plastycznej, gdzie po śmierci prof. Ormezowskiego, objąłem pracownię, u progu lat pięćdziesiątych ścierały się dwie orientacje. Tendencje kapistyczne reprezentował Jaeschke zaś Byrski ekspresjonizm typu holenderskiego. Z „teorią widzenia" Strzemińskiego solidaryzowali się Modzelewski i Wegner. Socrealizm pogodził jednych i drugich, ale Strzemińskiego usunięto ze szkoły. Przykro było patrzeć jak po śmierci tego wielkiego malarza ludzie mieniący się jego przyjaciółmi nie mieli odwagi przyjechać na pogrzeb. Przy mogile było niemal pusto.

Z perspektywy lat oceniam socrealizm jako etap potrzebny młodej rewolucji społecznej. A przecież w tamtej sztuce była zarazem wielka prawda artystyczna. Dlatego czasami mówię do studenta: Niech pan kłamie jako artysta. A kiedy pan już zacznie kłamać, zabiję w panu tę nową prawdę.

Łódź potrzebuje legendy czy jeśli ktoś woli mitu nowego bohatera, bo mit jest pożywką nie tylko sztuki, ale także ludzi. Dlatego zdecydowałem się na stworzenie galerii Budowniczych Polski Ludowej, namalowałem portrety ludzi żywych, a przecież z aureolą pracy, z tym, co zawsze było największą wartością, która dopiero w naszej rzeczywistości stała się godna pomników. To jest właśnie potrzeba społeczna, na którą staram się odpowiedzieć jako artysta.

A przecież był w moim życiu etap ważny: byłem, chyba jako pierwszy w Polsce, taszystą. U jednych wzbudzało to zachwyty, inni potępiali mnie za czystą abstrakcję. Taszyzm nie był prostą reakcją na socrealizm, choć rozkwitł w połowie lat pięćdziesiątych. Był to okres dominacji filmu, fotografii, wkrótce u nas w Polsce pojawiła się telewizja. Fascynacja techniką jest niebezpieczna dla sztuki, trzeba się przed nią bronić, bo sztuka jest również biologiczną potrzebą człowieka. Tak właśnie pojmowałem taszyzm.

Niektórzy sądzą, że był on tylko modą, która przeminęła. To głębokie nieporozumienie. Przekonany jestem do końca, że sztuka nieprzedstawiająca stanie się realizmem XXI wieku. Innej drogi po prostu nie ma. Doceniam także znaczenie portretu, nieprzypadkowo przecież wykonałem całą galerię konterfektów rektorów Politechniki Łódzkiej i Wojskowej Akademii Medycznej. Przedstawiając człowieka malarz zawsze będzie miał więcej do powiedzenia niż chłodna, nieczuła kamera.

Broniąc się przed zależnością techniki artysta nie powinien się wszakże odwracać od możliwości jakie daje wykorzystanie różnych technik, które trzeba sobie podporządkować. Nie uprawiam wprawdzie sztuki monumentalnej, ale w technice sgrafitto przyozdobiłem blisko pięćdziesiąt Szkół Tysiąclecia w całym województwie łódzkim i do dziś czuję satysfakcję z tego powodu. Doceniam potrzebę uprawiania sztuki czystej, która jest dla artysty tym, czym badania podstawowe dla nauki, ale w swoich działaniach kojarzyłem często wyraz estetyczny z potrzebami użytkowymi. Wyniosłem to zresztą z łódzkiej Szkoły Plastycznej, która szczęśliwie łączyła w swym programie te dwie, zdawałoby się przeciwstawne potrzeby. Napawa mnie dumą, że stworzyłem trzydzieści dwie mozaiki ścienne, między innymi w gmachu Łódzkiego Ośrodka Kształcenia Ideologicznego, w zakładach „Polfy" w Pogorzelicy i Pabianicach, w Międzyzdrojach, w oddziale gorzowskiego „Stilonu". Wykonałem także w zaprzyjaźnionym z nami mieście Karl-Marx-Stadt salę „Łódź", w której umieściłem mozaiki ze złota, srebra i mosiądzu.

Na jakimś spotkaniu w Zielonej Górze wielki poeta Julian Przyboś, z którym się często nie zgadzałem, powiedział mi znamienne słowa: „Trzeba o coś walczyć" Przyznałem mu rację, bo zawsze byłem zdania, że na artyście spoczywa obowiązek łączenia swego rozwoju artystycznego z ogólniejszymi celami społecznymi, a to wymaga pasji, która jest matką najambitniejszych zamierzeń. Pasji, dyskusji, ścierania poglądów. Ludzie, którzy mnie dobrze znają przyznają na pewno, że jako rektor łódzkiej uczelni plastycznej zawsze tęskniłem, żeby ktoś miał inne zdanie niż ja, bo nie uzurpowałem sobie nigdy prawa do nieomylności. Trudno mi oceniać lata mego rektorowania, podobnie jak trudno mi być sędzią własnej twórczości. Kiedy ocenia się innych, to często nawet serce nie drgnie, a w stosunku do siebie zawsze mamy dużo skrupułów, choć jestem zdania, że tylko człowiek surowy wobec siebie samego, może być wielkim artystą. Z perspektywy czasu widzę, że w nauczaniu młodych adeptów sztuki nie ma spraw ważniejszych niż ideologiczne. Do umiejętności warsztatowych dojdą z czasem sami, zwłaszcza, gdy dobre chęci poparte są talentem, ale nawet talent nie zwalnia od myślenia. Chciałem więc w latach mego rektorowania, aby uczelnia była rzeczywiście nowoczesna, aby ukazywała nie tylko konsekwencje wynikające z teorii widzenia i suprematyzmu, ale uczyła samodzielnego myślenia. Tym założeniom podporządkowany był program, który w moim przekonaniu zawsze powinien być konsekwencją ideologii. Bez jasno sprecyzowanego profilu artystycznego uczelni nie podjąłbym się obowiązków rektora, choć sprawy administracyjne zbytnio mnie nie absorbowały, może dlatego, że pracowałem niegdyś jako buchalter i zwykłe sprawy zarządzania traktowałem rutynowo. Nie znaczy to oczywiście, że wszystko szło jak po maśle, bezwstrząsowo, było na pewno wiele spraw, których mimo najlepszych chęci nie udało mi się rozwiązać, ale cieszę się, że z tych zmagań pozostały rzeczy trwałe, byłem bowiem, w czym popierali mnie koledzy, rzecznikiem budowy nowego gmachu Szkoły Plastycznej. Był to okres trudny, potykaliśmy się o problem służby inwestycyjnej. Mimo to konkurs architektoniczny przyniósł dobre owoce, a dzięki jednej butelce koniaku przedsiębiorstwo budowlane rozpoczęło prace na pół roku przed projektowanym cyklem budowy. Podejmowałem też nieustannie próby „przebudowania" starej szkoły i byłem rzecznikiem wprowadzenia nowych specjalizacji w dziedzinie projektowania przemysłowego. Nie było to rzeczą łatwą, gdyż, jak to już mówiłem wcześniej, administrowanie jest zawsze rzeczą łatwiejszą niż tworzenie programu. Nie wszystko, co zamierzyłem, dało się później zrealizować, ale wierzę, że rozpoczęte przeze mnie dzieło moi następcy będą kontynuować jeszcze skuteczniej, z większym ode mnie szczęściem.

Przypominam sobie, że podczas mego rektorowania wielu kolegów otrzymało tytuły naukowe, często byli odznaczani. Nie uważam, że są to sprawy nieistotne, bo stawiam sobie w życiu jako cel naczelny, żeby wszyscy moi współpracownicy czuli się potrzebni, ważni, niemal niezastąpieni. Tego nauczył mnie socjalizm. Starałem się więc, wracam znów do lat mego rektorowania, aby uczniowie naszej szkoły mieli szanse rozwoju. Dziś artyści tacy jak Tchórzewska, Stanecki, Zieliński czy Pierzgalski mają głośne w Polsce nazwiska i na pewno w dużym stopniu zawdzięczają to naszej uczelni. Osobiście cieszy mnie ich rozwój, ich dokonania znaczące nie tylko w łódzkim środowisku plastycznym, które także oceniam bardzo wysoko.

Na zakończenie tych rozważań, których napisanie przyszło mi nie łatwo, bo najpełniej wypowiadam się poprzez malarstwo, jeszcze jedna refleksja. Refleksja człowieka urodzonego w Łodzi. Obserwując wiele interesujących poczynań środowiska artystycznego, a więc już nie tylko plastyków, utwierdzam się coraz bardziej, że w Łodzi nie tylko można żyć, pracować, tworzyć, ale także jeszcze coś pożytecznego zrobić dla tego miasta, które już chyba dawno przestało być niekochane.

O UŚMIECHU

pedagogiki. Mieliśmy na tej drodze sukcesy, bywały też potknięcia, podobnie zresztą, jak w wielu teatrach lalkowych w Polsce. Pragnęliśmy jednak zawsze być teatrem społecznie potrzebnym. Nasze spektakle niejednokrotnie dawały wyraz temu, co dzieje się wokół. Przykładem — spektakle „O czym mówią cztery pory roku" oraz „Orły i trąbki", które dla mnie osobiście były ważnym doświadczeniem.

— O pierwszym z nich słynny radziecki lalkarz Sergiusz Obrazcow napisał: „Zrodziła go miłość do polskiego ludu, szacunek dla jego kultury. Odwołując się do serca dziecka — do jego duszy teatr daje dziecku podstawy wychowania humanistycznego. Kiedy mały widz ogląda sceny świąt ludowych, słucha pieśni ludowych, widzi strój i elementy ozdób ludowych — budzi się w nim poczucie piękna". A belgijski reżyser Francis Purnelle nazwał ten spektakl „sercem malowany...".

— Próbą wychowania obywatelskiego poprzez teatr lalek były także „Orły i trąbki", widowisko pokazujące tradycję walk narodowowyzwoleńczych ludu polskiego. Już na etapie scenariusza nie było to sprawą prostą, choćby ze względu na wielość rewolucyjnych nurtów, konieczność wyboru niektórych przykładów... Ale proszę mi powiedzieć: gdzie, jak nie w teatrze, powinniśmy zaczynać uczyć kochania ojczyzny?...

— Teatr „Pinokio" nie zabiegał w czasach pani dyrekcji i kierownictwa artystycznego o jakiś jednoznacznie określony styl, nie ograniczał się do wybranych gatunków. Był otwarty, wielokierunkowy. Czeski lalkarz dr Jan Malik stwierdził kiedyś, że „Pinokio" jest żywym przykładem tego, jak szerokie możliwości ma lalka... Czy jednak pani, jako dyrektor i reżyser większości przedstawień, preferowała jakiś typ widowiska, gatunek czy styl?

— W sztuce wszystko już było i dzisiaj powtarza się sposoby i formy, tylko łącząc je inaczej. W „Pinokiu" troszczyliśmy się zawsze o różnorodność i atrakcyjność przekazu. Stosowaliśmy wiele rodzajów lalek: kukły małe i wielkie, jawajki, marionetki i pacynki, lalki mechaniczne i rzeźbione w drewnie, żyworękie, półplastyczne i cienie. Bywał także „żywy" plan i aktorzy w maskach. Oprawa scenograficzna również stanowiła teren ciągłych poszukiwań. Staraliśmy się unikać monotonii. Mnie, a sądzę, że i małego widza, męczy zawsze śledzenie widowiska zrealizowanego w jednej konwencji, np. „teatru czarnego". Nieprzerwana ciemność wywołuje niepokój, budzi strach. Warto ją rozjaśnić smugą światła. W „Pinokiu" staraliśmy się pamiętać o barierach psychiki i wrażliwości dziecka. A przy tym zawsze w cenie był dobry warsztat, techniczna sprawność. Dość ostrożnie podchodziliśmy do rozmaitych „nowinek". Kiedy wybuchła moda na „żywy" plan, zaczęły z niego korzystać niemal wszystkie teatry, zapominając przy tym często o podstawowym zadaniu, jakim jest doskonalenie gry lalkami.

Mnie osobiście pociągał teatr muzyczny. W moich przedstawieniach nie brakowało nigdy śpiewu i tańca. Muzyki nie z taśmy magnetofonowej, ale „na żywo". Czy pan wie, że do 1956 roku w „Pinokiu" co wieczór grała orkiestra...? Ostatnio reżyserowałam w Kielcach sztukę „Od bieguna do bieguna" Ireny Pikitl. Autorka przewidziała w niej tylko 4 piosenki, a tymczasem podczas prób rozrosły się one w 24 minuty muzyki! I myślę, że przez długie lata pracy w teatrze lalek udało mi się coś nie co zrobić dla umuzykalnienia paru pokoleń dzieci. Przez „Pinokio" przewinęło się grono znanych kompozytorów, m. in. Jan Maklakiewicz, Tadeusz Paciorkiewicz, Tomasz Kiesewetter, Krzysztof Penderecki, Andrzej Hundziak, Piotr Hertel, Piotr Marczewski, Jerzy Zarycki, Jerzy Milian....

— Jest również pani zasługą skupienie wokół teatru wielu ciekawych twórców innych dziedzin. Dzięki pani inspiracji powstało szereg nowych sztuk...

— Ja sama zrealizowałam dotąd 64 przedstawienia, w tym 23 — prapremiery, ale w „Pinokiu" było ich więcej. Myślę, że przynajmniej część z tych nowych sztuk weszła do repertuaru teatru lalek. Wspomniał pan o integrowaniu twórców. Nie sposób wymienić tutaj wszystkich, którzy z nami współpracowali. Ale dla przykładu. Spośród autorów: Maria Kann, Zofia Lorentz, Ewa Szelburg-Zarembina, Janusz Galewicz, Leszek Mech. Wśród reżyserów byli Wanda Byrska, Władysław Jarema, Henryk Ryl. Z grona scenografów wymienię tylko Jerzego Czerwińskiego, Tadeusza Hołówko, Henri Poulaina, Wacława Kondka, Adama Kiliana, Zygmunta Smandzika. Osobny rozdział to aktorzy. Niektórzy pracowali ze mną jeszcze przed wojną, grali w teatrach szkolnych. Inni przyszli do kraju z Teatrem Wojska Polskiego. Część zaczynała w teatrze lalek, a po skończeniu studiów przenosiła się do teatrów dramatycznych, muzycznych, do studiów filmowych. W pierwszych latach współpracował z nami Jan Sztaudynger. Większość tych, którzy zaczynali 35 lat temu, jest dziś już na emeryturach. Spośród tych, którzy przyszli do teatru w latach 50-tych, część jest jeszcze w zespole. Przez „Pinokio" przeszło wiele osób, którym umożliwiliśmy rozwój talentu, studia, egzaminy eksternistyczne. Nawet jeżeli potem odchodzili, praca ta nie szła na marne. A przecież wielu zaczynało od niczego. Uczyło się, nie przerywając pracy w teatrze i łącząc — zwłaszcza w pierwszym okresie — różne funkcje, nie tylko aktorskie, ale i techniczne. Tak było zwłaszcza na objazdach, które przez wiele lat stanowiły ważną część naszej działalności. Pracę w terenie zaczęliśmy już w 1946 roku, spektaklem w Tuszynie. Z latami objęła ona 11 województw. Każdy spektakl opracowywaliśmy podwójnie, „na bazę" i na objazdy. Szukaliśmy takich środków, aby występy w terenie nie oznaczały zaniżania poziomu. Byliśmy wszędzie tam, gdzie na nas czekano...

— Dzięki tej aktywności i gotowości mógł „Pinokio" poszczycić się na swoje 30-lecie ponad 4,5-milionową widownią... To chyba najważniejsze?

— Często wracam pamięcią do naszych początków. Niekiedy zachęcają mnie reakcje widzów. Zdarzają się dowody na to, że „Pinokia" nie zapomnieli ci, którzy tworzyli pierwszą publiczność tego teatru, a dziś są już dorośli. Zawsze ciepło wspominam swoje kontakty z widzem, czy to w Łodzi, innych miastach Polski, na wsiach, czy — wreszcie — za granicą. Teatr „Pinokio" występował przecież kilkakrotnie poza krajem: w Anglii, Jugosławii, Bułgarii i na Węgrzech. Te kontakty również były dla teatru ważne. Dla mnie na przykład dużą wartość ma złota odznaka festiwalu teatru lalek w Szibeniku, którą otrzymałam w tym roku, dowód, iż nawiązane przez „Pinokio" więzy przyjaźni z Jugosłowianami okazały się — mimo upływu lat — trwałe.

To są wszystko miłe dowody pamięci. Ale najlepszą zapłatą dla nas, lalkarzy, jest beztroski śmiech dzieci. To zawsze najprawdziwsza ocena naszej pracy. Staraliśmy się o tym pamiętać, przygotowując kolejne premiery w „Pinokiu"....

...Kiedy jednak podsumowuję swoje lata spędzone w teatrze, myślę z żalem, że niektórych moich i — naszych, wspólnych — zamierzeń nie udało się zrealizować. Takim nie spełnionym marzeniem jest nowy gmach dla „Pinokia". Kiedy żegnałam się z „Pinokiem", przyznano lokalizację dla nowego teatru... Ale potem sprawa ucichła, a dziś mówi się już tylko o generalnym remoncie starych pomieszczeń.

Nas, lalkarzy, smuci czasem to, że teatr lalek nie jest u nas jeszcze w pełni doceniany, że traktuje się go jak „zabawę w kukiełki"... Ale wiem też, że gdy władze nadają rangę jakiejś sprawie, to sprawa ta rośnie. Wierzę, że to spotka również polskie teatry lalek, z których wiele pracuje do dziś w bardzo złych warunkach. I to jest moje życzenie z okazji Międzynarodowego Roku Dziecka i wyróżnienia, które mnie spotkało:

Nigdy nie zapominać o uśmiechu dziecka...

Rozmawiał:
TOMASZ SOLDENHOFF

„CYWILNE" SAMOLOTY DLA RODEZJI

W ubiegłym tygodniu wojska rodezyjskie dokonały kolejnego ataku na Zambię, wdzierając się około 100 km w głąb terytorium tego kraju. Mozambik. Zambia i Angola niejednokrotnie padały ofiarą ataków armii rodezyjskiej, poprzedzanych bombardowaniem lotnictwa. Przede wszystkim siły powietrzne pozwalają reżimowi rodezyjskiemu na utrzymywanie przewagi nad oddziałami Patriotycznego Frontu Zimbabwe. Przy pomocy samolotów Salisbury próbuje także zastraszyć sąsiadujące z Rodezją kraje afrykańskie. Paradoks polega na tym, że państwo, na handel z którym, przynajmniej teoretycznie, nałożono całkowite embargo obejmujące przede wszystkim dostawy broni i które nie jest zdolne do produkowania własnego uzbrojenia, dysponuje doskonałym, nowoczesnym sprzętem wojskowym.

Niegdyś uważano, że siły powietrzne Rodezji składają się z przestarzałych samolotów z okresu II wojny światowej, zbieraniny samolotów szkoleniowych i starych francuskich śmigłowców. Okazało się, że rodezyjscy lotnicy pilotują nowoczesne śmigłowce wsparcia ogniowego produkcji amerykańskiej, najnowsze włoskie samoloty „Marquetti 260". Przyleciały one wprost z zakładów lotniczych w północnych Włoszech z belgijskimi znakami rozpoznawczymi, chociaż, jak później stwierdzono, samoloty te nie były oficjalnie zarejestrowane przez władze belgijskie. Teraz, zaopatrzone w nowoczesną broń, aktywnie uczestniczą w walkach z partyzantami Zimbabwe.

Jak stwierdzono, w Hossely ulokowała się kompania „Aviation Spare Parts Europe", która jest głównym pośrednikiem w sprzedaży samolotów „Marquetti 260". Właścicielem kompanii jest były lotnik, mistrz najwyższej klasy pilotażu, Andre Delamende. Powiedział on, że kiedy tylko rozpoczął sprzedaż samolotów tego typu, odwiedziło go trzech mężczyzn, z których dwóch przedstawiło się jako piloci, a trzeci jako dyrektor handlowy kompanii „Rogers Aviation" w Mauretanii. Chodziło o prywatną transakcję handlową, jeśli pominąć fakt, że Delamende nie zadał sobie trudu, żeby dokładnie sprawdzić personalia swoich klientów. Zresztą nie uważał tego za konieczne, ponieważ — jak się wyjaśniło — sam jest sympatykiem reżimu rodezyjskiego. Jego klienci po wypróbowaniu samolotów w powietrzu wyrazili chęć nabycia 17 sztuk tych maszyn, to znaczy całej partii, jaką dysponował w owym czasie Delamende.

I tu ujrzał światło dzienne fakt zgoła sensacyjny. W rzeczywistości klientami Delamende'a byli: marszałek lotnictwa M. Macklaren, w owym czasie dowódca sił lotniczych Rodezji i marszałek lotnictwa rodezyjskiego F. Massel, który później zajął stanowisko Macklarena. Podróż obu marszałków zorganizował Müller, dyrektor rodezyjskiej kompanii transportowej. Po zawarciu transakcji samoloty zdemontowano, załadowano do kontenerów i wysłano transportem kolejowo-samochodowym do Antwerpii. W załączonych dokumentach, okazanych w komorze celnej przy lotnisku Hossely, w rubryce: „miejsce przeznaczenia ładunku" widniało: „Rogers Aviation — Mauretania". W Antwerpii dalszym transportem kontenerów zajęła się jedna z największych spedytorskich firm miasta — „Politra". Operację nadzorował dyrektor tej firmy, Fern Verrniken, utrzymujący bezpośredni kontakt z Müllerem. Jak powiedział Verrniken, Müller spytał go, czy firma może zapewnić transport do Południowej Afryki 17 cywilnych samolotów przeznaczonych do nauki pilotażu. „Odniosłem wrażenie — powiedział Verrniken — że zleceniodawcą był rząd Republiki Południowej Afryki". Ale tym razem on z kolei nie sprawdził w dokumentach ani docelowego miejsca transportu ładunku, ani pełnomocnictw swego klienta. Na swoje usprawiedliwienie Verrniken powiedział, że w Antwerpii codziennie ładuje się statki płynące do Południowej Afryki...

Antwerpia, czwarty pod względem wielkości port na świecie, jest ważnym ogniwem w łańcuchu zakonspirowanego handlu z Rodezją. Tutaj przychodzi rodezyjski tytoń, stąd wysyła się do Rodezji różne urządzenia techniczne. Port zyskał rozgłos również dlatego, że odbywa się tędy szmugiel takich niedozwolonych towarów, jak narkotyki, diamenty, broń. Policja przeprowadza regularne kontrole w rejonie doków. Ale operacja Müllera była formalnie legalna, przynajmniej z punktu widzenia władz, ponieważ ładunek przeszedł przez kontrolę celną.

W Antwerpii samoloty załadowano na mocno sfatygowany statek portugalski, odbywający regularne rejsy między Europą i portami w południowej części Afryki. Po 6 tygodniach zarzucił on kotwicę w Durbanie, w RPA. Po wyładowaniu kontenerów, należąca do Müllera kompania „Barrbrake", przetransportowała samoloty z Durbanu do Salisbury przez granicę południowoafrykańską. Nie tak dawno Müller przeprowadził swoją największą operację handlową. Tym razem były to śmigłowce. Głównym kontrahentem Müllera była tym razem kompania „Air Association" w stanie Illinois, w USA. Właściciele kompanii zapewniają, że jest ona jedną z największych firm trudniących się sprzedażą śmigłowców „Bell 205", używanych w armii izraelskiej. Partia tych samolotów, sprzedanych przez Izrael za pośrednictwem „Air Association", znalazła się niebawem w Rodezji. Postawiło to w niezręcznej sytuacji rząd USA, który zezwolił na eksport tych samolotów, mimo gromkich oświadczeń o utrzymaniu embarga na dostawy broni do Rodezji. W dodatku, jak oświadczył jeden ze znanych ekspertów w tej dziedzinie, trudno uwierzyć, żeby amerykański wywiad nie znał prawdziwego adresata tych samolotów.

W sierpniu ub. roku — jak poinformował londyński tygodnik „New African" — kontenery z rozmontowanymi śmigłowcami dostarczono do portu w Hajfie, gdzie bez przeszkód przeszły przez komorę celną. Stąd, za pośrednictwem małej portugalskiej firmy „Airfracht", kontenery ze śmigłowcami przetransportowano do Rodezji. James Ngobi, członek komisji ONZ d.s. przestrzegania sankcji przeciwko Rodezji, jest przekonany, że cały szereg kompanii, zarówno na południu Afryki jak i w Europie, stale narusza embargo. Ta sama komisja ONZ zaleciła Radzie Bezpieczeństwa zwrócenie uwagi na pośredników w handlu z Rodezją, którzy dotąd pozostają w cieniu. Jednakże, zdaniem niektórych członków komisji, ktoś w administracji USA dąży do sabotowania tych sankcji.

I tak, głosząc konieczność pokojowego uregulowania problemu rodezyjskiego, mocarstwa zachodnie dążą za wszelką cenę do umocnienia marionetkowego reżimu Muzorewy — Smitha. Służy temu celowi tzw. konstytucyjna konferencja w sprawie Rodezji, rozpoczęta w Londynie 10 września br. Jednocześnie, wbrew embargu nałożonemu przez ONZ, określone koła Zachodu, wespół z rządem Republiki Południowej Afryki, nadal dostarczają, oczywiście w tajemnicy, reżimowi w Salisbury najnowsze systemy broni do walki z oddziałami Patriotycznego Frontu Zimbabwe.

J. CZECH

Premier ChRL — Hua Kuo-feng podróżując po Europie zachodniej, odwiedził Francję, RFN, Wielką Brytanię i Włochy. Agencja XINHUA w korespondencji przeznaczonej dla odbiorców zagranicznych doniosła, że premier Hua Kuo-feng nie tylko prowadził ważne rozmowy polityczne, ale też zwiedził fabryki, gospodarstwa naukowe, placówki naukowe i muzea. Przy okazji XINHUA stwierdziła, że „nikt chyba nie będzie tak naiwny, aby sądzić, że opublikowano pełną treść rozmów". Inni komentatorzy zwracają jednak uwagę, że Hua Kuo-fengowi nie udało się w tych rozmowach wpłynąć na zmianę stosunku czterech wymienionych krajów Europy zachodniej do Związku Radzieckiego.

Na zdjęciu: premier Hua Kuo-feng w Paryżu.

Nagromadziło się znów wiele wydarzeń — większych i mniejszych — ale ich przegląd zacznijmy od ciekawostki: **senator Edward Kennedy zgłosił formalnie swą kandydaturę na prezydenta Stanów Zjednoczonych.** Korespondenci piszą, że próbuje on tym samym dokonać czegoś, co nie udało się nikomu w bieżącym stuleciu, a mianowicie: wyeliminować urzędującego prezydenta z własnej partii, który też ubiega się o wybór. Kennedy poddał przy tym krytyce działalność obecnej administracji waszyngtońskiej, m.in. stwierdzając, że „marazm panuje nie w amerykańskim społeczeństwie, lecz w przywództwie politycznym".

Nowy kandydat, jak wykazują sondaże, **ma przewagę nad Carterem,** choć nie wyklucza się, że będzie ona topnieć, kiedy jego poglądy, stanowisko wobec najważniejszych problemów, a nawet życie prywatne — staną się przedmiotem szczegółowych analiz i dociekań. Mimo to szansa wyeliminowania Cartera jest zupełnie realna.

KRONIKA TYGODNIA

Nie ulega wątpliwości, że włączenie się Kennedy'ego do „prezydenckiego wyścigu" sprawi, iż kampania wyborcza w USA będzie bardzo żywa i — jak dodał sekretarz prasowy Białego Domu — „interesująca" i „pouczająca".

Wydarzeniem w Iranie jest **dymisja rządu Bazargana, przejęcie władzy w kraju przez Irańską Radę Rewolucyjną** (zniesiono urząd premiera do czasu wyborów) **oraz trwająca już piąty dzień** (w chwili, gdy wysyłamy komentarz do druku) **okupacja przez studentów ambasady USA w Teheranie.** Domagają się oni wydania przebywającego w N. Yorku byłego cesarza i grożą zgładzeniem zakładników, jeśli ich żądanie nie zostanie spełnione. Interesujące jest przy tym, że władze irańskie nie zamierzają nakłonić studentów do uwolnienia zakładników. Chomeini powiedział nawet studentom, aby się nie obawiali. Jeśli USA chciałyby interweniować militarnie — cały Iran powstanie przeciwko Amerykanom. Są bowiem one wrogiem nr 1 Iranu, gdyż dały schronienie wrogowi nr 1 irańskiego narodu.

W tej sytuacji Stany Zjednoczone włączyły do mediacji Arabię Saudyjską, Japonię i Francję. Takiego zadania podjęła się też ponoć Organizacja Wyzwolenia Palestyny, a komentatorzy amerykańscy gubią się w domysłach, czy była to własna inicjatywa Organizacji, czy też o pomoc, choć formalnie nie uznaje OWP, zwrócił się Waszyngton. Ten fakt ma duże znaczenie polityczne i denerwuje Izrael.

Od kilkunastu dni agencje prasowe utrzymują w swych serwisach informacje o Boliwii. Jest po temu powód — 1 listopada **dokonany tam został przewrót wojskowy** i na czele nowej władzy stanął pułkownik Alberto Natusch Busch.

W Boliwii trudno się doliczyć liczby zamachów. Od uzyskania niepodległości było ich prawie 200. Ten, o którym piszemy, był jednak nie odsunięciem od władzy jednej grupy wojskowych przez drugich, lecz obaleniem cywilnego prezydenta. Spotkało się to ze zdecydowanym sprzeciwem partii politycznych i organizacji związkowych. Tym bardziej, że Natusch Busch z miejsca rozwiązał parlament i ogłosił stan wyjątkowy. Wprawdzie pod naporem opinii musiał wycofać się z pierwszej decyzji, a po kilku dniach zniósł także stan wyjątkowy — **nie zmieniło to jednakże społecznej oceny przewrotu.** Nie daje się wiary jego obietnicom, że w maju przyszłego roku odbędą się wybory.

Co stało się powodem przewrotu?

W bieżącym roku wybierano prezydenta, ale żaden z kandydatów nie uzyskał absolutnej większości. Wówczas w drodze międzypartyjnego porozumienia tymczasowym prezydentem został Walter Guevarra, działacz Ruchu Narodowo-Rewolucyjnego. Jego zadanie sprowadzało się do przygotowania w 1980 roku nowych wyborów. Otóż **prawica,** jak można sądzić, **obawia się, że szefem państwa może zostać przywódca Demokratycznego i Ludowego Związku,** w skład ktorego wchodzą także komuniści, **Hernan Siles.** W ostatnich wyborach otrzymał on największą liczbę głosów, choć, co powiedzieliśmy powyżej, nie absolutną większość Najbardziej więc prawdopodobnym zamiarem przewrotu jest uniemożliwienie tego. Ale ten rachunek robiony jest bez gospodarzy — społeczeństwa boliwijskiego, może się wobec tego nie powieść.

* * *

Odbyliśmy polityczną wędrówkę po trzech krajach. Dodajmy na zakończenie, że **w dalszym ciągu żywo dyskutowane są radzieckie propozycje rozbrojeniowe,** zgłoszone przez L. Breżniewa w Berlinie. Niestety — z siedziby NATO napłynęły ostatnio informacje o gotowości kół militarnych Zachodu wprowadzenia w życie ich zamierzeń — rozlokowania nowej broni nuklearnej w zachodniej Europie. A przecież radziecka inicjatywa ma zapobiec takiej ewentualności, która wprowadzałaby wyścig zbrojeń na naszym kontynencie w nową fazę. Jeszcze nie padła odpowiedź polityków, a wojskowi podpowiadają, jak powinna ona brzmieć.

W. SŁAWSKI

„TAK" KOMISJI SENATU

Jak już informowała prasa, komisja spraw zagranicznych Senatu zaaprobowała stosunkiem głosów 9:6 układ SALT II i przesłała go do rozpatrzenia przez Senat w pełnym składzie. Oczekuje się, że debata ratyfikacyjna rozpocznie się około 27 listopada. Do układu komisja dołączyła 23 zalecenia, z których jednakże żadne nie wprowadza istotnych zmian do tekstu samego układu i nie wymaga rozpoczęcia ponownych negocjacji ze Związkiem Radzieckim.

UPI pisze, że główne zalecenie komisji polega na tym, iż układ nie powinien wejść w życie, dopóki prezydent Carter nie zapewni Senatu, że żołnierze radzieccy na Kubie nie stanowią zagrożenia dla Stanów Zjednoczonych. Inne zastrzeżenia podkreślają prawo Stanów Zjednoczonych do kontynuowania współpracy w dziedzinie zbrojeń z sojusznikami z NATO, wymagają od prezydenta okresowych sprawozdań co do stosowania się strony radzieckiej do postanowień układu i wyjaśniają niektóre inne kwestie o charakterze technicznym.

UPI podkreśla, że pomimo czterech miesięcy obrad nad tekstem układu, przeciwnicy SALT II w komisji nie byli w stanie doprowadzić do dołączenia do rezolucji zalecającej ratyfikację którejkolwiek z „zabójczych" poprawek. Jak wiadomo, w wypadku przyjęcia takiej poprawki niezbędne byłyby nowe negocjacje ze Związkiem Radzieckim.

Po głosowaniu w komisji zastępca przywódcy demokratów w Senacie, Alan Cranston wyraził pogląd, że ostateczna batalia o ratyfikację na plenarnych posiedzeniach Senatu będzie bardzo zacięta. „Każdy głos będzie miał kluczowe znaczenie, jednakże sądzę, że możemy wygrać" — powiedział Cranston. Obecnie ocenia się, że 60 senatorów skłania się w kierunku głosowania za ratyfikacją, 30 jest jej przeciwnych, a 10 zajmuje stanowisko niezdecydowane. Do ratyfikacji układu potrzeba głosów 67 senatorów, to znaczy 2/3 ogólnego składu tej izby. Tak więc tylko 34 senatorów może uniemożliwić ratyfikację.

Biały Dom opublikował oświadczenie po głosowaniu, w którym stwierdzono, że prezydent Carter jest „głęboko usatysfakcjonowany" aprobatą komisji i ma nadzieję, iż Senat w pełnym składzie „dojdzie do przekonania, iż SALT II leży w najlepszym interesie Stanów Zjednoczonych popierając ratyfikację tego układu". UPI pisze, że do ostatniej chwili spodziewano się iż za układem opowie się 10 senatorów jednakże demokrata John Glenn ostatecznie głosował przeciwko SALT II, nie będąc przekonany, czy Stany Zjednoczone będą w stanie odpowiednio nadzorować przestrzeganie postanowień układu przez stronę radziecką. Glenn wyraził jednak nadzieję, że sytuacja w tej dziedzinie poprawi się jeszcze w br.

Tak jak przewidywano, przeciwko układowi głosował przywódca republikanów w Senacie, Howard Baker, który zgłosił zamiar ubiegania się o nominację kandydata na prezydenta z ramienia swej partii. Baker argumentował, że układ jest „niesprawiedliwy i nierówny", a ponadto zdolność USA do jego nadzorowania jest niewystarczająca. Wskazywał on, że SALT II zezwala Związkowi Radzieckiemu na posiadanie superciężkich rakiet balistycznych, jakich nie posiadają Stany Zjednoczone oraz nie zalicza radzieckiego bombowca Backfire do broni strategicznych. Wśród wpływowych republikanów, którzy jednakże poparli układ, znalazł się senator ze stanu Nowy Jork, Jacob Javits.

Były ambasador USA w Moskwie, Malcolm Toon oświadczył, że jeżeli SALT II zostanie odrzucony, to doszłoby do znacznego pogorszenia się stosunków amerykańsko-radzieckich. Dodał on jednak, że nie sądzi, aby w takim wypadku doszło do ich całkowitego załamania.

„Musielibyśmy w końcu reaktywować nasze kontakty i powrócić do stołu konferencyjnego" — powiedział Toon. Były ambasador stwierdził, że osobiście byłby o wiele bardziej zaniepokojony skutkami, jakie odrzucenie układu miałoby dla przywództwa amerykańskiego w świecie zachodnim.

W ubiegłym tygodniu dwaj naukowcy, którzy pomogli w swoim czasie wyprodukować pierwszą amerykańską bombę atomową — dr George Kistiakowsky i dr Donald F. Hornig przekazali na ręce wiceprezydenta Mondale'a apel o ratyfikację SALT II, podpisany przez około 3.600 uczonych.

NIEZUPEŁNIE FANTASTYCZNY ŚWIAT POMYŚLANY (2)

MACIEJ IŁOWIECKI

Fantastyka naukowa wciąż nie ma szczęścia do krytyków, ani do czasopism literackich, zwłaszcza w Europie.

Jakie są źródła owej niechęci, która — jeśli dotyczy krytyki — czyni wyraźne szkody samej fantastyce naukowej i nie sprzyja ogólnym celom poznawczym? Myślę, że można wymienić co najmniej dwa takie źródła. Po pierwsze więc, wciąż jeszcze dość powszechne, a wynikające z nieznajomości stanu rzeczy mniemanie, iż cała literatura fantastyczno-naukowa jest literaturą b r u k o w ą, nastawioną na ogłupiającą sensację, żerującą na naiwności i wręcz niskich instynktach; jednym słowem, że jest to twórczość niegodna zainteresowania czytelnika bardziej wyrobionego i szukającego w literaturze jakichś wartości.

Pogląd powyższy wywodzi się zapewne stąd, że w istocie dobrej literaturze FN towarzyszy od lat, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, produkcja niezliczonych utworów rzeczywiście brukowych, zupełnie literacko bezwartościowych, a nieraz po prostu niesłychanie bzdurnych. Jest to nieuchronny wynik m a s o w o ś c i i nacisku rynku czytelniczego na kierujących się zasadami komercjalizmu wydawców — ale też z tego nie wynika wniosek, że wszystko, należące do gatunku FN, jest nic niewarte. (...)

Drugą przyczyną niechęci krytyków i części czytelników do literatury fantastyczno-naukowej jest fakt dość prozaiczny i niechętnie przyznawany. Otóż, by móc ocenić wartości danego utworu FN, by móc dokonać analizy takiego utworu — potrzebna jest, obok smaku literackiego, umiejętności oceny artystycznej i innych walorów, niezbędnych krytykom, również pewna znajomość współczesnych nauk przyrodniczych, tendencji w technice itd., itp. To znaczy: by móc wziąć udział w zabawie intelektualnej, jaką proponuje d o b r a literatura fantastyczno-naukowa, trzeba orientować się, choćby z grubsza, w zmianach, jakie współczesne nauki przyrodnicze — a po części społeczne — wprowadzają w obrazie świata, w pojęciach, nieraz w istocie nadzwyczaj odległych od naszych pojęć potocznych, jakimi nauka usiłuje dziś tłumaczyć rzeczywistość. Chciałbym przez to powiedzieć, że rozsmakowanie się w dobrej literatutrze FN wymaga po prostu wiedzy przyrodniczej i określonego przygotowania intelektualnego. Nie jest to niczym dziwnym — wszakże zaintresowanie się prawdziwie każdą dobrą literaturą wymaga pewnego wysiłku i przygotowania. Z tym, że utwory FN, także te *trudniejsze*, są jednak czytywane znacznie powszechniej i mają znacznie więcej wiernych czytelników niż powiedzmy, *trudny* utwór *zwykłej* literatury pięknej — ale dzieje się tak ze względu na przygodowo-sensacyjną warstwę science fiction, na jej związki z baśnią, z literaturą grozy czy powieścią awanturniczą.

Dlatego np. ostatnia bodaj powieść Lema *Katar* ma, zwłaszcza za granicą, powodzenie równe najlepszym kryminałom — ale na ogół tylko ci, którzy orientują się cokolwiek w dzisiejszych problemach filozofii przyrody, mogą ocenić w pełni właśnie f i l o z o f i c z n ą głębię tego utworu, jego sens metaforyczny. Dlatego zresztą nie jest przypadkiem, że zarówno wśród autorów, jak i czytelników FN znajduje się tak wielu przedstawicieli nauki, szczególnie zaś nauk ścisłych. (...)

Zawsze przecież chodzi o ludzi i — co wydaje mi się rzadko pokreślane — zawsze (przynajmniej w głównym nurcie) FN są to ludzie d z i s i e j s i, to znaczy tacy, jakimi ich dziś widzimy czy wyobrażamy sobie. W najmniejszej mierze nie wiemy, czy właśnie w przyszłości, będącej sceneria większości utworów FN, ludzie będą tacy sami jak my, nie wiemy, w jakim stopniu będą do nas podobni czy też niepodobni. Nie można wykluczyć możliwości, że będą odmienni zupełnie. Mamy zatem do czynienia z pewnym ciekawym paradoksem: w scenerii odległej nieraz przyszłości działają ludzie nam współcześni! W tym miejscu literatura FN odkrywa maskę — w gruncie rzeczy jej głównym zadaniem jest lepsze przyjrzenie się t e r a ź n i e j s z o ś c i i myślę, że to trudne zadanie spełniane jest całkiem nieźle.

Jednym z pytań fantastyki naukowej (nie tylko, oczywiście, fantastyki — ale bodaj tylko ona podejmuje próby k o n k r e t n y c h odpowiedzi) jest na przykład pytanie: w jakim stopniu przyroda nas zaprogramowała, a w jakim możemy sami siebie zmieniać i sterować własną ewolucją. Czy i na ile zmiany te są potrzebne (albo może konieczne), ile przez ich dokonywanie stracimy, ile zaś zyskamy i co. Albo pytanie, do czego mogą — i czy muszą — doprowadzić techniczno-cywilizacyjne przemiany ziemskiego środowiska, czy technika przekształca świat dla ludzi czy dla siebie? Albo, co się może stać, kiedy rzeczywiście odkryjemy w Kosmosie obcą inteligencję lub też ona nas odkryje? I tak dalej, i dalej.

Jak widać, pytania zasadnicze, nieobce nauce i filozofii. Fantastyka naukowa w żadnym razie nie zamierza zastąpić ani nauki, ani filozofii, nie kreuje się na naukową futurologię. Ale też chce spełnić inne zadanie. Chce przede wszystkim o s t r z e g a ć. Jest to, być może, jedna z ważniejszych funkcji fantastyki naukowej: ostrzeganie przed możliwymi konsekwencjami różnych działań (albo konsekwencjami ich zaniechania), przed wykorzystywaniem w niewłaściwy sposób zdobyczy nauki i techniki, przed niebezpieczeństwem, które może ujawnić się w nie znanych dotąd gatunkowi ludzkiemu sytuacjach. Przy okazji warto zwrócić uwagę na ciekawy zbieg okoliczności: anglosaska FN częściej ostrzega przed możliwą głupotą, krótkowzrocznością i nieodpowiedzialnością człowieka w świecie przyszłej cywilizacji, natomiast FN kontynentu europejskiego widzi źródło niebezpieczeństw raczej w siłach rozpętanych przez naukę i technikę (więc wprawdzie przez człowieka, ale jakby poza jego kontrolą). Radziecka FN odznacza się przy tym na owym tle rodzajem spokojnego, czasem żartobliwie ironicznego humanizmu, wspartego humorem, wiarą w zwycięstwo rozsądku.

Skuteczność ostrzeżeń, które niesie fantastyka naukowa, jest związana dość ściśle z horyzontem ludzkiej w y o b r a ź n i. Otóż, jak wiemy, ludziom jednak brakuje na ogół wyobraźni, by mogli w pełni uświadamiać sobie formuły i dane futurologii czy uogólnioną argumentację eseistyki naukowej. Natomiast konkretyzacja tych danych i tych idei, przekład języka abstrakcji na *język wydarzeń*, to znaczy literackie ich udramatyzowanie — stanowi najlepszą pożywkę dla wyobraźni, ułatwia dostrzeżenie pewnych możliwości. Dzięki temu FN zarazem i ostrzega, i ułatwia zrozumienie i przyjęcie owych ostrzeżeń.

I druga charakterystyczna okoliczność. Otóż, mimo często groźnych wizji i spektakularnych ostrzeżeń, większość autorów FN w gruncie rzeczy ufa przecież ludzkim zdolnościom przeciwstawiania się złu. Wbrew pozorom science fiction nie jest literaturą pesymistyczną — choćby z tego względu, iż wierzy w sens ostrzeżeń. Czytelnicy zdają się to dostrzegać. Np. w pewnej ankiecie, przeprowadzonej wśród studentów amerykańskich, większość z nich stwierdza, iż współczesna literatura piękna pokazuje na ogół ludzi wyobcowanych, pokonanych, jałowych, nieszczęśliwych. Fantastyka naukowa natomiast przeciwnie: chce dowieść, iż tylko w ludziach można szukać pewnych zagubionych, a wciąż pożądanych wartości. *Człowiek jest ważny* — pisze podsumowując wspomnianą ankietę Charles Newman. — *Mówią nam o tym starożytni klasycy. Zaskakujące, że taka teza jest treścią większości bestsellerów FN, choćby były one godne politowania i pospolite (w oczach krytyków literackich).* Być może, podobne uogólnienie jest przesadne, niemniej — jak to się mówi — coś w tym jest i niewykluczone, że część przynajmniej swego powodzenia fantastyka naukowa zawdzięcza temu założeniu.

Kolejną wreszcie, również bardzo ważną funkcją fantastyki naukowej jest pobudzanie ludzkiej w y o b r a ź n i w ogóle, zaś wyobraźni naukowej w szczególności. FN z założenia pomaga odrzucać zakorzenione w naszym myśleniu stereotypy, jest doskonałym treningiem elastyczności myślenia. Na pewno też ułatwia przyjęcie pojęć, którymi operuje dziś fizyka, kosmologia czy biologia. Uczeni zdają się być zgodni co do tego, że głębsze zrozumienie rzeczywistości przyniosło dziś nie tyle nowe odkrycia i nowe fakty, ile raczej zmiany w sposobie myślenia, wyzwolenie się z pewnych tradycyjnych schematów ujmowania przyrody. Jednym słowem, FN usiłując pokazać rozmiary przewrotu w myśleniu, dokonywanego przez współczesną naukę, spełnia niesłychanie ważną rolę oświecania umysłów, jest doskonałym popularyzatorem nowej wiedzy.

Ale nie tylko; może jeszcze ważniejsza jest inna cecha dobrej fantastyki, którą to cechę tak określa Julij Kagarlicki w książce *Co to jest fantastyka naukowa?* (*Iskry*, 1977): *... brak akceptacji, nieposłuszeństwo wobec tego co zakrzepłe, ostateczne, odwieczne. Fantastyka naukowa* — pisze radziecki krytyk — *uczy poszukiwania i odkrywania nowego, odzwyczajając zarazem od myśli, iż to co już znamy, jest nam dane raz na zawsze.* Skłonny jestem sądzić, iż zrozumienie i przyjęcie z m i e n n o ś c i pewnych sytuacji, stanów rzeczy, samej rzeczywistości, wszystkiego zresztą co przywykliśmy uważać za stałe — bywa najczęściej motorem postępu i twórczego działania. Jeśli fantastyka w istocie przyczynia się do uchwycenia owej zmienności, już tym samym w pełni usprawiedliwia swe istnienie.

FN uczy przecież także pewnej skromności wobec dziwów Wszechświata, poszerza ogólne horyzonty w tym sensie, iż chciałaby uświadomić ludziom, że ich sposób myślenia, kultura, cywilizacja, nawet biologiczna struktura nie muszą być w Kosmosie jedyne i niekoniecznie muszą być najlepsze.

Taka świadomość jest przydatna i rozwijająca, nawet w wypadku, jeśli jesteśmy we Wszechświecie samotni — czego zresztą dotąd nie udało się stwierdzić z pewnością. Posłużę się jeszcze cytatem z *Homo divisus* Konrada Fiałkowskiego: *... myślę, że dlatego zostałem twórcą rzeczywistości pomyślanych, żeby mówić ludziom, iż to, w czym żyją, nie jest jednoznaczną realnością daną czy zastaną, ale jedną z wielu możliwości, których ogromu liczby pojąć nie sposób (...).*

Nauka także korzysta z fantastyki i to w sposób dwojaki, choć może nie wszyscy uczeni chcieliby to przyznać. Po pierwsze więc, w literaturze FN pojawiło się wiele pomysłów i idei, które wyprzedziły i zapłodniły naukę i technikę. Przykłady? Jest ich więcej niż byliśmy skłonni przypuszczać, mogę wspomnieć tylko o niektórych, mniej może znanych niż pomysły Verne'a. Powiedzmy, pewne możliwości czy nadzieje dzisiejszej biologii — inżynieria genetyczna, tworzenie ludzkich mutantów, zdalne sterowanie świadomością i zachowaniem, przeszczepy narządów, zamrażanie ludzi, hodowla ich *w probówce*, powrót do życia po śmierci (klinicznej), *pigułki pamięci*, itd. Albo w kosmologii idea *czarnych dziur*, wyróżnionych miejsc we Wszechświecie, do których można *wejść*, ale z których *wyjść* nie można, chyba, że do innego świata. Albo sam pomysł (dziś wydaje nam się tak oczywisty!) podróży kosmicznych czy koncepcje robotów i *myślących maszyn*. Nie chcę twierdzić, że bez pomocy FN nauka nie doszłaby do tego i do wielu innych rzeczy. Chodzi mi tylko o to, że fanstastyka naukowa przygotowała grunt do przyjęcia pewnych idei, które wydawały się absurdalne czy niepojęte i do dziś to czyni. Sporo niezbyt uzasadnionych hipotez, zbyt śmiałych pomysłów, szokujących koncepcji znajduje wciąż azyl w literaturze FN.

Tak więc drugą korzyścią, jaką nauka wynosi z literatury FN, jest możliwość niczym nie skrępowanej wyobraźni tej ostatniej. Eksperymenty myślowe science fiction są niekiedy naprawdę fascynujące i płodne poznawczo — i czasem, choćby tylnymi drzwiami, wkraczają do instytucjonalnej nauki. Ta zaś się ich bynajmniej nie wyrzeka... Gdybym napisał od siebie to, co chcę napisać, być może niektórzy uznaliby to za niewłaściwą przesadę, posłużę się więc wypowiedzią jednego z uczonych: *Fantastyka jest niezbędnym warunkiem wszelkich poszukiwań naukowych; swego rodzaju awangardą nauki (...), bo z samej swej natury wolna jest od ograniczeń i rygorów, jakie z konieczności istnieją w nauce. I dlatego uważam, że bez tej nieskrępowanej wyobraźni zawartej w literaturze FN właściwe poszukiwania naukowe w ogóle nie mogłyby istnieć.* (Eugenij K. Charadze, astrofizyk, prezes Akademii Nauk Gruzińskiej SRR w rozmowie z Wiktorem Osiatyńskim w *Kulturze*).

(...) Igor Zabielin, radziecki geograf i również pisarz FN, nie waha się uznać fantastyki za jedną z metod poznawania naukowego, za metodę, *do której uczony ma prawo się uciekać wówczas, gdy nie rozporządza jeszcze niezbędnymi dowodami na potwierdzenie swych przypuszczeń* (*Fiziczeskaja gieografija i nauka buduszczego*, Moskwa 1970).

No cóż, nie ulega wątpliwości, że na fantastyce naukowej ciąży poważna odpowiedzialność. Nie ośmieliłbym się twierdzić, iż FN zawsze o tym pamięta, że udaje jej się omijać rafy płycizny czy unikać chwytów niegodnych i nawet fałszu, nie mówiąc już o szczególnie częstej chorobie tej literatury: niedbaniu o wartości artystyczne, czysto pisarskie. Jeśli przecież FN — traktowana w całości — nie zdołała w pełni sprostać swemu wyzwaniu, usprawiedliwienie ma może nie najgorsze. Posłużę się słowami Lema z jego *Fantastyki i futurologii* (Wydawnictwo Literackie, 1970): *Czy lepiej jest nieznane krainy odkrywać powierzchownie i źle, czy też nie wkraczać do nich wcale? (...) W historycznym oglądzie nieporadność prekursorów, największa nawet, staje się grzechem do wybaczenia, a nawet ceną, jaką płacili za wtargnięcie myślą w świat nowy.*

* * *

(...) Literatura fantastyczno-naukowa bezsprzecznie, zwłaszcza u młodzieży, rozbudza c i e k a w o ś ć intelektualną, poznawczą. Nie odwracając uwagi od trudności i sprzeczności dzisiejszego świata — przeciwnie, pokazując je w ostrym nieraz wymiarze, kieruje myśl ku rejonom nie odkrytym i wartościom czasem zapoznanym. Nie chciałbym naturalnie przesadzać ani głosić tu pobożnych życzeń w rodzaju, iż zaciekawienie niezwykłością świata może na przykład wyprzeć czy zastąpić mniej pożądane postawy wobec rzeczywistości, na przykład postawą wobec niej *konsumpcyjną* (w szerszym, nie tylko ekonomicznym tego słowa znaczeniu). Wszakże nie bezpodstawne jest chyba przekonanie, że ciekawość poznawcza bywa szlachetniejszym i bardziej płodnym motorem ludzkich poczynań od wielu innych rzeczy. Fantastyka naukowa jest — jeśli wolno mi już trzymać się powyższej przenośni — niezłym paliwem dla tego motoru. Tak to właśnie, jak myślę, świat pomyślany może służyć światu realnemu.

(*„NOWE DROGI"*)

KONIEC

SHIN' ICHI HOSI

UPOMINEK

Kontynuując podróż po przestworzach, pojazd kosmiczny z mieszkańcami gwiazdy Flor na pokładzie zbliżył się ku Ziemi. Do spotkania z Ziemianami jednak nie doszło, miało minąć bowiem jeszcze wiele czasu, nim na Ziemi pojawi się gatunek ludzki.

Po wylądowaniu Florianie przeprowadzili ogólne badania planety, po czym wdali się w rozmowę takiej mniej więcej treści:

— Wygląda na to, żeśmy się trochę pospieszyli. W tym zakątku wszechświata nie stworzono jeszcze niczego na podobieństwo cywilizacji. Jedyne, w miarę rozumne stworzenia, jakie udało nam się zidentyfikować — to małpy. Potrzeba jeszcze wiele wiele czasu, aby pojawiły się istoty na wyższym poziomie rozwoju.

— Taak, a szkoda. Mieliśmy przecież przekazać tu owoce naszej cywilizacji. Żal byłoby wyjechać stąd ot tak, nie pozostawiając żadnego śladu naszej obecności.

— Cóż więc zrobimy?

— Zostawmy przed odlotem upominek!

Florianie zabrali się żwawo do pracy. Sporządzili wielki, metalowy pojemnik w kształcie jaja, a do środka włożyli najrozmaitsze przedmioty — schemat rakiety kosmicznej, umożliwiającej w łatwy sposób poruszanie się w kosmosie; przepisy na produkowanie leków przeciwko rozmaitym chorobom i specyfików odmładzających; książkę pouczającą, jak współżyć w pokoju i powszechnej zgodzie. A na wypadek, gdyby tekst okazał się nieczytelny, dołączyli jeszcze ilustrowany słownik.

— Zadanie wykonane. Ucieszą się chyba mieszkańcy tej planety, kiedy odkryją w przyszłości nasz prezent.

— I jak jeszcze!

— Chociaż, może się zdarzyć, że odkryją go zbyt wcześnie, aby poznać się na wartości, jaką ten dar przedstawia, i po prostu go wyrzucą...

— Nie sądzę. Pojemnik wykonany jest z solidnego metalu. Cywilizacja zdolna do tego, aby go otworzyć, będzie też w stanie pojąć to, co zamierzamy jej przekazać.

— Słusznie. Ale jest jeden problem — gdzie to pozostawimy.

— Na pewno nie nad morzem. Fale mogą znieść pojemnik do wody i wtedy pogrąży się bezpowrotnie na dnie morskim. Wierzchołek góry też nie jest bezpieczny, pojemnik byłby narażony na wybuchy wulkaniczne. Najlepsze byłoby jakieś miejsce pod każdym względem bezpieczne, wolne od jakiegokolwiek zagrożenia.

W końcu Florianie wybrali okolicę pustynną, z dala od morza i gór, tam złożyli swój dar i — odlecieli.

Wielkie srebrzyste jajo leżało na piasku, w dzień odbijając jaskrawe promienie słoneczne, nocą połyskując spokojnie światłem gwiazd i księżyca. W oczekiwaniu na moment, kiedy zostanie otworzone.

Mijały lata. Istoty zamieszkujące Ziemię powoli rozwijały się. Wyłonił się spośród małp gatunek zdolny do posługiwania się narzędziami i ogniem — rodzaj ludzki. Kto wie, może niektórzy jego przedstawiciele dostrzegli nawet dziwny przedmiot na pustyni. Ale nie zbliżali się do niego. Może się bali, a może nie docenili jego znaczenia, dość że srebrne jajo nadal czekało nie naruszone. Deszcze były nieczęste w tym rejonie, a nawet jeśli padały, nie wyrządzały najmniejszej szkody pojemnikowi, który był wykonany z materiału odpornego na korozję.

Bywało, że silne wiatry przenosiły piasek z miejsca na miejsce i zasypywały jajo. Po jakimś czasie inny wiatr odsłaniał je na nowo. Powtarzało się to wiele razy.

Upłynęły znowu długie lata. Mieszkańców Ziemi przybywało, cywilizacja osiągnęła wysoki poziom rozwoju.

Aż nadszedł wreszcie dzień i metalowe jajo zostało rozbite. Nie towarzyszyły temu jednak okrzyki radości, a jego otwarcie nie odbyło się uroczyście, przy dźwiękach fanfar. Na pustyni, nie zdając sobie ani na jotę sprawy, co znajduje się pod spodem, dokonano doświadczalnego wybuchu atomowego. Detonacja była przerażająca. Rozbiciu uległ nie tylko metal pojemnika. Cała jego zawartość obróciła się w pył i spłonęła doszczętnie nie pozostawiając najmniejszego śladu.

Przełożył z japońskiego:
HENRYK LIPSZYC

(Almanach Fantastyczno-Naukowy „Kroki w nieznane" — 1972 r.)

Dalszy ciąg ze str. 1

kim od 1974 r. przybywa rocznie przeciętnie 5 profesorów nadzwyczajnych, 7 doktorów habilitowanych i 58 doktorów. Jeśli uwzględnimy naturalny ruch kadrowy: przejścia na emeryturę, przeniesienia do innego miasta, a także zgony pracowników, okaże się że liczba samodzielnych pracowników naukowych utrzymuje się od lat na tym samym poziomie. Uniwersytet posiada czterech profesorów więcej niż w 1945 roku, a ściślej — 194 profesorów i docentów.

Dla porównania podamy, iż Uniwersytet Warszawski zatrudnia 501 profesorów i docentów, Uniwersytet Jagielloński — 252, Uniwersytet Wrocławski — 229, Uniwersytet im. A. Mickiewicza w Poznaniu — 275, Uniwersytet im. M. Curie-Skłodowskiej w Lublinie — 163. Najmłodsze polskie uniwersytety w Toruniu, Katowicach i w Gdańsku zatrudniają po 152 samodzielnych pracowników naukowych.

W tym miejscu trudno się oprzeć się pytaniu: czy rzeczywiście mała liczba profesorów i docentów stanowi powód do dramatycznego rozdzierania szat? Czy ilościowe spojrzenie na kadrę naukową, nie stawia na drugim planie „jakości" tej kadry i jej twórczości? Proponuję rozpocząć naszą dyskusję od próby spojrzenia na jakościowy dorobek kadry naukowej.

ANDRZEJ ROMANIUK: — Nie widzę żadnego powodu, aby martwić się tym, że w Uniwersytecie Łódzkim jest tylu profesorów, co w 1945 r. Doskonale. Oby to byli tacy profesorowie jak wówczas! Nie zapominajmy także o tym, że wskutek szerokiego dostępu do studiów wyższych obserwujemy na nich przeciętny poziom. Przecież do egzaminu magisterskiego dochodzą często studenci, którzy osiągają przeciętną ocenę na studiach 2,8 lub 2,9. Na palcach można policzyć tych ze średnią 4 lub 4,5. Reszta to właśnie trójkowi średniacy.

Jest to wynik swoistego premiowania przeciętności. Z takich potem przeciętnych absolwentów rekrutują się nasi asystenci. Potem, prawdę mówiąc, uczelnia nie ma już możliwości odwołania takiego przeciętnego pracownika. Ktoś musi prowadzić zajęcia. Jeśli prowadzi je przeciętny asystent i robi to na średnim poziomie, to już jest dobrze. Potem często „na siłę" robi się doktorat.

„ODGŁOSY: — Czyli potwierdza pan profesor opinie o negatywnej selekcji kandydatów do pracy naukowej. Na asystenturę trafia tylko znikomy procent najlepszych. Resztę stanowią ci, którzy mają mieszkanie w mieście akademickim, zamożną rodzinę, która uwalnia ich od trosk materialnych lub — powiedzmy — niezłą protekcję. Dla takich kandydatów pozostanie w uczelni jest przecież doskonałą, bezpieczną posadą na całe życie. Czy w tej sytuacji można się dziwić, że tak bardzo zdewaluował się doktorat, wykonywany często w obawie przed rotacją? Przeciętny wiek doktorantów w Uniwersytecie Łódzkim, podobnie jak w innych uczelniach, wynosi 31 lat, co potwierdza przypuszczenie, iż jest on przygotowywany w ostatniej chwili przed ustawowym terminem.

KTO TWORZY NAUKĘ

ANDRZEJ ROMANIUK: — Myślę, że wysiłek, jaki wkładaliśmy w przygotowanie prac naukowych 20 lat temu, był znacznie większy niż ten, jaki wkładają dzisiejsi doktoranci.

Dziś lepiej opiekujemy się młodymi podopiecznymi, wcześniej formułujemy tezy i tematy badawcze, wciągamy do zespołowych badań naukowych. Jednocześnie jednak nie możemy zapominać, że rozwój nauki spowodował, że dochodzenie do wartościowych wyników, na przykład w naukach eksperymentalnych, jest bardziej skomplikowane. Ja sam z politowaniem patrzę dziś na moją pracę doktorską Wydaje mi się wręcz banalna, śmieszna, ale wówczas była ona wartościowa. Tylko, że ja nie robiłem tej pracy dla „doktoratu". Podobnie jak nie robiłem dla „habilitacji". Nie myślałem o tym. Pracowałem. Reszta wyniknęła w naturalny sposób. Czułem, że praca przedstawia pewną wartość i może być uznana za rozprawę habilitacyjną. Poszedłem do mojego szefa i zapytałem, czy on też podziela ten pogląd.

Uważam, że powinniśmy wyraźnie powiedzieć, czy obecnie chodzi nam o rozwój nauki, czy o przyspieszenie ilości stopni naukowych, bo dla mnie są to dwie różne sprawy. Przecież przed laty był ten sam problem z doktorami. O ile pamiętam, założono wówczas, że powinniśmy w ciągu tylu a tylu lat wypromować bodajże 15 tys. doktorów. Zastanawiałem się dlaczego 15 tys., a nie 10 tys. lub więcej. Uruchomiono wówczas wszelkie bodźce, zmuszające samodzielnych pracowników nauki do „produkcji" doktorów. W efekcie mamy nadmiar doktorów i kłopoty z habilitacjami. Obawiam się, że doprowadzimy do takiej sytuacji, w której zabraknie etatów dla docentów. Na naszym Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi nie mamy już pokrycia w zajęciach dla samodzielnych pracowników nauki. Dojdzie do tego, że docenci będą prowadzić rutynowe ćwiczenia, które prowadzą obecnie adiunkci.

Z drugiej strony zmniejszył się limit przyjęć na studia prawie o 50 proc. i zmniejszyła się ilość zajęć dydaktycznych. Więc po co nam ta ilościówka?

JANUSZ GOSCIŃSKI: — Między dorobkiem naukowym a stopniem naukowym nie ma żadnych silniejszych relacji. Najbardziej klasycznym potwierdzeniem tej tezy może tu być procedura związana z nadawaniem stopni naukowych przy przenoszeniu do mniejszych ośrodków. Ten sam człowiek, który nie mógł zostać docentem w dużym ośrodku akademickim, zostaje nim w mniejszym. A przecież z wtorku na środę jeszcze się nic nie zmieniło. Jego dorobek naukowy nie pomnoży się w Rzeszowie, jeśli do tej pory nie zwiększył się w Warszawie czy w Łodzi. Te same kwalifikacje raz wystarczają do nadania stopnia i tytułu naukowego, drugi raz — nie wystarczają. Jest to najlepszy przykład kpiny ze zdrowego rozsądku. Albo ten człowiek coś reprezentuje, albo stopień naukowy łączy się tylko z wykonywaną funkcją.

Inny przykład. Merytoryczną oceną dorobku naukowego kandydatów do habilitacji i na profesorów zajmuje się Centralna Komisja Kwalifikacyjna do Spraw Kadry Naukowej przy Prezesie Rady Ministrów. Działalność tej komisji cechuje jednak wiele mankamentów.

Jest to bowiem rodzaj sądu kapturowego. Od opinii tajnego recenzenta nie ma odwołania. A jeśli do tego dojdą w ramach stosunków interpersonalnych osobiste animozje, wówczas sprawa jest beznadziejna. Nie szkodzi to oczywiście superrecenzentowi, powoduje tylko zachowawcze postawy kandydatów. Jeśli chcą żyć w określonych warunkach, muszą przyjąć taką postawę. Mało to razy słyszy się, że nie można napisać złej recenzji pracy doktorskiej lub habilitacyjnej, jeśli patronem kandydata jest członek CKK. bo jeśli znajdzie się tam nasza sprawa, to przepadniemy?

ADAM BUKOWCZYK: — Postawa ta dotyczy także wielu zniechęconych ludzi, którzy dla osiągnięcia swych życiowych celów przybierają barwy ochronne. Nieraz jesteśmy zaskoczeni słysząc od tej samej osoby podczas Rady Wydziału pochlebną opinię pracy kandydata, a później prywatną — dyskwalifikującą jego dorobek. Pytam potem: po coś tak mówił na Radzie Wydziału, jeśli masz inne zdanie? No, bo wiesz, ten kandydat na docenta, czy profesora, może mi potem pomóc albo zaszkodzić.

JANUSZ GOŚCIŃSKI: — W ten sposób do głosu dochodzą wszystkie względy, tylko nie naukowe. Proszę zwrócić uwagę na nominacje. Z jakich kierunków i uczelni są ci profesorowie. Jest to wysoce wymowne, jak wiele nominacji otrzymują pracownicy uczelni o których wiemy, co reprezentują z naukowego punktu widzenia, ale którzy mają siłę przebicia. Jest to logiczny produkt obowiązującej koncepcji, która w moim osobistym przekonaniu jest nie do przyjęcia od początku do końca.

Nie można jej także udoskonalić, bo jeśli się coś udoskonala, to zasady pozostają te same. A tutaj zasady są błędne, sprzyjają negatywnej selekcji i przewadze ilości nad jakością.

„ODGŁOSY": — A czy tej negatywnej selekcji nie sprzyja mała ruchliwość kadry naukowej? Polski pracownik jest przecież przypisany do instytutu lub uczelni, najczęściej tej uczelni, którą sam ukończył. Czy w takich warunkach można mówić o konkurencji, zdrowej rywalizacji przy ubieganiu się np. o kierownicze stanowiska?

JANUSZ GOŚCIŃSKI: — Zgodzi się zapewne pani ze mną, że przy negatywnej selekcji, trzeba rozróżnić specjalizację pracy od specjalizacji ludzi. Otóż najwierniejsi instytucji są pracownicy najgorsi pod względem merytorycznym, ponieważ każda zmiana grozi pogorszeniem ich sytuacji, ujawnieniem ich słabości. Podam przykład z Uniwersytetu w Manchesterze, gdzie byłem świadkiem ustalania rocznego planu zajęć. Otóż firmy z zewnątrz, przychodzą na uczelnię i powiadają: chcielibyśmy, abyście zorganizowali nam studium podyplomowe, ale chcemy, aby informatykę wykładali Taylor i Brown, a broń Boże Jones lub Harrison. Chcemy tylko tych najlepszych. Płacimy i mamy określone wymagania.

Na moje pytanie co się dzieje z innymi i zarzut że ten system jest z gruntu niesprawiedliwy, bo źli się obijają, a najlepsi podpierają nosami z przepracowania, usłyszałem, że to tylko tak wygląda z pozoru. Co roku prezydent uczelni wzywa takich, dla których nie ma ofert i mówi: panowie, daję wam pół roku, albo panowie tak się podciągną, że wasze usługi będą komuś potrzebne, albo pożegnają się z uczelnią.

Inny przykład. Profesor otrzymuje temat, finanse i zaczyna dobierać ludzi do zespołu. Idzie wtedy wprost do Greena i mówi — chciałbym żebyś prowadził u mnie takie i takie badania, takie i takie konsultacje. Ma prawo dobrać sobie z całej uczelni takich ludzi, jakich uważa za najlepszych. U nas kandydata do zespołu wyznaczy dyrektor instytutu i to takiego, który będzie miał jeszcze czas i będzie mu brakować zajęć do pensum. Najlepszy nie będzie mógł pracować, bo będzie miał za dużo godzin.

ZDZISŁAW HAŚ: — Uważam, że jako dyrektor instytutu mogę się pozbyć każdego nieodpowiedniego pracownika. Wystarczy, że nie dam mu zarobić ani grosza poza jego stałą pensją. Sam odejdzie.

> „Doskonalenia wymaga system doboru i awansowania kadr naukowych, system, w którym decydujące znaczenie mieć powinny zdolności twórcze i konkretne osiągnięcia naukowe, zaangażowanie w rozwój naszej Ojczyzny, umiejętności przekazywania wiedzy i kształ-

ANDRZEJ ROMANIUK: — Odejdzie, albo nie odejdzie.

ZDZISŁAW HAŚ: — Albo staram się stworzyć takie warunki, w których opłaci się tworzyć dobre prace doktorskie i habilitacyjne. Wystarczy, że będę płacił 2 tysiące więcej niż w przemyśle. Wysokie wymagania — wysokie płace. Tak było od początku świata.

„ODGŁOSY": — Przywiązanie kadry naukowej do stałego miejsca pracy ściśle łączy się przecież z sytuacją ekonomiczną. Nie chodzi tu tylko o warunki bytowe, które w mniejszych ośrodkach mogą być nawet lepsze, ile o stworzenie warunków do pracy, warsztatu badawczego: laboratorium dla przedstawicieli dyscyplin eksperymentalnych, czy zaplecza choćby w postaci bibliotek, archiwum dla humanistów.

JANUSZ GOŚCIŃSKI: — Zasada jest prosta. Szef CIT w Nowym Jorku powiedział mi otwarcie — kupuję każdego, kto się wybije gdzie indziej. Co to znaczy kupię — mówię — przecież to nie targ niewolników.

— Ale ja go wcale nie agituję, odpowiada dalej. Zapraszam takiego wybijającego się naukowca do ośrodka, pokazuję mu laboratoria, urządzenia. Sam widzi, że przy takim wyposażeniu zrobi u mnie w dwa lata pracę, którą gdzie indziej ciągnąłby przez 10 lat. Nie spotkałem w Stanach Zjednoczonych profesora z mojej dziedziny, który nie przewędrowałby przez połowę uniwersytetów amerykańskich. Mała ruchliwość naszej kadry nie wynika z tego, że mamy mniej zdolnych ludzi, tylko między innymi z braku możliwości wyboru.

Prof. dr hab. ADAM BUKOWCZYK: — Pytam potem: po coś tak mówił na Radzie Wydziału, jeśli masz inne zdanie?

Prof. dr hab. ZDZISŁAW HAŚ: — Widzę wiele przyczyn, które powodują, że nie wyrastają z nich rzeczywiści twórcy, a ich zdolności się marnują.

Prof. dr hab ANDRZEJ ROMANIUK: — Naukowiec nie jest doniczką, którą można przestawić z jednego okna na drugie.

KOGO TWORZY NAUKA

towania socjalistycznych postaw młodzieży. Sprawą wielkiej doniosłości jest stałe umacnianie ideowo-moralnego i społeczno-politycznego zaangażowania pracowników nauki".

(Z wytycznych KC na VIII Zjazd PZPR)

ALEKSANDER LEGATOWICZ: — Sztywne, planistyczne podejście, okazuje się często bardzo szkodliwe. Przykładem może być ambitna koncepcja zorganizowania w Uniwersytecie Łódzkim ośrodka handlu zagranicznego. Cóż z tego, że profesor Trzeciakowski ściągnął tu kilku samodzielnych pracowników naukowych, skoro likwidacja półetatów zabrała nam aż dwóch z nich.

ANDRZEJ ROMANIUK: — To nie sztuka przenieść człowieka z miejsca na miejsce. Naukowiec nie jest doniczką, którą można przestawić z jednego okna na drugie. Trzeba mu stworzyć warsztat pracy, w którym mógłby pracować. W tym roku po powrocie z urlopu ustalałem plany badawcze. Zacząłem od tego, że otworzyłem lodówkę i sprawdziłem jakie mam odczynniki chemiczne. Do tego co mam, dopasowałem koncepcje badawcze. Na tych samych zasadach ustalane są tematy prac doktorskich i habilitacyjnych...

ZDZISŁAW HAŚ: — Wracając do mobilności kadry naukowej. Wiadomo, że do słabego ośrodka nie pójdą silne indywidualności, które wymagają warunków, w których mogłyby się mierzyć z innymi. Człowiek, który idzie do małego ośrodka nie ma żadnych szans wyboru. Jeśli jest słaba kadra to można sobie wyobrazić jak tam wygląda kształcenie studentów.

ANDRZEJ ROMANIUK: — Przepraszam, że wpadnę panu w słowo, ale czy nie moglibyśmy zrobić odwrotnie, najpierw zadbać o kadrę i wyposażenie, a potem otwierać nowe szkoły? Kiedy się buduje oborę, najpierw kupuje się cement, budulec, jednym słowem gromadzi, a nie odwrotnie. Najpierw powołaliśmy uczelnie w prowincjonalnych ośrodkach, bo takie były ambicje terenu, a teraz martwimy się ich poziomem kształcenia.

„ODGŁOSY": — W kołach zbliżonych do administratorów nauki ocenia się powołanie licznych małych uczelni jako poważny błąd. Skutki jego będziemy odczuwać jeszcze długo, a jak wykazuje nasza dyskusja, łączą się one w ścisły sposób z awansem i jakością pracy naukowej. Wracając do poprzedniego wątku naszej dyskusji — czy można prosić o więcej przykładów wskazujących na rozbieżność między stopniami naukowymi, a rzeczywistym dorobkiem pracownika naukowego.

ALEKSANDER LEGATOWICZ: — Sam mogę służyć za przykład. Kiedy przygotowywałem habilitację, życzliwi mi ludzie radzili; niech pan tego na habilitację nie puszcza, to jest zbyt oryginalne, nietypowe. Niech pan zrobi coś bardziej standardowego. Musiałem przerobić pracę pod kątem habilitacji. Chodzi tu nie tylko o stratę czasu. Reprezentuję pogląd, że pracownik naukowy powinien przede wszystkim pracować twórczo, a stopnie naukowe zdobywać, zyskiwać „przy okazji" jako uznanie społeczne. Innymi słowy, jeśli rzeczywiście przysparza nauce nowych treści, rozwiązań itp, to za ten dorobek powinien otrzymać stopień i tytuł naukowy. Jeśli natomiast musi robić doktorat i habilitację, wówczas często przestawia się, i pracuje pod kątem zdobycia tych stopni. To deformuje całą sprawę.

ADAM BUKOWCZYK: — Służę przykładami z dziedziny medycyny. Dla rasowego medyka najważniejszy będzie zawsze pacjent, bez względu na to czy pracuje w klinice, czy gdzie indziej. Jednocześnie praca z pacjentem, niesłychanie absorbuje i rzutuje na przeżycia emocjonalne. Jeśli lekarz spędzał cały dzień przy łożu ciężko chorego konającego człowieka, to trudno, aby w godzinch wieczornych zajął się oderwanym tematem naukowym. W uczelni medycznej, oprócz nadmiernej ilości zajęć dydaktycznych, większość pracowników pracuje za dwa etaty — lekarze zajmują się chorymi, czyli wykonują tzw. pracę usługową, zajmują się szkoleniem podyplomowym lekarzy i nadzorem specjalistycznym nad służbą zdrowia. To wszystko opóźnia awans w nauce, powoduje, że uprawianie działalności naukowej w medycynie stało się prywatnym hobby niedzielno-wieczornym. Zapomniałem tu jeszcze dodać, iż pracy naukowej nie ułatwiają braki wyposażenia. Uważam, że nie musimy się absolutnie wstydzić naszej wiedzy teoretycznej, której poziomem nie odbiegamy od panującego w świecie. Mamy natomiast w Łodzi braki w wyposażeniu. Sytuacja ulegnie zmianie, kiedy zostanie wybudowane Centrum kliniczne.

Szczególna specyfika pracy lekarza powoduje, że odkładamy na później opracowanie wyników naukowych. Wielu moich kolegów, lekarzy o wybitnych umysłach, wcale nie doszło do żadnych tytułów i stopni naukowych. Nie mieli czasu na pisanie, tak się angażowali w pracę z pacjentem. Niedawno w CKK broniłem wysokiego awansu pracownika, który napisał minimalną ilość prac.

JANUSZ GOŚCIŃSKI: — W Stanach Zjednoczonych można obserwować zupełnie odmienne zjawisko. Właśnie młodym lekarzom nadaje się tytuł profesora, aby ich zachęcić do pracy i stworzyć takie warunki w których mogliby coś jeszcze dla tej medycyny zrobić.

ADAM BUKOWCZYK: — To jest niezły sposób. W medycynie, przeciwnie niż w naukach eksperymentalnych, najpłodniejszy okres przypada na lata dojrzałe. Mówi się, że doświadczenie przychodzi z wiekiem.

JANUSZ GOŚCIŃSKI: — To jeszcze jeden dowód na to, że rygory formalne związane z awansem nie powinny być jednakowe dla wszystkich dyscyplin. Bo te dyscypliny są nieporównywalne. W fizyce i matematyce do największych osiągnięć dochodzi się przed 35 rokiem życia. W medycynie, jak przed chwilą usłyszeliśmy, znacznie później.

ADAM BUKOWCZYK: — Czy któryś z panów orientuje się, jak długo czeka się przeciętnie na nominację na tytuł profesora od złożenia dokumentów w CKK? Znam przypadki, kiedy czekało się od 3 miesięcy do 12 lat. Liczyła się pozycja osoby, a nie jej dorobek.

„ODGŁOSY": — W wytycznych CKK szczególne wątpliwości wzbudza rozdział poświęcony pracy dydaktycznej i organizacyjnej kandydata na profesora. Doktor habilitowany, pretendujący do tytułu profesora, odpowiada m. in. na takie pytania: Czy był opiekunem roku studenckiego, organizacji SZSP lub radiowęzła? Czy brał udział w wycieczkach Studenckiego Koła Naukowego, ile razy wyjeżdżał na konferencje naukowe za granicę, czy wygłaszał tam referaty lub zabierał głos w dyskusji. Co ma wspólnego z twórczością naukową opieka nad studenckim radiowęzłem tego doprawdy nie wiem. Obawiam się natomiast, że takie kryteria mogą utrudnić awans ludziom z rzeczywistym dorobkiem naukowym, którzy jednak nie jeżdżą na wycieczki ze studentami. W uczelniach i instytutach potrzebni są ludzie o różnych zdolnościach, temperamentach i zamiłowaniach.

ANDRZEJ ROMANIUK: — Proszę pani, przecież nawet, jeśli ktoś ma jedną, nawet wartościową, pracę, to też nie dostanie żadnego awansu. Uważa się, że jeśli w ciągu pięciu lat od ostatniego awansu opublikował tylko tę jedną pracę, to znaczy, że nic nie robi. Tymczasem historia nauki uczy nas, że nawet jedna i to bardzo krótka publikacja mogła dokonać w nauce całego przewrotu. Wyżej ceni się także publikacje w czasopismach zagranicznych. A często są to bardzo mierne tytuły. W polskim piśmiennictwie są niekiedy o wiele bardziej wartościowe prace. Przepisy CKK premiują też działalność organizacyjną i dydaktyczną, nie oddzielając jej od dorobku naukowego.

„ODGŁOSY": — Ale to jest zgodne z przyjętym u nas schematem awansów. Awans oznacza stopień w górę w hierarchii administracyjnej lub organizacyjnej. Zdolny inżynier awansuje na dyrektora, dziennikarz na kierownika działu. Nie można być „tylko" dobrym lekarzem. Trzeba zostać kierownikiem poradni. Środowisko naukowe również nie oparło się tym trendom.

ZDZISŁAW HAŚ: — Można łatwo obliczyć, ile społeczeństwo ma zdolnych ludzi, ilu potencjalnych twórców. Widzę wiele przyczyn, które powodują, że nie wyrastają z nich rzeczywiści twórcy, a ich zdolności się marnują. Przyczyny są bardzo proste, znane od początku wynalezienia monet. Myślę tu o zarobkach, które odgrywają niebagatelną rolę. Poza tym, jeśli nauka jest najważniejszą gałęzią gospodarki narodowej, to muszą nią kierować prawa ekonomiczne, czy nam się to podoba czy nie.

„ODGŁOSY": — Nie wiem dlaczego krępujemy się mówić o zarobkach naukowców. Uważamy za naturalne, że na przykład zdolny rzemieślnik otrzymuje godziwą zapłatę za swoje umiejętności. Natomiast gdy chodzi o wybitnego naukowca, wstydliwie zmieniamy temat. Pomijając już fakt zaspokajania potrzeb materialnych, takich samych jak u wszystkich ludzi, zarobki są także wyrazem społecznego uznania dla talentu, wiedzy i odpowiedzialności.

ZDZISŁAW HAŚ: — Poza tym ważny jest również społeczny prestiż, stosunek do naukowców. Słusznie, że artystów nazywa się twórcami, ale czy pana profesora nazwał ktoś kiedy twórcą?

ANDRZEJ ROMANIUK: — Nie.

ZDZISŁAW HAŚ: — Mnie też nie. Chyba, że przez pomyłkę jakiś dziennikarz, jak na przykład redaktor Lempkowski w „Horyzontach Techniki". Pracowników nauki nie traktuje się jak twórców. Pytanie też, czy pracowników nauki zachęca się do twórczej działalności. Moim zdaniem, skutecznie się zniechęca. Jestem zwolennikiem wykorzystania wszystkich bodźców sprzyjających rozwojowi gospodarki narodowej. Uważam jednak, że obecnie przeceniamy bodźce pozamaterialnego zainteresowania. W naukach technicznych, które uprawiam, jak również w wielu innych dyscyplinach, nie jest się gwiazdorem ocenianym przez szeroką publiczność. Pracownik nauki oceniany jest przez wąskie grono specjalistów i jeśli ci nie są w pełni obiektywni, to jego sytucja jest bardzo trudna. Natomiast w działalności artystycznej dobre dzieło samo toruje sobie drogę i uznanie publiczności i jest nagrodą za wysiłek i talent twórcy. Czy to uznanie społeczne i prawne dla pracowników nauki jest ważne? Uważam, że bardzo. Obecnie pracownik naukowy, zgodnie z obowiązującymi przepisami, nie może rozwiązywać problemów ważnych dla gospodarki dłużej niż cztery godziny dziennie poza obowiązującym czasem pracy. Przy czym musi udokumentować, co w tym czasie robił, zaś wynagrodzenie otrzymuje od 45 do 75 złotych za godzinę. Natomiast twórcy, zgodnie z obowiązującymi przepisami, otrzymują honorarium za dzieło. Uważam, że formalne i prawne uznanie dla naukowców i techników pomogłoby gospodarce bardziej niż stosowana obecnie tytułomania.

Nie będę odosobniony w poglądzie, że nasza gospodarka wykorzystuje wyniki naukowe w minimalnym stopniu. Nie zwalnia to w moim pojęciu administracji państwa od wglądu w działalność naukową, zwłaszcza w te prace, które są niezbędne gospodarce.

JANUSZ GOŚCIŃSKI: — Panie profesorze, przecież pan idealizuje. Chce pan, żeby w nauce obowiązywała zasada użyteczności?

ZDZISŁAW HAŚ: — Tak, uważam, że wszystkie dyscypliny naukowe, uprawiane w Polsce, są użyteczne i potrzebne. Cała rzecz w tym, aby je umiejętnie wykorzystać, łącznie z badaniami podstawowymi, bez których nie ma twórczości naukowej i technicznej.

JANUSZ GOŚCIŃSKI: — Wobec tego należałoby przyjąć ocenę dorobku pracownika pod kątem użyteczności jego pracy. A przecież my operujemy kryteriami oceny ludzi, a nie ich pracy. To nieważne, czy Kowalski pracuje dobrze czy źle. Ważne, że Kowalski jest miły, albo niegrzeczny, Kowalski jest byłym partyzantem, ma ustosunkowanego teścia, itp.

„ODGŁOSY": — Ale te same zasady przyjęły się w dyskusjach. Krytykowani obrażają się śmiertelnie, traktując krytykę swego dzieła jako osobistą obrazę. Nie jest ważny problem, tylko osoba. Nic dziwnego, że upada krytyka naukowa.

ADAM BUKOWCZYK: — Bardzo mi odpowiada atmosfera tej dyskusji. Świadczy o żywych emocjach. Jeśli tak jest, to znaczy, że wiele jeszcze możemy zrobić.

ANDRZEJ ROMANIUK: — Wróćmy więc do zasadniczego pytania naszej dyskusji. Jeśli przyjmiemy, że dotychczasowy system awansowania obfituje w tak wiele mankamentów, o których tu mówiliśmy, to czy moglibyśmy pokusić się o jego zreformowanie? Na reformę taką czeka przecież środowisko naukowe.

ADAM BUKOWCZYK: — Nie znosiłbym rygorów doktoratów i habilitacji, tylko bym je zmodyfikował i wypełnił inną treścią. Przecież to, że obracamy się w świecie pozorów jest powodowane przez grzecznościowe recenzje, negatywną selekcję, spychanie kryteriów naukowych na dalszy plan. Prawda naukowa leży poza tym światem.

JANUSZ GOŚCIŃSKI: — Można inaczej rozłożyć odpowiedzialność za awans naukowy. Może stopnie i tytuły powinny nadawać same uczelnie, tak jak w innych krajach?

ANDRZEJ ROMANIUK: — Tylko, że wówczas jest się profesorem tylko tej uczelni, która nadała tytuł.

ZDZISŁAW HAŚ: — Uważam, że należy stworzyć takie warunki, aby łatwiej było rozwiązywać głębokie problemy naukowe i techniczne, a nie — jak to się obecnie mówi — „prowadzić badania" i dążyć do zwiększenia liczby utytułowanych osób. W każdej sytuacji, także i w tej, można znaleźć optymalne rozwiązanie.

„ODGŁOSY": — Serdecznie dziękuję panom za udział w dyskusji, która — jak myślę — przybliżyła czytelnikom złożoność tych zagadnień. Nie zamykamy jej, przeciwnie, traktujemy jako otwartą i zachęcamy do wypowiedzi na ten temat.

Dyskusję przygotowała:
MAŁGORZATA GOLICKA

Dr hab. ALEKSANDER LEGATOWICZ: — Pracownik naukowy powinien przede wszystkim pracować twórczo, a stopnie naukowe zdobywać, zyskiwać „przy okazji".

Prof. dr hab. JANUSZ GOŚCIŃSKI: — Zasady są błędne, sprzyjają negatywnej selekcji i przewadze ilości nad jakością.

Foto: R. Łucyszyn

WYBRANY Z WYBRANYCH

O mój najdroższy, już go nie ma — pisała do męża po śmierci swego jedynego brata siostra Fryderyka Chopina. Wielka cisza zamknęła się nad najwybitniejszym naszym kompozytorem w październikową noc sto trzydzieści lat temu.

Nieprzemijająca wartość dzieł Fryderyka Chopina kilkunastu już pokoleniom melomanów przyniosła najgłębsze i najsłuszniejsze przekonanie o wielkości jego geniuszu. Dziś chcemy przypomnieć pierwsze oceny wystawione muzyce Chopina przez tych krytyków, którzy mieli szczęście słyszeć utwory naszego najwybitniejszego kompozytora w jego własnym wykonaniu.

Fryderyk Chopin, twórca, który imieniu Polski nadał szczególnie piękne brzmienie i rozsławił je swą muzyką na całej kuli ziemskiej, wcześnie stał się obiektem uwielbienia kapryśnej i bardzo wymagającej Europy. Powszechny entuzjazm wzbudziły już nawet te kompozycje, które warszawskiej publiczności zaprezentował Chopin mając lat... osiem. Recenzent *Nowego Pamiętnika Warszawskiego* w styczniu 1818 roku pisał: .... *przemilczeć nie możemy kompozycji następującej: Polonaise pour Pianoforte (g-moll), dediee a son Exellence Mle la Contesse Victoire Skarbek par Frederic Chopin age de 8 ans. Kompozytor tego tańca polskiego... prawdziwy geniusz muzyczny — nie tylko bowiem z łatwością i smakiem nadzwyczajnym wygrywa sztuki najtrudniejsze na fortepianie, ale nadto jest już kompozytorem kilku tańców i wariacji, nad którymi znawcy muzyki dziwić się nie przestają...* Znawcy muzyki dziwić się nie przestawali także w późniejszych latach, a Czartoryscy, Radziwiłłowie, Sapiehowie i Potoccy ubiegali się o udział młodego artysty w swych domowych koncertach. Zofia ordynatowa Zamoyska urządzając wieczór dobroczynny zaprosiła do swego salonu dwoje *cudownych dzieci* — obok ośmioletniego Fryderyka Chopina wystąpił także sześcioletni Zygmunt Krasiński. Na tym właśnie koncercie mały Fryderyk odniósł swój pierwszy publiczny sukces. Rychło przyszły następne. Niepospolity talent rozwijał się bujnie. Prasa zaś poświęcała młodemu artyście coraz więcej miejsca, uwagi i życzliwości. W opracowanej przez Władysława Dulębę biografii Chopina znajdujemy fragmenty wielu recenzji publikowanych wtedy na łamach prasy polskiej i obcej. Oto co pisano o dwudziestoletnim młodzieńcu i jego sztuce:

Gra jego, jak i jego kompozycje (...) posiadają pewien charakter skromności, dzięki której młodzieniec ten wcale nie zdaje się pragnąć, ażeby wydać się świetnym, jakkolwiek gra jego pokonywała trudności, których przezwyciężenie nawet tutaj w ojczyźnie wirtuozów fortepianowych, musiało uderzyć; ma się wrażenie, jakby z prawie ironiczną naiwnością starał się raczej o to, by nie tyle uprawiać muzykę, ile nią zająć szerszą publiczność. I rzeczywiście, udało mu się to w zupełności, albowiem nieuprzedzona publiczność sowicie go darzyła uznaniem".

(A. Bauerle, Wiener Theater Zeitung 1829)

Jest to młodzieniec idący zupełnie swoją własną drogą, na której wie jak się podobać, jakkolwiek jego rodzaj i sposób grania znacznie się od zwykłych form koncertowych oddalają, zwłaszcza pod tym względem, że nierównie bardziej i to w sposób znaczący, dba on o muzykę dla muzyki samej aniżeli o to, żeby się podobał wyłącznie, ażeby kokietować muzyką.

(Wiener Theater Zeitung)

Młody Warszawianin, P. Szopę (Chopin), d. 10 bm. okazał swój talent w Wiedniu, w teatrze przy Karyntskiej bramie. Grał na fortepianie swej kompozycji Rondo (...) i został z powszechnym zadowoleniem przyjęty; po każdym solo wznawiano rzęsiste oklaski; nazajutrz znakomite osoby wezwały go do swych domów i ma dać drugi koncert.

(Kurier Warszawski 1829)

Pan Chopin, nasz ziomek, dawał drugi koncert w teatrze dworskim w Wiedniu. Przyjęto go z upodobaniem, a gazeta teatralna powiada, że w panu Chopin przemaga widocznie usiłowanie podobania się nad usiłowaniem robienia muzyki, jakoż podoba się powszechnie,

(Gazeta Polska 1829)

i dwa lata później:

Wieczór dany w przeszłą sobotę w Resursie był jednym z najprzyjemniejszych w stolicy naszej. Do uświetnienia jego wiele przyłożył się talent P. Chopin (Szopę). Utwory Pana Chopin noszą bez zaprzeczenia piętno wielkiego jeniuszu; między nowym' jego dziełami ma być Koncert f-moll, godny iść w rzędzie z dziełami najpierwszych Europy muzyków.

(Stanisław Egbert Koźmian Kurier Warszawski)

Granie Chopina jest, że tak powiem, jak ton w towarzystwie wiele znaczącej, a prawdziwie dobrze ułożonej osoby, bez żadnej pretensji, dla tego samego, że ma do wszystkiego prawo: jest jak młoda i niewinna piękność, której jeszcze na myśl nie przyszło podwyższyć swe wdzięki ubiorem.

(Maurycy Mochnacki, Kurier Polski 1830)

Chopin z uwagą i wnikliwością studiował głosy prasy i choć nie zawsze zgadzał się z nimi, to jednak — jak z jego korespondencji wynika — często brał pod uwagę sugestie krytyków, co oczywiście nie znaczy, iż w jakimś znacznym stopniu ulegał wpływom krytyki, ale cenił sobie jej uwagi dotyczące zwłaszcza interpretacji skomponowanych przez siebie utworów. Trzeba też przyznać, że daleki był od wszelkiej pychy i krytyczne głosy przyjaciół cenił wyżej niż najbardziej nawet entuzjastyczne słowa recenzentów. Po pierwszym publicznym koncercie w Warszawie tak pisał do Tytusa Wojciechowskiego: *Twoje jedno spojrzenie po każdym koncercie byłoby mi więcej jak wszystkie pochwały gazeciarzów, Elsnerów, Kurpińskich, Soliwów itd...* Tytusowi Wojciechowskiemu zwykł był Chopin relacjonować wszystkie swoje poczynania. Z listów do niego możemy się dowiedzieć nawet o kłopotach z instrumentem: *Mochnacki w Kurierze Polskim wychwaliwszy mnie pod niebiosa, a szczególniej Adagio, na końcu radzi więcej energii. — Domyśliłem się, gdzie ta energia siedzi, i na drugim koncercie nie na swoim, ale na wiedeńskim grałem instrumencie... Dopiero oklaski, pochwały, że każda nutka jak perełka wybita, i że na drugim lepiej grałem, jak na — pierwszym i dalej po wywołaniu mnie wrzeszczeć o trzeci koncert.* Krytyka wcześnie zwróciła uwagę na ten szczególny walor twórczości Chopina, jakim jest jej narodowy charakter. Każdy z sygnalizujących ten walor głosów podkreślał, iż ów narodowy charakter utworów Chopina nie czyni ich sentymentalnymi, a jedynie przydaje im szlachetnej i subtelnej urody. Efekt ten będący owocem wybitnego talentu i najwyższego stopnia wtajemniczenia określano mianem szczególnie cennego. Zresztą i dziś wyróżnia on muzykę Chopina w ten wyjątkowy sposób, który każde zachwycać się nią na obu półkulach i sprawia, że sięgają po nią pianiści wszystkich narodowości. Czas potwierdził prawdę słów Wojciecha Grzymały: *Śpiew narodowy, przebijając się w jego utworach, nie robi ich monotonijnymi, służy mu tylko za tło genialnych pomysłów, bierze z niego proste, ale żywe barwy żeby w pojednoczeniu ich ze swoją myślą i uczuciem ukazywał je na powrót z dala, jak one w tym poetycznym przestrojeniu pięknie się wydają, jak je sztuka uzacnić, podnieść i nowy byt im nadać może.* Tajemnica subtelności z jaką artystycznemu przetwarzaniu poddawał Chopin poszczególne motywy muzyczne kryła się w niezwykłej sile uczucia, w znacznym napięciu emocjonalnym, wyjątkowej wrażliwości i świeżości twórczych przeżyć. Szybko też dotarli do jej sedna wrażliwi słuchacze. Zachwycały ich zarówno poszczególne kompozycje Chopina, jak i jego sposób ich interpretacji.

Pan Chopin dał się trzykrotnie słyszeć tego wieczoru w dziełach swego własnego utworu, których układ odpowiadał doskonałości wykonania. Wszystkie zalety znamionujące Wirtuoza na Fortepianie łączy Pan Chopin w najwyższym stopniu: moc, biegłość, a nade wszystko czucie — stanowią jego główną zaletę, każde uderzenie klawisza jest u niego wyrazem serca.

(Gazeta Warszawska, 1830)

Warszawa krótko cieszyła się swoim wirtuozem. W listopadzie 1830 roku życzliwy kompozytorowi *Kurier Warszawski* poinformował swoich czytelników o jego wyjeździe za granicę. W informacji tej zwraca uwagę jakiś szczególnie ciepły ton, klimat prawdziwej sympatii, wielkiego uznania i głębokiego szacunku dla wybitnego kompozytora:

Nasz Rodak, Wirtuoz i Kompozytor muzyczny, Fryderyk Szopę (Chopin), wczoraj wyjechał z Warszawy dla zwiedzenia obcych krajów. Najprzód zatrzyma się w Kaliszu, skąd uda się do Berlina, Drezna, Wiednia; następnie zwiedzi Włochy i Francję. Liczni przyjaciele tego artysty, na których czele znajdował się Rektor Elsner, odprowadzili go do Woli...

W kilka dni po jego wyjeździe wybuchło powstanie listopadowe i swojej nieobecności w walczącej Warszawie Chopin długo nie mógł sobie darować. Dowodów wielkiej rozterki i wielkiej tęsknoty za krajem dostarcza nam jego korespondencja: *Od dnia jednak, w którym dowiedziałem się o wypadkach 29 listop., aż do tej chwili nie doczekałem się niczego prócz niepokojącej obawy i tęsknoty; i Malfatti na próżno stara się mnie przekonać, że każdy artysta jest kosmopolitą. Choćby i tak było, to jako artysta jestem w kolebce, a jako Polak trzeci krzyżyk zacząłem.* Cóż mógł uczynić, nie mogąc powrócić? Komponował i grał w taki sposób, że jego koncerty stały się manifestacjami politycznymi. Najcelniej — jak się wydaje — opisał go w tym czasie Robert Schumann: *...los stworzył jeszcze coś, ażeby Chopin wyróżniał się wśród innych i budził zainteresowanie, mianowicie silną oryginalną narodowość — narodowość polską. A że chodzi ona teraz w żałobnych szatach, tym mocniej nas wzrusza w osobie zamyślonego artysty (...). Gdyby potężny i samowładny monarcha na Północy wiedział, jak groźnego ma wroga w dziełach Chopina, w prostych melodiach jego mazurków, zakazałby jego muzyki. Dzieła Chopina to w kwiatach ukryte armaty.* Spod pióra tego samego Roberta Schumanna wyszły słynne słowa najzwięźlej określające naszego kompozytora: *Kapelusze z głów, Panowie oto Geniusz!* Z niesłabnącym zapałem sławił Chopin imię swojej ojczyzny. Cała Europa przyjmowała go z największym uznaniem.

Gdyby Chopin nie był najpowściągliwszym, tudzież najmniej próżnym i ambitnym ze wszystkich żyjących muzyków to czczono by go już od dawna jako twórcę nowego stylu, jak w ogóle nowej szkoły w zakresie sztuki kompozytorskiej fortepianowej.

(The Musical World 1838)

Chopin jest przede wszystkim poetą, poetą wrażliwym, który stara się, aby poezja dominowała. Stwarza nadzwyczajne trudności wykonawcze, lecz nigdy z uszczerbkiem melodii, która zawsze jest prosta i oryginalna. Słuchajcie Chopina, a zrozumiecie bardzo szybko, że nic nie złożył modzie w ofierze, że nie ugiął się przed kaprysami złego smaku, by osiągnąć bogactwo i sławę... Chopin jest pianistą z przekonania. Komponuje dla siebie, gra dla siebie. Tego co gra, co komponuje słuchają wszyscy oczarowani, z niesłabnącym zainteresowaniem, z przyjemnością.

(La France Musicale 1842)

Gdy przed kilkoma miesiącami bawił przez czas krótki w naszej stolicy, niewielu tylko miało szczęście słyszeć go grającego, a raczej improwizującego poniekąd, ale tych niewielu nigdy się nie rozstanie z tym wspomnieniem.

(The Musical World)

Siła osobowości Fryderyka Chopina sprawiła, iż otaczało go powszechne uwielbienie. W pięknych słowach scharakteryzował go Franciszek Liszt: *Chopin daje się słyszeć rzadko i w dużych odstępach czasu. Ale właśnie to, co stałoby się dla kogo innego przyczyną zapomnienia i braku sławy, jemu stworzyło opinię wyższą nad kaprysy i puklerz przeciw wszelkiej rywalizacji, zazdrości i niesprawiedliwości... Dzięki temu ten wybrany z wybranych przebywający stale w wyższych regionach, pod każdym względem arystokratyczny artysta został uchroniony od jakiegokolwiek ataku. Zamilkły już zupełnie krytykujące go głosy, jak gdyby przestał być istotą współczesną... Nie szukając fałszywej oryginalności, jest tak samo świetny w stylu, jak i w pomysłach. Umie on bowiem myślom nadać nowe formy. Cechująca jego ojczyznę pewna dzikość i gwałtowność, znajdują wyraz w śmiałych dysonansach i swoistych harmoniach, podczas, gdy jego osobista delikatność i wdzięk objawiają się w tysięcznych konturach, w tysięcznych najoryginalniejszych ozdobach...*

CHOPIN (fotografia Bissona, ok. 1849)

Myśl Chopina zawsze biegła do kraju. W 1844 roku pisał do przyjaciela: *...chłopy galicyjskie dały przykład wołyńskim i podolskim, nie obejdzie się bez strasznych rzeczy, ale na końcu tego wszystkiego jest Polska świetna, duża, słowem: Polska.*

Nie zobaczył jej już nigdy. Zmarł w Paryżu 17 października 1849 roku. *Ten wybrany z wybranych...* Świat wsłuchuje się w jego dzieło w nieustannym hołdzie. I znajduje je coraz piękniejszym, tym nieśmiertelnym pięknem wielkiej sztuki.

Opr.: EWA PANKIEWICZ

NASZA ROZMOWA

z dr ZBIGNIEWEM ANTOSZEWSKIM sekretarzem ZARZĄDU WOJEWÓDZKIEGO TPPR w Łodzi

— *„Chcemy być organizacją żywą i potrzebną..."* *Foto: R. Łucyszyn*

ODPOWIEDŹ

— Kiedy się obserwuje waszą pracę, odnosi się wrażenie, że postawiliście przede wszystkim na współczesność? Co zmieniło się w metodach pracy TPPR?

— Chcemy być organizacją żywą i potrzebną, dlatego poszukujemy coraz atrakcyjniejszych form pracy. Oczywiście, wszystko zależy od ludzi. I mogę z pełnym przekonaniem stwierdzić, że trafiają do nas rzeczywiście najlepsi, z inicjatywą, z pomysłami. Postawiliśmy na młodość, ale nie tylko na młodość w sensie pokoleniowym. Trzon naszych działaczy stanowią ludzie od lat wypróbowani w pracy, mający duże doświadczenie polityczne i społeczne. Reprezentują wysoki poziom wiedzy, rzetelną znajomość współczesnej problematyki Związku Radzieckiego. Mają serce do pracy, operują konkretem i reprezentują wszystkie środowiska, od techników po humanistów, mogą z pasją przedstawiać najbardziej skomplikowane zagadnienia kosmonautyki, mogą też ze znawstwem zaprezentować najnowsze tendencje radzieckiej prozy, czy poezji i dzięki temu możemy docierać wszędzie.

— Wiele chyba zależy od aktywu?

— To truizm. Ale ja nie wyobrażam sobie po prostu lepszego aktywu. I może dlatego współpraca układa się tak dobrze. W poprzednich latach towarzystwo bywało niekiedy osamotnione, bo za wiele brało na swoje barki. Chciało spełniać funkcję wyspecjalizowanego domu kultury programującego własne zespoły i prowadzić działalność wydawniczą, i być biurem turystycznym, które organizuje wycieczki do Związku Radzieckiego. Wyręczaliśmy więc często powołane do tego instytucje. Wiele się zmieniło dzięki takim ludziom, jak: prof. dr Władysław Bortnowski, kierownik Zakładu Historii Narodów ZSRR na Uniwersytecie Łódzkim, znany działacz Jerzy Pryma, wiceprezydent m. Łodzi Jan Morawiec, czy Henryk Łabędzki, wiceprzewodniczący ZG Związku Włókniarzy. Nasze wyspecjalizowane komisje pracują coraz lepiej. Na czele robotniczej stoi Zbigniew Kujawa, sekretarz ZG Związku Włókniarzy. Komisją akademicką kieruje prof. dr Edward Galas, rektor PŁ. Sprawy kultury powierzyliśmy Zbigniewowi Godlewskiemu, dyrektorowi WFO. Dyrektor Zjednoczenia Przemysłu Bawełnianego Kazimierz Lipczyk, kieruje komisją nauki i techniki. Nie sposób zresztą wymienić wszystkich, choć wszyscy zasługują na uznanie, bo wykonują powierzone im zadania społeczne z oddaniem. Jesteśmy bardzo radzi, że funkcję przewodniczącego pełni z całym oddaniem prezydent m. Łodzi Józef Niewiadomski, a bezpośrednią, codzienną radą służy nam sekretarz KŁ PZPR, Genowefa Adamczewska.

— Domyślam się, że ta aktywność łódzkiej organizacji TPPR nie pozostała bez wpływu na stan członkowski.

— To przyniosło owoce. W ubiegłym roku odbyła się konferencja wojewódzka TPPR. Wówczas, w czerwcu, zrzeszaliśmy 156 tys. członków. Dziś jest nas blisko 240 tysięcy, a to znaczy, że łódzka organizacja TPPR jest drugą pod względem wielkości w kraju. Przed nami jest tylko okręg katowicki. Ale jeśli uwzględnić procent zorganizowania w stosunku do liczby mieszkańców, to wysunęliśmy się na pierwsze miejsce w kraju, co świadczy o trafności naszych poszukiwań. Nie ma już w Łodzi środowisk, do których nie docieramy z naszą problematyką.

— Jak stał się możliwy taki imponujący wzrost szeregów organizacji?

— Przede wszystkim dzięki rozszerzeniu kierunków działania w najlepszym znaczeniu tego słowa. Propaganda to szuka, nie można jej sformalizować. Wtedy ma sens, kiedy jest trafna, kompetentna. Dlatego właśnie nawiązaliśmy kontakty z aktywem wszystkich liczących się organizacji. I zdobyliśmy rzeczywistych sojuszników. Tak na przykład Socjalistyczny Związek Studentów Polskich stał się naszym głównym partnerem w pracy TPPR w środowisku akademickim. Problemy młodzieży radzieckiej i polskiej mają wiele cech wspólnych. Stawiamy je otwarcie, nie bojąc się trudnych spraw. Są efekty: w ciągu roku nastąpił

PODRÓŻ TEATRALNA

MOSKWA • TBILISI • EREWAN • BAKU

Dalszy ciąg ze str. 1

cym ładną, dużą salę, sytuacja jak u nas wokół stadionu w czas ważnych zawodów. Wewnątrz obsługa nieustannie dostawia krzesła na każdym skrawku wolnej przestrzeni; pod ścianami stoją szczęśliwcy, którym udało się dostać do środka mimo braku biletów.

Pierwsze wrażenie jest szokujące. Scena od początku odsłonięta i całkowicie pusta. Tylko z boku, już poza jej ramą, troje drzwi, komoda, parę krzeseł, wisząca na ścianie ikona i dwa imitujące ludzi manekiny obficie ochlapane czerwoną farbą. Zrazu wydaje się to epatowaniem widza. Później okaże się, iż owe kukły — poprzez swoją niemal dosłowną realność — wyznaczają proporcje sprawy, określają jej wymiar, umieszczają ją w odpowiednim miejscu kodeksu karnego i moralnego. Karłakin zadziwiająco wiernie przełożył na język sceny zasadnicze wątki i myśli dzieła Dostojewskiego. Lubimow nadał adaptacji fascynującą formę sceniczną.

Przedstawienie jest gęste i mroczne. Także aurowe, niekiedy wręcz ascetyczne. A równocześnie o bardzo wysokiej temperaturze, ogromnym wewnętrznym napięciu, niebywałym ładunku emocjonalnym. Lubimow osiąga to zadziwiająco prostymi środkami. Kładzie nacisk niemal wyłącznie na sam tekst, unikając wszystkiego, co mogłoby w jego odbiorze przeszkodzić. Nie ma tu więc błyskotliwych pomysłów inscenizacyjnych, czy kunsztownie konstruowanych scen. Reżyser bardzo często zostawia aktora — oświetlonego ostrym, punktowym reflektorem — sam na sam z widownią. Niemal każda z pierwszoplanowych postaci ma taką swoją własną etiudę, wszystkie zaś rozegrane są po mistrzowsku. Aktorstwo w tym spektaklu — ekspresyjne, ale jednocześnie bardzo nowoczesne, chociaż mocno stojące na gruncie tradycji rosyjskiego teatru — jest najwyższej rangi. A. Trofimow (Raskolnikow), T. Iwanienko (Dunia), N. Czub (Sonia), W. Wysocki (Swidrigajłow), R. Dżabraiłow (Marmieładow), W. Pogorelcow (Lebiezjatnikow) — te nazwiska należy zapamiętać, ale właściwie trzeba by przepisać cały afisz. Wśród tych, spośród naszej grupy, którzy widzieli „Zbrodnię i karę" w Teatrze na Tagance opinia była jednomyślna: tylko dla tego jednego spektaklu warto było ponieść trudy długiej i w sumie dość męczącej podróży.

Już jednak następnego dnia owo przekonanie zostało jakby nieco zachwiane. Zobaczyliśmy bowiem przedstawienie całkowicie odmienne, tak bardzo różniące się od poprzedniego, że jakiekolwiek porównania nie miałyby najmniejszego sensu, pod względem artystycznym równe wszakże pierwszemu, a zdaniem niektórych nawet je przewyższające. Gruziński Akademicki Teatr im. Rustawelego zaprezentował **„Kaukaskie koło kredowe" B. Brechta** w reżyserii Roberta Sturua. Spektakl pyszniący się niebywałą teatralną urodą, bogactwem środków wyrazu, urokliwością poetyckiego nastroju. Reżyser prowadzi przedstawienie niezwykle precyzyjnie, w dobrym starannie wymierzonym i przestrzeganym z żelazną konsekwencją tempie, nadając opowieści ton i charakter szerokiej, rozlewnej ballady ludowej. Na scenie dzieje się ogromnie dużo, ale poszczególne sekwencje komponowane są z ogromną przejrzystością, zadziwiając znakomitym współgraniem wszystkich, składających się na nie elementów. Dlatego wymienić należy — obok Sturua — także pozostałych realizatorów, których udział w ogólnym sukcesie jest niewątpliwy. Twórcą prostej w pomyśle — opartym na wykorzystaniu wyprawionych skór owczych — i oryginalnej scenografii jest G. Meschiszwili kompozytorem bardzo pięknej, wielokrotnie skrzącej się przednim dowcipem muzyki G. Kanczeli interesujące układy choreograficzne są dziełem J. Zareckiego.

R. Sturua — uznawany dzisiaj za jedną z najwybitniejszych indywidualności teatralnych nie tylko w Gruzji, lecz także na terenie całego Związku Radzieckiego — jest w tym spektaklu niemal do przesady wierny Brechtowi, podporządkowując się nawet bodaj wszystkim, zawartym w didaskaliach, wskazówkom autora. Równocześnie jednak Brechtowski tekst wypełnia szczelnie własnymi przemyśleniami, własną koncepcją świata i człowieka, tchnącą głęboko przeżywanym optymizmem, wypływającym z niezachwianej wiary w przewagę — w ogólnym bilansie — dobra nad złem.

Podobnie jak w przypadku Teatru na Tagance — porównania będą się nasuwały mimowolnie — tak i tym razem powinienem wymienić wszystkich wykonawców, nie ma tu bowiem ról nieważnych, czy mniej starannie opracowanych. Obsada liczy jednak kilkadziesiąt osób, co siłą rzeczy zmusza do rezygnacji choćby z kilku nazwisk, wybór byłby bowiem niesłychanie trudny.

Jeśli więc gruziński zespół przyjedzie kiedyś do Polski — a taka możliwość zdaje się rysować — gorąco polecam wszystkim owo przepiękne, barwne, poetyckie „Kaukaskie koło kredowe". Może się też zdarzyć, że będziemy mieli okazję zobaczenia drugiego przedstawienia, także zrealizowanego przez R. Sturua w teatrze im. Rustawelego. Mam tu na myśli **„Macochę Samaniszwiliego" Dawida Kołdiaszwiliego** — klasyczną komedię gruzińską, której akcja rozgrywa się w drugiej połowie XIX wieku. Fabuła nie jest zbyt skomplikowana. Oto stary Samaniszwili postanawia — po wielu latach samotnego życia — ożenić się powtórnie. Pomysł ten nie przypada do gustu synowi starszego, dobrze się jeszcze trzymającego pana. Samaniszwili — junior obawia się bowiem, że z czasem przestanie być jedynym spadkobiercą majątku ojca. Proponuje przeto, iż sam znajdzie mu odpowiednią żonę. Rzecz w tym, iż będzie szukał kobiety, która przynajmniej dwukrotnie była zamężną, a mimo to pozostała bezdzietną. W jego przekonaniu ma to stanowić rękojmię, iż nadal będzie jedynym synem, a co za tym idzie — nie stanie przed koniecznością dzielenia się schedą. Spełniająca obydwa warunki kandydatka wreszcie się znajduje, ale przewrotny plan młodszego Samaniszwiliego nie udaje się. Wkrótce przychodzi na świat najmłodszy potomek rodu.

Najbardziej charakterystyczną i oryginalną cechą tego — również bardzo dobrego — przedstawienia jest to, że Sturua pozostawiając akcję w XIX wieku rozgrywa ją jakby rzecz się działa współcześnie. Tekst sprzed lat stu mówiony jest więc przez ludzi, myślących kategoriami roku 1979. W XIX-wiecznych dekoracjach (Akakija Ramaszwiliego i Michaiła Czawczawadzego porusza się człowiek dzisiejszy. Z jednej strony daje to efekty bardzo zabawne, z drugiej zaś — pogłębia rzecz, przydając jej interpretacyjnej wielowarstwowości. Mocną stroną spektaklu jest bujne, żywiołowe aktorstwo, a w pamięci pozostają szczególnie: B. Zakariadze (Samaniszwili — ojciec), G. Giegieczkori (Samaniszwili — syn) oraz R. Czchikwadze (Kirile Miminoszwili).

W Tbilisi obejrzałem jeszcze **„Przeklęte pieniądze" A. Ostrowskiego** w reżyserii N. Saturiana z bardzo ciekawą, oryginalną scenografią J. Safronowej.

Całkowicie natomiast we współczesność przeniósł nas teatralny Erewan. Ponadto zdarzyła się tu rzecz bez precedensu i możliwa tylko dzięki niezwykłej ormiańskiej gościnności. Otóż w repertuarze Armeńskiego Teatru Dramatycznego znajduje się interesująca sztuka współczesnego dramaturga — uroczego zresztą człowieka, którego mieliśmy okazję osobiście poznać — **Grigorija Ter-Grigoriana pt. „Pomówmy szczerze".** Niestety, w dniach naszego pobytu w stolicy Armenii, „Pomówmy szczerze" akurat nie grano. I wówczas dyrekcja teatru podjęła decyzję, chyba jedyną w swoim rodzaju: specjalnie, tylko dla grupy polskich krytyków teatralnych zagrano normalny spektakl, dodatkowo, o godz. 13.

Treść sztuki, w największym skrócie, przedstawia się następująco: do redakcji pewnej gazety trafia przypadkowo list, adresowany do dyrektora zjednoczenia przedsiębiorstw kąpielowych. Autor listu przeprasza, że z braku czasu nie mógł osobiście spotkać się z adresatem, równocześnie zaś informuje, iż zamiast siebie wysyła do niego swego krewniaka, powierzając mu zadanie sprawdzenia, który z trzech kandydatów na stanowisko zastępcy dyrektora najlepiej się do tego nadaje. „Nadaje się" oznacza w tym przypadku zarówno wysokość spodziewanej jednorazowej łapówki, jak też ewentualne późniejsze korzyści, które można by uzyskiwać, dzięki mianowaniu odpowiedniego człowieka. Naczelny redaktor postanawia, że w miejsce nie znanego — co wynika z listu — dyrektorowi osobnika pojedzie młody dziennikarz, który na miejscu zorientuje się w sytuacji. Tak się też dzieje, a posunięcie to staje się powodem wielu zabawnych sytuacji, prowadzących w efekcie do zdemaskowania najrozmaitszych krętactw i machinacji, dokonywanych nie tylko przez kandydatów na stanowisko zastępcy dyrektora, ale również przez niego samego.

Wartki dialog ostry, satyryczny rysunek postaci to zalety sztuki, która — jestem przekonany — również w Polsce cieszyłaby się powodzeniem. W Erewaniu, Raczija Kapłanian — jeden z najwybitniejszych reżyserów ormiańskich — znalazł dla niej ponadto niezwykle interesującą formę sceniczną. Zachowując oryginalny tekst, przeniósł akcję komedii do... cyrku, z niemal wszystkimi jego atrybutami. Mamy tu więc i prologową paradę, i klatki, i trapezy — wiszące zresztą nie tylko w charakterze elementu scenograficznego — jak również zespół pięknych dziewcząt i wielce urodziwą piosenkarkę, której występy stanowią coś w rodzaju pełnych wdzięku przerywników.

R. Kapłanian wyreżyserował również drugą, oglądaną przez nas w Erewaniu sztukę — **„Ostatni nauczyciel" Wardgesa Petrosjana,** współczesnego, cieszącego się dużą popularnością dramaturga ormiańskiego. Tym razem zarówno sama treść, jak i wypływające z niej wnioski są daleko poważniejsze, a dotyczą skomplikowanych problemów styku świata dorosłych ze światem młodzieży.

Jedna z nauczycielek, zaszedłszy pewnego dnia, już po lekcjach, do maturalnej klasy zobaczyła, jak uczennica dokonywała strip-teas'u w rytm modnej muzyki. Wybucha, oczywiście, wielki skandal, którego jednym z efektów jest pozbawienie nauczyciela wychowawstwa klasy na dwa miesiące przed egzaminem dojrzałości uczniów. Inny, wyznaczony na to miejsce nauczyciel usiłuje znaleźć wspólny język z młodzieżą, jak też przekazać jej — przez ten krótki czas — pewne prawdy, warte zapamiętania na resztę życia. Część grona pedagogicznego uważa takie postępowanie za pozbawione racji, w dodatku sprawa się komplikuje, ponieważ do klasy tej uczęszcza syn jednego z miejscowych notabli, który — delikatnie mówiąc — nie powinien raczej służyć za życiowy wzorzec.

Starannie wyreżyserowana i dobrze zagrana sztuka rozpatruje problemy wchodzenia w dorosłe życie, jak również stosunek starszych do młodych z wielu punktów widzenia, nie dając przy tym gotowych recept, a jedynie zmuszając do myślenia i samodzielnego wyciągania wniosków. Wiele w niej podobieństw do „Egzaminu" Jana Pawła Gawlika, cieszącego się na polskich scenach dużym powodzeniem. Podobnie rzecz się ma ze sztuką „Ostatni nauczyciel" w Erewaniu, co świadczyłoby o powszechności zainteresowania tą właśnie problematyką.

Zahacza o nią także najnowsza sztuka **A. Arbuzowa pt. „Surowe gry",** wystawiona przez Azerbejdżański Rosyjski Teatr Dramatyczny im. S. Wurunga w Baku, w reżyserii D. A. Selimowa, ze scenografią E. M. Mamiedowa. Jest to wzruszająca — bardzo trudna do opowiedzenia w kilku zdaniach — rzecz o ludziach, którym w jakiś sposób życie się nie udało, a którzy mimo wszystko usiłują znaleźć w nim swoje miejsce. W tym przypadku zderzenie dwóch światów — ludzi dorosłych oraz młodych, już jednak smakujących pierwsze satysfakcje i pierwsze rozczarowania samodzielności — jest dość bolesne. Tym bardziej że — w przeciwieństwie do sztuki Petrosjana, gdzie ta akurat sprawa została potraktowana dość prosto — sami dorośli mają tu mnóstwo niełatwych problemów, których rozwiązanie przychodzi z trudem i nie zawsze przynosi spodziewane efekty.

Nowa, bardzo piękna i głęboka sztuka Arbuzowa charakteryzuje się — jak zawsze u tego autora — błyskotliwym dialogiem, bystrymi obserwacjami, niebanalnym rysunkiem postaci tudzież zwartą konstrukcją dramaturgiczną. Starannie wyreżyserowana, okraszona kilkoma lirycznymi piosenkami (opracowanie muzyczne G. G. Kalmana), nie pozostawia widza obojętnym, każdy bowiem może w niej znaleźć jakąś cząstkę siebie, jakąś prawdę, którą będzie mógł uznać za własną. Na żywy stosunek do sztuki ma bez wątpienia wpływ również stojące na wysokim poziomie, bardzo wyrównane aktorstwo. Znakomici są w pierwszoplanowych rolach trójki przyjaciół B. D. Łukiński, I. I. Koszelewicz (Polak z pochodzenia, świetnie władający językiem polskim), J. N. Balijew, zasłużone owacje zbiera młodziutka, wyraźnie utalentowana R. D. Amirbekowa, z trudną i jakby trochę niewdzięczną, bowiem budzącą raczej odruch antypatii, rolą geologa. Maszy świetnie sobie radzi I. A. Perłowa, wyrazistą postać lekarza tworzy W. G. Pasieczny.

Polskie teatry — ponownie pozwalam sobie na taki sąd — powinny jak najszybciej zainteresować się tą mądrą, wzruszającą, głęboko ludzką sztuką Arbuzowa.

Równie interesujące przedstawienie, chociaż zupełnie innego rodzaju — dla Polaka szczególnie godne uwagi, wyrastające bowiem z całkowicie odmiennej tradycji teatralnej — widziałem w Azerbejdżańskim Teatrze Dramatycznym im. M. Azizbekowa. Była to sztuka **D. Mamedkulizadego pt. „Zgromadzenie szaleńców"** w reżyserii Mechti Mamiedowa, z pomysłową scenografią Elczina Mamiedowa i piękną, przejmującą muzyką Dżangira Dżangirowa. Rzecz dzieje się w Azerbejdżanie, w XIX wieku i obraca się wokół zabiegów, jakie podejmuje bogaty mułła, celem zdobycia pięknej żony swego brata, przez miejscową arystokrację uważanego — z powodu wyznawanego przezeń humanitarnego systemu filozoficznego — za niespełna rozumu. Wkrótce znajdzie się wielu naśladowców mułły, a z biegiem akcji okaże się, iż chodzi nie tyle o kobiety, ile o majątki, które można bezkarnie grabić uznanym za szaleńców. Sztuka — mówiąc o nietolerancji tudzież wskazując na pokrętne i ponure zaułki religijnego fanatyzmu — nabiera szczególnej wymowy, jeśli się pamięta o wypadkach, zachodzących w pobliskim Iranie.

Wróćmy teraz do początku relacji, a równocześnie końca podróży. Ostatni wieczór w Moskwie — **„A rankiem się zbudzili..." Wasilija Szukszyna.** Wydaje mi się, iż jest to dość ciekawy eksperyment teatralny. Przedwczesna śmierć tego znakomitego artysty przerwała jego pracę nad sztuką. Mimo to „Sowremiennik" zdecydował się ją wystawić, niczego do niej nie dopisując, niczego inscenizacją nie dopowiadając. Spektakl więc składa się z kilku opowieści, snutych na prośbę młodego socjologa przez ludzi, którzy rankiem ocknęli się w izbie wytrzeźwień. Opowiadania są całkiem zwyczajne, nie ma w nich nic szczególnego, żadnych tragedii, załamań, niecodziennych zdarzeń. Ale może właśnie dlatego robią tak ogromne wrażenie? Zwykły dzień, wieczór przy kieliszku, przebranie miarki... Nigdy już się nie dowiemy do jakich wniosków zmierzał Szukszyn. Teraz widz musi je wyciągnąć sam.

Sztuka ma w Moskwie ogromne powodzenie salę co wieczór wypełnia tłum. Szukszyn jest w Związku Radzieckim nazwiskiem wielkim. Ale do „Sowremiennika" chodzi się także dla innych nazwisk: K. A. Rajkin, O. P. Tabakow, A. N. Leontjew, G. A. Frołow, W. L. Fiedczenko — by wymienić tylko przykładowo. Przypuszczam, że wielu, bardzo wielu właśnie dla nich przychodzi do nowego gmachu przy Czystoprudnym Bulwarze 19a. Dla ich wielkiej sztuki aktorskiej, dla ich maestrii.

Zresztą „Sowremiennik" nie jest wyjątkiem. Identycznie rzecz ma się w innych teatrach i nie tylko w Moskwie. I nie jedynie wtedy, gdy na afiszach widnieją nazwiska Szukszyna, Lubimowa czy Sturua.

Tylko pozazdrościć.

JERZY M. FIEDOSIEJEW

Na zdjęciu: scena z „Surowych gier" A. Arbuzowa w Azerbejdżańskim Rosyjskim Teatrze Dramatycznym w Baku. Od lewej: B. D. Łukiński, J. N. Babijew, I. I. Koszelewicz.

Foto: S. Kuliszow

ZALEŻY OD NAS

sześciokrotny wzrost szeregów towarzystwa i dziś zrzeszamy ponad 8000 studentów. Nasze szeregi zasiliło tylko w ostatnim roku blisko 20 tysięcy młodych robotników. O blisko jedną trzecią, mierząc to liczbą członków organizacji, wzrosła nasza aktywność w środowisku szkolnym.

— Czego oczekuje od was młodzież?

— Młodzież jest wymagająca, nie lubi tego wszystkiego, co jej się wydaje zbyt sztywne, zbyt ceremonialne, uważała nawet, że pewne formy naszej działalności są przestarzałe i dlatego nie dość dla niej atrakcyjne. Młodych interesują przede wszystkim aktualne problemy rozwoju ZSRR, polsko-radzieckiej współpracy i wynikające z niej korzyści dla obu stron. To pochodna wykształcenia. Nie wystarczają już dziś tym młodym tylko działania w sferze emocjonalnej, odwoływanie się do przykładu rewolucji, braterstwa broni, czy pionierskiego okresu budowy socjalizmu. Żądają od nas działań pogłębiających ich wiedzę o Związku Radzieckim, kojarzenia jej z pozycją Polski Ludowej w rodzinie krajów socjalistycznych i ukazywania wzajemnych korzyści ze współpracy.

— A jeśli idzie o bezpośrednie kontakty, najlepiej służące wzajemnemu poznaniu? Łączą przecież w sobie pierwiastki emocjonalne i poznawcze. Jak można ocenić współpracę Łodzi z obwodem iwanowskim, choć problem wydaje się szerszy?

— Współpraca z Iwanowem rozwija się od dawna i można wskazać wiele pozytywnych aspektów tej współpracy, zwłaszcza w środowisku produkcyjnym, ze względu na podobieństwo obu ośrodków. Ale problem jest rzeczywiście szerszy. Aktywność łódzkich kół TPPR jest tak rozległa, zwłaszcza w środowiskach twórczych i w środowisku akademickim, że kontakty te nam już dziś nie wystarczają. Mamy do zaoferowania więcej i to chyba nie przypadek, że na przykład Teatr Wielki nawiązał ścisłą współpracę z operą w Tbilisi, a środowisko literackie z pisarzami białoruskimi. Uważamy zresztą za swój obowiązek ukazywać szeroko pojętą problematykę narodów Związku Radzieckiego, dorobek ich kultury, a tego nie można osiągnąć ograniczając kontakty tylko do współpracy z obwodem iwanowskim, choć pamiętamy, że są one tym cenniejsze, iż pierwsze.

— Czy ma pan na myśli tzw. pociągi przyjaźni? Ta forma chyba się sprawdziła?

— Sprawdziła się w pełni. W bieżącym roku uzyskaliśmy taką ilość miejsc, że mogliśmy zaspokoić wszystkie potrzeby. Docierają one nie tylko do Iwanowa. Dzięki nim sympatycy naszej organizacji mogą poznać najbardziej atrakcyjne rejony Związku Radzieckiego. I to jest słuszne. Tym bardziej że stroną organizacyjną tych wyjazdów zajmują się zawodowe biura podróży. W bieżącym roku z tej formy wycieczek skorzystało ponad 3000 osób. To nasi potencjalni prelegenci, którzy dzielą się swymi wrażeniami. Jednocześnie gościliśmy w Łodzi blisko 400 grup radzieckich, głównie w zakładach przemysłowych.

— A co pan uważa za główne zadanie na dziś?

— Widzi pan, to jest tak: na szczeblu centralnym TPPR zawarło porozumienia z różnymi organizacjami. Trzeba tę współpracę przenieść na szczebel podstawowy, do kół zakładowych, szkolnych, akademickich. Unikając zbędnego patosu, właśnie dlatego, że problem jest wielki, musimy pokazywać dzień dzisiejszy Związku Radzieckiego. Musimy więc położyć jeszcze silniejszy nacisk na współpracę z aktywem tych organizacji. Pozostawiamy im swobodę w wyborze form działania. My służymy materiałami, służymy po prostu wiedzą. Chcemy pokazywać rzeczy najwartościowsze i adresować je do określonych środowisk. Powiem tak: jeśli organizuje się na wysokim poziomie ogólnołódzką akademię poświęconą rocznicy Rewolucji Październikowej, to nie musimy jej powielać w dobie rozwoju masowego środka przekazu. W tym roku wydłużymy obchody rocznicy rewolucji, ale poszukaliśmy nowej formuły: niech szkoły i uczelnie zajmą się w Międzynarodowym Roku Dziecka na przykład problemem młodzieży radzieckiej. Znaleźliśmy zrozumienie, bo często przecież młodzi korespondują ze sobą i mają wiele wspólnych spraw.

— A czy rzeczywiście poznajemy w Łodzi to, co najwartościowsze z dorobku kultury Związku Radzieckiego?

— Myślę, że zrobiliśmy jeszcze za mało. Za mało jest wartościowych płyt, za mało dociera do nas książek. Taki teatr im. Majakowskiego z Moskwy gościliśmy dobre dziesięć lat temu. Chcemy atrakcyjnych wystaw i dobrze się stało, że dzięki współpracy z Centralnym Muzeum Rewolucji ZSRR w Moskwie, możemy w bieżącym roku pokazać „Rewolucję 1905—1907 w sztuce". Ale dlaczego nie pokusić się o zaprezentowanie w Łodzi cząstki zbiorów Ermitażu, Galerii Tretiakowskiej, czy Galerii im. Puszkina? Tych pytań można sobie stawiać więcej. Odpowiedź na nie zależy od nas samych.

— Dziękuję za interesującą rozmowę.

Rozmawiał:
KONRAD FREJDLICH

DAWID SAMUJŁOW

STARY DZIERŻAWIN

Nie wyświęcano na poetów
W tamtejsze lata. I Dzierżawin stary
Nie błogosławił,*) nie objawiał światu.
A właśnie myśmy odpierali
Ataki wroga na wioskę Łodwę.
Na ziemi wyziębionej, błotnej
Leżąc prażyłem z automatu.

Nie chcę tłumaczyć się bez racji:
Dzień cały przeszedł nam na akcji,
Na noc wpełzliśmy pod blindaże...
A stary Dzierżawin rozmyślał o śmierci.
Oka nie zmrużył przez noc — tak się sierdził:
„Komu, do czorta, lirę mą przekażę?"
Tak mu radzili: „A czemu nikomu?
Najlepiej przekaż lirę byle komu,
Miernocie jakiejś, bo miernota
Przeżyje i najsroższe boje..."
Lecz staruch mierzy ich spod oka,
Ręce pod poły skrył szlafroka,
Nie myśli oddać liry swojej.

Staruch marudził, pasjanse układał,
Coś półgębkiem sam do siebie gadał
(W sam raz zajęcie dla starucha).
W szlafmycy szwędał się uparty,
Drżał z zimna, burczał:
„Licha wartym
Nie oddam liry, do kaduka!"

Z Dzierżawina schlebiacz był jak rzadko,
Rang był łasy, ale umysł prawy.
Wiedział: liry nie daje się łatwo.
Oto jaki był Dzierżawin stary.

*) Według legendy poetyckiej Dzierżawin, najgłośniejszy poeta klasycyzmu rosyjskiego, wysłuchawszy wiersza młodocianego Puszkina, na popisie szkolnym w Liceum Carskosielskim, miał oznajmić wszem wobec, że chłopiec wyrośnie na najznakomitszego poetę Rosji.

JEWGIENIJ WINOKUROW

☆ ★ ☆

Serał nie wręczył mi bardonu *)
Ani namaścił na proroka.
Jam prostak, z innych więc regionów
Pieśń ma wypływa niegłęboka.

We krwi leżałem bezprzytomnie
Pod zwałem śniegu, w głębi rowu
I płacz, co z nagła dobiegł do mnie,
Dał prapoczatek memu słowu.

Wezwania Boga nie słyszałem,
Lecz czułem, jak powraca siła:
Oto krew zbiegła z lic zmartwiałych
I raptem serce ożywiła.

I skargi mojej jęk bezbronny
Z cichej transzei, w nocnych cieniach
I słaby był, i był ogromny
Ogromem mego osłabienia.

Wonczas — lecz czemuż mówię o tym? —
Gdy mną już owładała ciemność,
Anioł z ognistym wstał brzeszczotem
I wskazał dłonią cel przede mną.

*) Wiersz jest parafrazą i w pewnej mierze przekorną polemiką z głośnym wierszem Aleksandra Puszkina „Prorok", mistrzowsko przyswojonym polskiemu czytelnikowi przez przekład Tuwima.

WSIEWOŁOD ROŻDIESTWIENSKI

☆ ★ ☆

W Helladzie w złoty wiek wspaniałej
Na śmiertelników i tytanów
Spadały żądze rozszalałe
Niczym przyboje oceanów.

I świetny tryumf swój obchodząc
Kształt różny przybierały wszędy —
Więc śnieżny łabędź, pchnięty żądzą,
Przeniknął drżące łono Ledy.

Więc władny Jowisz wszedł w Danae
Złotego deszczu nawałnicą,
Więc byk na grzbiecie w obce kraje
Niósł Europę krasnolicą.

Więc Psyche blada, lecz w gorączce
Zapamiętale szuka w mroku
Tego, co biodra jej płonące
Oplótłszy, przybrał kształt obłoku...

Nieważne, jak ją zwać: natchnienie,
Pęd niesmiertelny czy chuć ziemska —
Moc, która gardzi określeniem,
Lecz wicher szczęścia szle — zwycięska!

JURIJ KUZNIECOW

TRZYDZIESTKA

Gdzieś ty, władczy, ironiczny młodziuch?
Z mgły majaczy biel twego oblicza.
Dziesięć lat czekania i zachodów
Przeminęło tak, jakby trzasł z bicza.
A mówiłeś:
„Trzydziestka za wiele,
Przeżyć tyle lat — niedoczekanie!
Rzucę się pod pociąg lub zastrzelę...
Niech o młodym pamięć pozostanie".
Och, pamiętam. Pamiętam, niestety.
Ta trzydziestka fatalna już w drodze.
Poszkapiły twoje pistolety
I pociągi spóźniły się srodze.
Groźny wyrok młodzieńczej tyranii
Pozostaje dotąd bez spełnienia.
Mój najlepszy tom nie napisany,
Dotąd trwa on w błękitnych marzeniach.
Nie miej, chłopcze, żalu do poety...
Nic się nie martw, chwila niedaleka...
Przechowuję twoje pistolety
I na twoje pociągi zaczekam.

GLEB GARBOWSKI

RUMIANKI

Przyszła. Rumianków pęk bez słowa
Wetknęła mile za obrazek,
Tak naturalna, tak domowa...
Były w niej spokój i noc razem.
Świat jakby zjeżył się... i kosmos
Odbiegł, by chwilę dać wytchnienia.
Rozprostowałem z ulgą kości.
Noc weszła w piersi i w głąb źrenic...
Jam cichy był jak maminsynek,
A tyś jak matka, zdjęta lękiem.
Z okna bił zapach amarylek,
Rzeczka zechciała uciąć drzemkę.
Rumianki oczy mrużą z żalem...
Myśmy — zwierzątek dwójka groźna —
Pilnie się w siebie wpatrywali,
Lecz już nie mogli się odpoznać.

Wiersze przełożył: TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

KRONID OBOJSZCZYKOW

BEZSENNE NIEBO

Wiecznie żyje to niebo
nie wiedząc,
że nie ma dla niego kresu.
Zakończy się susza,
lecz będzie niebo.
Wyschnie morze,
lecz będzie niebo.
Wsłuchuję się w mglistą nieśmiertelność:
przepełnione jest niebo
głosami przyjaciół.
Widzę: nasza eskadra wzlatuje w powietrze,
nacierają na czarne krzyże
pięcioramienne gwiazdy.
Woła do mnie towarzysz:
„Osłoń mnie z prawej!"
Wszystkim w niebie spalonym
nieustająca chwała!
Jeszcze pamięć nie pogodziła się z tą stratą.
Ja w Boga nie wierzę,
a w niebo wierzę.
Widzę: skrzydlate cienie fruwają,
zapalają konstelacje
i ogrzewają nas ich światłem.
Pracuje niebo,
bezsenne niebo
dla pokoju,
dla miłości,
dla wysokiego chleba.

☆ ★ ☆

Znów idziemy uliczką znajomą,
znów mijamy stary nasz park —
drogą do pamiętnego domu,
gdzie akacji bielił się kwiat.
Na ramionach czuję twe dłonie,
słyszę szept twój u starych wrót.
Tak nam lekko znów niewymownie
bez wymówek, żalów — jak wprzód.
Powracamy z dalekiego lotu
w nam przyjazny miasteczka cień.
Ale ściął ktoś drzewo u opłotków,
został tylko sczerniały pień.
Nie patrz smutno, czas w miejscu nie stoi,
nie doszukuj się oznak złych.
Jak trzydzieści obrączek-słoi
lat trzydzieści naszych w tym pniu tkwi.
W każdym ból, rozłąki, powroty
i zawieje, i ptaków śpiew.
Więc nie zdejmuj z mych ramion rąk swych,
choć zmęczone są ręce twe.
Chcesz, będziemy słuchać aż do dnia
zakutani w stary nasz park,
jak strzelają gałęzie w ogniu
tej akacji naszej sprzed lat.

Wiersze przełożył: TADEUSZ GICGIER

G. Muntian „W rodzinie" tempera 1977 r.

JERZY WILMAŃSKI

NOTATKI Z PODRÓŻY

MOŁDAWSKI OBRUS

Mołdawski obrus
wiatr rzucił na ściany przydrożnych chałupek
i tak już zostało

Mołdawski obrus
wiatr rzucił na smugę bronowanej ziemi

Wiatr już ucichł
lecz jeszcze liście się kołyszą
śpią barwne chaty otulone ciszą

TO MIASTO

To miasto gdzie Stefan Banach
nad szklanką rumu w kawiarni „Szkocka"
od niechcenia
wpisał się do historii

To miasto gdzie nad Mickiewiczem
śpiżowa się muza kołysze

To miasto z encyklopedii
folderów i wspomnień
To miasto dla mnie obce
nie przemówi do mnie

Niczego tu nie szukam — chłodny obserwator
To tylko rencista — towarzysz podróży
szuka chłopięcych wzruszeń
i znajduje gruzy

CAMPING „ROMAI" W BUDAPESZCIE

Pakistańczyk gotuje soję w pomidorach
potem tęsknie zawodzi
nad szklanką palinki

Swój język pozostawił u stóp Hindukuszu
tutaj go przywiódł paszport i język Albionu

A nad Dunajem północ
milknie Wieża Babel
namioty oddychają europejskim snem

Pakistańczyk gotuje soję w pomidorach
w dalekim Rawalpindi jest posiłku pora

BAŁKAN

Samochód się powoli odrywa od ziemi
Runway asfaltu wznosi go nad szczyty sosen
Widać w dole wioski w obłoczkach zieleni

Potem ziemię pochłonie mgła błękitno-biała
Samochód się wczołguje na Trojańską Przełęcz
W górze tylko słońce z boku bura skała

Lawę w kamień zastygłą i w zieleń zaklętą
Duch Gór tu pozostawił na straży Orientu

MUZYKA DO PATRZENIA?

Z serii artykułów opublikowanych ostatnio w „Ruchu muzycznym" przez Ewę Kofin wynika, że z muzyką w telewizji wciąż nie jest zbyt dobrze. Nie chodzi tu zresztą o ilość minut muzyki w programie czy jakość koncertów i widowisk, ile raczej o samą specyfikę przekazu. Jak pisze autorka, muzyka ulega na małym ekranie deformacji; piętno medium odciska się na dynamice, kolorystyce, ekspresji i strukturze utworów (nagminna praktyka posługiwania się wyrwanymi z kontekstu fragmentami), przy czym nawet tak — wydawałoby się — „bezkonfliktowy" program, jakim jest transmisja koncertu, odbiera muzyce jej autonomię. A to już ze względu na uzasadnioną psychologicznie dominację wizji nad fonią.

Ta sprawa jest bodaj czy nie najważniejsza. Jan Kulma napisał kiedyś, że obraz zabija muzykę i miał poniekąd rację. Bo też — pomyślmy — czy przypadkiem nie ogląda się telewizyjnego koncertu częściej jako reportażu o tym, w jaki sposób powstaje muzyka, jak funkcjonuje orkiestra, dyrygent? Natomiast Brahmsa lub Szostakowicza puszcza się właściwie mimo uszu?

Prezentowanie muzyki za pomocą mikrofonu współdziałającego z kamerą telewizyjną wiąże się zatem ze specyficznymi problemami i wymaga odrębnego podejścia do tworzywa. Dodam od razu — prezentowanie muzyki poważnej, gdyż piosenka, beat, jako gatunki percepcyjnie najłatwiejsze potrafią przebić się przez wizję i dotrzeć do ucha i świadomości telewidza. Co prawda, zaznaczyć trzeba, iż wytrawny meloman (postać nie tak znów typowa) potrafi i tak skoncentrować się na złożonej warstwie dźwiękowej. Koncentruje się on już niejako z nawyku, umie po prostu muzykę słyszeć, nie tylko jej słuchać (nie słysząc). Przysparza mu to za to prawdziwych cierpień w trakcie trwania wszelakich programów publicystycznych, których autorzy, używając muzyki w roli akustycznego tła do materiału filmowego, obchodzą się z nią całkiem bezceremonialnie, nie zważając na logikę przebiegu utworu (chaotyczne cięcia) i nie dopasowując jej niejednokrotnie do treści audycji.

Czy jednak obraz rzeczywiście musi muzykę zabijać? Powróćmy do telewizyjnych koncertów. Muszę przyznać, że mnie one najczęściej denerwują i drażnią. Przeszkadza mi technika pracy kamery. Te ciągłe zmiany planów, panoramy, najazdy, kamera staje się natrętną muchą, która siada co chwilę w innym miejscu. To na nosie pianisty, to na jego plecach, to na rękach, bucie, klapie fraka lub fortepianu, to na głowach słuchaczy lub żyrandolu. Gdy gra orkiestra, ważniejsza od muzyki staje się łysina kontrabasisty, brzuch skrzypka, zez harfistki. Co to wszystko ma mieć wspólnego z formalnym pięknem wykonywanego dzieła?

Mogą w tym miejscu paść argumenty dotyczące autonomii obrazu, jego prawa do dynamiki. Ależ panowie, chyba nie tędy droga! Przecież i tak wiadomo, że równowaga obrazu i dźwięku w audiowizualnym przekazie może nastąpić tylko po zlikwidowaniu naturalnej przewagi tego pierwszego elementu. Tyle, że niech nie będzie to, jak dotąd, wyłącznie rezygnacja z pokazywania „pod symfonię" tańca, plastyki, przyrody itp. W słuchaniu przeszkadzać może, co warto sobie uświadomić, również i zbyt dosłowna wędrówka kamery „śladem instrumentacji" (metoda obecnie „obowiązująca").

Piszę to, bo zetknąłem się niedawno z audycją wyjątkową w swej klarowności. 14 października miałem okazję obejrzeć w II programie telewizji utrwalony przez ekipę radziecką recital pianistyczny Światosława Richtera. Grał on beethovenowską Sonatę D-dur op. 10 nr 3. Transmisja znakomita! Oszczędna w wizualnych informacjach, spokojna, bez tego całego migotania, skakania, nerwowych tików oka kamery. A sama realizacja jak gdyby dziecinnie prosta. Przez kilkanaście czy nawet więcej minut — tylko trzy plany. Na początku ogólny, potem długo, długo tzw. amerykański i bodaj dwukrotnie dyskretna (uwarunkowana formą utworu) zmiana na plan bliski. I to wszystko. Ale co za muzyka!

JANUSZ JANYST

REMONT

Najpierw trzeba by może napisać, czym to nie jest i czego to nie dotyczy. Jak sama nazwa wskazuje, nie jest „Remont" sztuką skończoną i zamkniętą. Jest sztuką w remoncie, komedią poszukującą siebie i swojego stylu. Nie jest sztuką mającą ambicje odnowy świata itd., itp., niczego nie burzy i nie stawia od nowa. Jest drobnym remontem świata, w którym żyjemy (może raczej światka), dotyczy wad i ułomności ludzkich, ale niczego nie obnaża i nie chłoszcze. Patrzy na ludzi krytycznie, ale jest to raczej tonacja pobłażliwej i w gruncie rzeczy tolerancyjnej kpiny.

Piszę to wszystko po to, aby sobie samemu i widzowi zdać sprawę z tego, co jest co — po to, by do **„Remontu" Andrzeja i Janusza Kondratiuków,** przeprowadzonego na scenie „7.15" Teatru Jaracza, nie przymierzać kryteriów wielkiej inwestycji. Remonty, nawet drobne, także są potrzebne i funkcjonalne (jeśli są sprawne i dobrze przeprowadzone), a życie codzienne teatru nie polega na wznoszeniu samych tylko wieżowców sztuki. Zbyt często zaś ulegamy pokusie, niesprawiedliwej i bezsensownej, wytykania teatrowi tego, czym nie jest, nie dostrzegając zalet tego, czym jest. Tak jak byśmy jedząc żurek, mieli pretensje do kucharza, że nie ma ten żurek smaku kremu z raków.

Mieści się „Remont" doskonale w tym nurcie polskiej komedii, który zaczął się chyba w filmie od „Dwu ludzi z szafą" Polańskiego, przepłynął w „Rejsie" Piwowskiego, dał o sobie znać w twórczości obu Kondratiuków, a w teatrze zaowocował choćby sztuką Latki „Tato, tato, sprawa się rypła". Oparty jest ten nurt o wrażliwą i spostrzegawczą obserwację rzeczywistości, chętnie jednak i często umyka od dosłownego zapisu, używając wyraźnych przejaskrawień, z upodobaniem spiętrza się w absurd i groteskę.

Wspólnym dla tego nurtu, jeśli on rzeczywiście istnieje, a nie jest powołany dla potrzeb piszącej się właśnie recenzji, jest owo pobłażliwe spojrzenie na bliźniego; powiedziałbym, że jest to patrzenie na bliźniego poprzez siebie, to znaczy — ze świadomością swoich własnych przywar i ułomności. Taka postawa pozwala nadać cechy sympatyczne nawet najbardziej negatywnym postaciom.

W „Remoncie", w sztuce, której sztafaż znamy z autopsji — bo rzeczywiście chodzi o remont mieszkania, występują cztery dobrze znane postacie — dwu panów z drabiną, służącą do wszystkiego tylko nie do malowania oraz dwoje ludzi zainteresowanych w ukończeniu prac. Ona, to nowobogacka paniusia w wieku matki kobiety, o której się kiedyś mówiło, że jest w wieku balzakowskim, on — to kupowany przez tę panią za cenę mieszkania i stabilizacji artysta, raczej ze show-businessu. Treści nie będę opowiadał, bo i po co, komedia Kondratiuków do spisu lektur szkolnych nie wejdzie, więc recenzja nie musi być brykiem. Powiem tylko, że remont nie zostaje w trakcie trwania spektaklu ukończony, z czego wynika, że sztuka „Remont" nie jest oderwana od życia i pod tym względem nosi wszelkie cechy sprawdzalnego realizmu.

Należy ta komedia, jak sądzę, do typu utworów bardzo lubianych przez aktorów. Mogą tutaj poszaleć, wpisać się w realizację, stworzyć postaci, które będzie się pamiętać. Lubiana jest na pewno przez niezgrany kwartet ze sceny „7,15" (niezgrany tylko z powodu nieukończenia remontu), a swoje przekonanie o tym biorę z tego, że postaci tego kwartetu jeszcze po kilku dniach stoją mi w oczach, mimo że po premierze obejrzałem kilka filmów w telewizji, przeczytałem parę książek i kilkadziesiąt chyba gazet i czasopism. Jeśli mimo to pozostały mi w oczach, to coś znaczy. Pamiętam doskonale **Jana Hencza** jako Pana Stasia — w pończosze na głowie, z kamienną, tkwiącą w pozaremontowej rzeczywistości twarzą, z zapłonem umysłowym opóźnionym o parę dobrych stopni, **Pawła Nowisza** jako Pana Janka — cwaniaka nad cwaniaki, **Alicję Krawczykównę,** która jako Krystyna jest esencją pań z rodzaju tych, które nawet męża kupiłyby najchętniej w „Pewexie" oraz **Ireneusza Kaskiewicza,** jako Zdzisławka, pana na miejscowej chyba estradzie, godnego pijaczynę i kabotyna. Sporo roboty włożył chyba w to przedstawienie reżyser **Włodzimierz Nurkowski;** jego zaletą jest, że roboty tej jakby nie widać, a jej sedno tkwi chyba w dyskretnym prowadzeniu aktorów, w czuwaniu nad rytmem i tempem spektaklu. Spada to tempo wtedy, gdy autorzy zbyt daleko odchodzą w dygresję, do czego, jak sądzą, upoważnia ich alkoholiczna konwencja wypowiedzi w części tej komedii. Są to jednak drobne, niewiele znaczące niedoróbki (w tym sensie „Remont" jest sztuką w remoncie) — w każdym razie namawiałbym Kondratiuków do przeprowadzenia pewnych napraw gwarancyjnych. Najluźniejsza bowiem konstrukcja jest jednak konstrukcją, także bełkot, tak częsty w życiu — w sztuce powinien być bardziej kontrolowany.

W sumie przyjmuje się ten spektakl z aplauzem. Zasłużyli nań autorzy i realizatorzy, choć „Remont" nie wnosi nic nowego do naszej wiedzy o świecie. Może tylko pozwala spojrzeć na świat, czy też światek, czy też półświatek, z innego punktu widzenia. To niby niedużo, ale i niemało.

JERZY KATARASIŃSKI

Teatr im. Jaracza, scena „7.15", „Remont" Andrzeja i Janusza Kondratiuków. Reżyseria — W. Nurkowski, scenografia — Anna Sekuła. Premiera 27 października, premiera prasowa 31 października 1979 r.

MORALNOŚĆ NIEJEDNO MA IMIĘ

Po kilkumiesięcznej przerwie pojawiły się znów na półkach księgarskich egzemplarze PIW-owskiej serii polskiej prozy współczesnej. Wznowiono celniejsze pozycje z wcześniejszej edycji, zapowiadane są nowe. Jedną z pierwszych publikacji wspomnianej serii w roku bieżącym jest książka Romana Bratnego „Czwartki ubogich". Złożyły się na nią trzy opowiadania: „Większa szansa", „Abu Null" oraz utwór tytułowy. Rozgrywają się w różnym czasie, w odmiennej przestrzeni, lecz łączy je — najogólniej mówiąc — problematyka moralna.

„Większa szansa" jest zwyczajną short-story (z akcentem na short) i sprowadza się do zrelacjonowania epizodu z czasów Generalnej Guberni. W przypadkowej rozmowie podczas party, w którym uczestniczą Reżyser, Dziennikarz, Prawnik i Polityk, ten pierwszy przypomina jedyne w swoim rodzaju spotkanie z gubernatorem Hansem Frankiem, gdy jako więzień przygotowywał dla pana i władcy okupowanej Polski pokój gościnny. Spotkanie trwało kilkanaście zaledwie sekund i samo w sobie było typowe dla okoliczności, w jakich doń doszło. Typowa jest również (lecz w jakże odmiennym wymiarze!) jego symbolika — spotkanie oko w oko ofiary i kata, prześladowanego bezpośrednio i czołowego reprezentanta zbrodni. Symbolika wyzwalająca refleksję, zbliżoną do sformułowania, jakie znaleźć można w okupacyjnych zapiskach Tomasza Manna: „Obserwuję rozkosz w dawanu wolnej ręki złu, które dzierży władzę, w tym: no śmiało, śmiało! Proszę, wykaż się! Pewnego dnia będziesz osądzony, czy teraz się udławisz". A więc wiara w to, że świat wprawdzie bywa nieludzki, lecz nieludzki nie jest, a więc nadzieja, że naturalny porządek świata nie może pozwolić na trwałą niesprawiedliwość. Zwłaszcza gdy spogląda się na świat z pozycji dyskryminowanego.

Podobne przeświadczenie dominuje w opowiadaniu „Abu Null" (czyli Ojciec Niczego-Nikogo). Zastanawia się w nim pisarz nad zjawiskiem terroryzmu we współczesnym świecie. Ni są to rzecz prosta, teoretyczno-filozoficzne dywagacje, lecz próba odpowiedzi na konkretne pytanie, czy wolno palestyńskim fedainom (przy współpracy zachodnioniemieckich kontestatorów) porywać samoloty i grozić śmiercią kilkudziesięciu zakładnikom, aby uzyskać spełnienie określonych żądań politycznych. W klimacie i zawartości ideowej opowiadanie to przypomina wydany przed dwudziestu laty „Haracz szarego dnia" Janusza Krasińskiego, opowiadający o tym, jak akcja okupantów wywołuje kontrakcję ruchu oporu, co z kolei prowadzi do odwetu okupantów, prowokującego podziemie do kolejnego odwetu itd. Nieustający łańcuch. Eskalacja wzajemnych zamachów. Skojarzenie jest zresztą o tyle łatwiejsze, że i sam Bratny nie może powstrzymać się przed odniesieniami do czasów drugiej wojny światowej.

W skomplikowanym świecie współczesnym, gwałtownym, szarpanym konfliktami i napięciami, łatwo być obojętnym. Najłatwiej, najwygodniej. Taka jest teza opowiadania „Abu Null". Ale natychmiast pojawia się antyteza: nie wolno być obojętnym, trzeba być sprawiedliwym. Jaka zaś będzie synteza? Jako Polak — powiada Bratny — muszę zrozumieć walczących o wolność. Wszystkich. We wszystkich miejscach, gdzie toczy się walka. Ta problematyka determinuje pasję, z jaką napisane zostało najlepsze opowiadanie tomu, jedno z najciekawszych w całym dorobku Bratnego. Pisarz nie skrywa się za wygodnym parawanem narratora. To on, Bratny, mocuje się z problemami i ludźmi, o których pisze. Literatura ma mu tylko w rozwiązaniu istotnych spraw pomóc. Ale jak? Powątpiewa:

„Jakie to wszystko kruche — taka wiedza z domniemania, z paraleli... Pozostaje jeszcze literatura. Ich literatura. Sam wypisuję do znudzenia, że tworząc chcę pomóc ludziom zorientować się w otaczającym ich świecie... Więc i oni — taki Böll, Grass, Lenz, chcą tego samego. Więc może zorientowany przez nich w ich świecie, mam prawo zaludnić pokład tego samolotu ludźmi według ich miary? Ale taka «wiedza» z drugiej ręki — czy ona ma prawo, a przede wszystkim czy ma siłę uruchomić wyobraźnię? Więc może inaczej. «Zacytować». Zaludnić ten pokład ludźmi z ich książek, gotowymi postaciami przez nich narysowanymi. Niech fikcja karmi się fikcją. Ale czy mam prawo?".

Tak powątpiewać może intelektualista, literat, człowiek pióra, gotów w każdej sytuacji do konstatacji słownych, do hipotetycznych konstrukcji, przeprowadzania paraleli, wymyślania efektownych puent. W momentach szoku to zbyt mało i dużo jednocześnie. Po prostu niewspółmierne. Solidarność wyraża się bowiem inaczej — w sposób możliwie nieskomplikowany. I tak też Bratny postąpił, gdy przemienił swój utwór w tren dla komandosa-terrorysty Jassina.

Opowiadanie tytułowe rozgrywa się w realiach krajowych i — co tu kryć — trąci schematyzmem. Prawnuk doktora Judyma wydaje walkę klice, która opanowała miasteczko o symbolicznym imieniu Puszczańsk i czerpie ze swych stanowisk niebagatelne profity. Prócz paru trafnych i dowcipnych obserwacji obyczajowych rzecz cała nadawałaby się raczej do prasy jako reportaż interwencyjny. Chociaż może niezupełnie. Bo oto Samotny i Szlachetny bohater podejmuje desperacką walkę, a ściślej mówiąc ma zamiar dopiero ją podjąć. Tymczasem chce wyjechać (zapewne dla nabrania sił). Tak więc wspomniane opowiadanie odczytać można jako obyczajową satyrę na układy towarzyskie (i nie tylko) oraz na niezbyt konsekwentną donkiszoterię.

Roman Bratny należy do pisarzy żywo reagujących na sprawy współczesności, jakkolwiek chętnie sięga nawet do odległych ich korzeni. Postawę tę potwierdza najnowszy zbiór opowiadań z którego wynika, iż człowiek nie może być absolutnie pewien siebie i innych. W różnych sprawach. Także moralnych. Moralność przecież niejedno ma imię.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Roman Bratny — „Czwartki ubogich", Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1979, nakład 30.000+315 egz., str. 126, cena zł 15.—

SYLWETKI POLSKICH MARKSISTÓW

Żywe dyskusje, jakie toczyły się przed laty w polskim środowisku filozoficznym, zaowocowały nie tylko nowymi, szerszymi od dotychczasowych programami badań, ale także — i to liczy się najwięcej — konkretnymi osiągnięciami badawczymi, zawartymi w opublikowanych książkach, rozprawach i artykułach. Spośród tych, które mają największe znaczenie zarówno pod względem poznawczym, jak i społeczno-ideowym, na czołowe miejsce wysuwają się prace nad dziejami polskiej marksistowskiej refleksji filozoficznej. Mimo wcale poważnego dorobku w tej dziedzinie, wiele wciąż jeszcze pozostaje do zrobienia. Z pewnością rację ma Seweryn Dziamski, uczony, który zrobił wiele dla poznania tej problematyki, kiedy w swej ostatniej książce powiada: „Nasza historyczna samowiedza dotycząca narodowej tradycji marksistowskiej jest nadal bardzo skromna. Dopiero w ostatnim dziesięcioleciu nastąpił wyraźny rozwój badań nad dziedzictwem marksistowskim w Polsce. Ukazały one kulturotwórczą funkcję teorii marksistowskiej i programowo związanego z jej ideologią ruchu rewolucyjnego".

Chciałoby się do tej obserwacji dodać, że istniejący już dorobek badań nad polską marksistowską myślą filozoficzną nie zawsze został należycie upowszechniony, czego rezultatem jest, że jedynie w minimalnym zakresie funkcjonuje on w piśmiennictwie innych krajów. Przykładem choćby znaczące opracowanie syntetyczne, jakim jest wydana ostatnio (1979) w Moskwie dwutomowa synteza pt.: „Filozofia marksistowska w XIX wieku", w której polskiej refleksji marksistowskiej właściwie nie ma, choć znalazło się miejsce na omówienie nie tylko niemieckiej, rosyjskiej, czy włoskiej, ale nawet bułgarskiej. Podobny brak informacji o polskiej tradycji myśli marksistowskiej można dostrzec także i w innych obcych opracowaniach o charakterze syntetycznym.

Po części — i to niemałej — winniśmy temu sami. Przed wieloma laty, w dobie gorących porachunków, niektórzy wpływowi badacze poczęli przedstawiać polską tradycję marksistowską jako jedno pasmo różnorakich uchybień, jak gdyby żywiąc pretensję, że nasi autorzy nie byli... klasykami marksizmu. Zbyt wysokie ustawienie poprzeczki warunkowało, że niemal nikomu nie udawało się jej przeskoczyć, czego rezultatem był najopaczniejszy w istocie rzeczy pogląd ogólny, minimalizujący znaczenie tej tradycji w polskim dorobku intelektualnym.

W ostatnich kilkunastu latach dopracowano się nowego, ogólnego spojrzenia na te zagadnienia. Przyjęto szerszą perspektywę oglądu i oceny procesów i zjawisk, poczęto ukazywać skomplikowane drogi dochodzenia do marksizmu, związane z tym antynomie i rozterki, niekiedy niekonsekwencje, które były udziałem nie tylko przecież naszych działaczy i myślicieli sprzed kilkudziesięciu lat. To, że ktoś kiedyś czegoś nie zrozumiał do końca, że nieraz opacznie pojmował takie bądź inne elementy rewolucyjnej teorii, nie przesądza i przesądzać nie może o usunięciu go poza ramy szerokiego nurtu kulturowego, tak jak nie decyduje o tym w odniesieniu do licznych, zagranicznych działaczy i myślicieli, którzy mniej lub bardziej konsekwentnie przyjęli marksizm za podstawę dla własnych wyborów światopoglądowych i politycznych. Takie właśnie spojrzenie na tradycję polskiej marksistowskiej myśli filozoficznej proponował w swych książkach Seweryn Dziamski, zarówno w pracy pt.: „U źródeł marksistowskiej filozofii nauk społecznych w Polsce" (1972), jak w prowizorycznej siłą rzeczy, ale bardzo wartościowej syntezie, jaką jest „Zarys polskiej filozoficznej myśli marksistowskiej 1878 — 1939", wydany w 1973 r.

Do długiej już listy prac Seweryna Dziamskiego, poświęconych dziejom polskiej myśli marksistowskiej — uczony ma bowiem w swym dorobku także inne książki i artykuły — dochodzi dziś wydany przez Wydawnictwo Poznańskie (1979) niewielki tomik, zatytułowany: „Z dziejów myśli marksistowskiej w Polsce". Składają się nań zwięzłe szkice biograficzne, poprzedzone przez autora ogólnym rzutem oka na dzieje recepcji i rozwoju marksizmu w Polsce. Bohaterami tych szkiców są indywidualności z pewnością wybitne i bardzo od siebie różne: Ludwik Waryński, Stanisław Krusiński, Kazimierz Kelles — Krauz, Ludwik Krzywicki, Róża Luksemburg, Julian Marchlewski, Jan Hempel, Stefan Rudniański i Władysław Spasowski. Nie mamy wątpliwości, że każda z tych postaci winna znaleźć swój portret w tym tomiku. Inna sprawa, że listę sylwetek przedstawicieli polskiej myśli marksistowskiej można by z pewnością znacznie wydłużyć. Ale czy godzi się wytykać autorowi, który zrobił wiele, że nie uczynił jeszcze więcej? Pisanie książek ma swoje prawa — również i edytorskie — a tom trzeba kiedyś zamknąć, i to w określonym z góry rozmiarze arkuszy.

Nie będę streszczał rozważań autora dotyczących splątanych dziejów polskiej myśli marksistowskiej z ubiegłego i początków naszego stulecia. Ukazanie dorobku minionych czasów nie jest bez znaczenia dla zrozumienia przemian, które dokonywały się za naszego życia, w tej współczesności, która dla wielu młodych jest dziś również historią. Z całą pewnością rację ma Seweryn Dziamski kiedy powiada, że „upowszechnienie myśli marksistowskiej w różnych dziedzinach nauki i kultury oraz towarzyszące temu osiągnięcia teoretyczno-metodologiczne stanowiły jeden z istotnych warunków rozwoju marksizmu w Polsce w okresie powojennym". I chyba nie tylko jego: miało nader istotne znaczenie dla całokształtu przemian ideowo-politycznych, jakie dokonały się w naszym kraju.

ANDRZEJ F. GRABSKI

KSZTAŁT SŁOWA

Uczestniczyłem kiedyś w dyskusji na temat czym jest telewizja. Nie będę jej tu streszczał, bo jak wiele dyskusji i ta skończyła się opowiadaniem aktualnych dowcipów. Wspominam o niej dlatego, bo dyskutanci w polemicznym zacietrzewieniu wykazali niejaką wynalazczość — by tak rzec — komparatystyczną: porównywali mianowicie telewizję do staropolskiego raptularza, czyli księgi gospodarskiej, w której nasi przodkowie zapisywali bieżące wydarzenia rodzinne, sąsiedzkie plotki, różne uroczystości i przypadki życia publicznego. Inny dyskutant dowodził, iż telewizja dzisiaj spełnia te same funkcje poznawczo-informacyjne, które kiedyś wypełniały rozmaite kalendarze czy zbiory nazywane silva rerum. Ktoś szydliwie przypomniał Tuwimowską księgę „Cicer cum caule". Ktoś inny jeszcze, napotykając w kieszeni kartkę „co kupić", wetkniętą tam przez małżonkę, zelżony erudycją kolegów i perspektywą kolejki, porównywał telewizję do supersamu, w którym teoretycznie powinno być bardzo wiele, a jest to, co akurat dowieźli.

Rzeczywiście jest telewizja tym wszystkim po trochu. Rozmaitość treści, wartości i idei jest jej niepodważalną siłą kulturotwórczo-społeczną. Idzie o to, aby owa rozmaitość nie była li tylko teoretycznym założeniem, ale i zasadą codziennego działania. Aby telewizja nie zamieniała się w domowe kino, w którym przed seansem wyświetla się aktualności, reklamy, porady praktyczne dla rolników, gospodyń, majsterkowiczów, posiadaczy małego fiata, rodziców, przedszkolaków. Byłbym niesprawiedliwy, gdybym na tym charakterystykę TVP zakończył. Istnieje przecież jeszcze teatr (którym podobno cały paryski high-life się zachwyca — mówił o tym Bartosz Janiszewski), liczne programy rozrywkowe (mniejsza tymczasem o poziom), sportowe, dziecięce etc. Gdybym wymienił wszystkie, aż by nam się zaćmiło w oczach. Telewizja znajduje nawet czas na losowanie małego lotka, dużego lotka i ekspress lotka, usiłuje zemocjonować nas służewieckim hazardem, także „Błyskawicą" (każdy los wygrywa!). Czegóż w TVP nie ma?! Ano, właśnie. Nie ma w niej literatury. Gdyby na podstawie oglądanego programu sądzić o polskiej literaturze, okaże się, iż od czasu do czasu wydaje się u nas jakąś książkę, jakiś pisarz umiera, inny obchodzi jubileusz, a jeszcze inny uświetnia jakieś parakulturalne błahostki. Ale nie popadajmy w irytacje. Rozważmy rzecz na chłodno. Przecież przewidziano w programie telewizyjnym trochę czasu dla literatury (pomijam tu wszelkie adaptacje kinowe, telewizyjne i teatralne). Jest comiesięczny magazyn prowadzony przez Wacława Sadkowskiego „Kształt słowa". W drugim programie mówi się o książce w audycji „Ex libris", akcję „Propozycję" prowadzi „Siódemka". O literaturze mawia się z rzadka w Dzienniku. Tamże co tydzień, najczęściej Janusz Rodoziński, w „propozycjach Naczelnej Redakcji Publicystyki Kulturalnej" informuje o wydawniczych nowościach. Podobny charakter mają informacje w bloku „Tylko w niedzielę". No i jeszcze „Pegaz". Ale i tam o literaturze mówi się raczej sporadycznie i ustami paru, ciągle tych samych osób. Niekiedy i inne magazyny raczą łaskawie na coś w zakresie sztuki literackiej spojrzeć. Z tego, być może niepełnego, wyliczenia wynikałoby, że w owym telewizyjnym silva rerum jest miejsce i na rzeczy literackie. Pozór to tylko. Przypatrzmy się szczegółom. Wspomniany „Kształt słowa" Wacława Sadkowskiego z 7 listopada miał zajmować się socjologią literatury. Temat to ważny i coraz częściej we współczesnym literaturoznawstwie podejmowany. Audycja była monologiem profesora Ireneusza Opackiego, który mówi o osiągnięciach badawczych swojego zakładu, a w gruncie rzeczy o wydanej przed kilkoma miesiącami książce na temat Skamandra. Ten z widzów, który chciał posłuchać dyskusji o socjologii literatury odszedł sprzed ekranu (tuż przed północą, biedak!) z kwitkiem. Poznał profesora, jego milczącego asystenta oraz impetycznie nastrojonego Andrzeja Mencwela. Nie sposób szukać winnego takiego obrotu dyskusji. Intencją audycji była — bodaj — prezentacja osiągnięć — a literatura odległym tłem. Podobnie zresztą jak w „Siódemce" z 10 listopada: redaktorzy miast mówić — tak jak zaplanowali — o powieści kryminalnej, zabawiali się w złodziei i policjantów (niby, że to atrakcyjniejsza forma podawcza problemu!). Na czele listy bestsellerów „Siódemki" znajduje się od paru tygodni trzeciorzędna powieść G. Kleina „Bogowie wojny", rzecz przełożona na polski w sposób przerażający. Z okazji jubileuszu pojawiła się dwukrotnie w TV Maria Kuncewiczowa (w „Wieczorze z Dziennikiem" i w „Pegazie"). Wywiady były zdawkowe i jubileuszowo gładkie. Można mieć zastrzeżenia także do wspomnianych cotygodniowych propozycji Naczelnej Redakcji Publicystyki Kulturalnej. Polecano w nich swego czasu Książkę Heleny Radlińskiej „Oświata i kultura wsi polskiej. Sądzę, iż można było tę pożyteczną książkę uhonorować w inny sposób w innym miejscu. Zadaniem „Propozycji" jest polecać literaturę dla możliwie szerokiego kręgu odbiorców. O „Ex librisie" nie będę pisał, musiałbym wdać się w rozważania na temat polskiej sytuacji wydawniczej w ogóle. A na to nie starczyłoby skóry nawet największego wołu.

Jednym słowem, w imieniu tych wszystkich, dla których literatura była i jest domeną najautentyczniejszych przeżyć intelektualnych i estetycznych, dopominam się o właściwe dla niej miejsce w telewizyjnym programie. Brzmi to może nazbyt patetycznie, ale czyż trzeba wstydzić się patosu w obronie słusznej sprawy?

GRZEGORZ GAZDA

DRAMAT OBŁĄKANEGO KRÓLA

Zapowiedź premiery „Eryka XIV" Augusta Strindberga w Teatrze TVP była obiecująca, a nazwiska Jerzego Gruzy jako reżysera oraz Marka Walczewskiego i Jana Nowickiego wśród wykonawców zapowiadały prawdziwą ucztę. Z miejsca możemy stwierdzić, że nie zawiedliśmy się.

Dramat Strindberga o nieszczęśliwym i kontrowersyjnym XVI-wiecznym władcy Szwecji nie należy w naszym kraju do dobrze znanych. Napisany przez autora w 1899 roku, dopiero w 1960 doczekał się wydania polskiego w przekładzie znakomitego tłumacza literatury skandynawskiej Zygmunta Łanowskiego. Dość dziwne było tak późne nasze zainteresowanie się sztuką, której bohaterem jest król związany z historią naszego kraju.

To Eryk XIV prowadził wojnę z Polską o Inflanty, włączając część Estonii do Szwecji. W sztuce Strindberga wiele zresztą mówi się o Polsce, między innymi o małżeństwie brata królewskiego Jana, księcia Finlandii, z Katarzyną Jagiellonką. Z małżeństwa tego zrodził się, jak wiadomo, późniejszy król polski Zygmunt III, zapoczątkowujący dynastię Wazów w Polsce. Występujący także w sztuce Strindberga książę Karol Sudermański, najmłodszy brat Eryka, to przyszły król Szwecji Karol IX, z którym Zygmunt III walczył o koronę szwedzką, wplątując Polskę w długotrwałą wojnę, nie zakończoną sukcesem mimo efektownego zwycięstwa pod Kircholmem.

Słowem nie brakuje poloników w „Eryku XIV". Nie to jednak chyba zafrapowało Jerzego Gruzę i skłoniło do wprowadzenia sztuki na ekrany telewizyjne. W żadnym dramacie nie był Strindberg tak bliski wspaniałych wzorów szekspirowskich, jak właśnie w „Eryku XIV". Znajdziemy tu echa i „Makbeta", i „Ryszarda III", i innych kronik królewskich mistrza ze Stratfordu. Echa to nie zapożyczenia. Strindberg czerpie niewątpliwie u Szekspira wzory wynaturzeń władzy, okrutnych kolei losu ludzkiego na bezdrożach, na które wyprowadziły go własne zbrodnie. Jednocześnie jednak, pisząc swój dramat w blisko trzysta lat po Szekspirze, był Strindberg bogatszy o wiele doświadczeń ludzkości. To pozwoliło mu stworzyć wstrząsające studium obłędu, który sam w sobie jest nosicielem osobistego dramatu Eryka.

Strindberg rozpoczyna sztukę w momencie, gdy nieszczęśliwy król jest już właściwie obłąkany. Stan ten nasila się jedynie w miarę narastania krwawych wydarzeń. Historia mówi jednak, że początek panowania Eryka XIV był bardzo pomyślny, a jego związki z ludem, wymierzone przeciw żądnej władzy magnaterii szwedzkiej, były wyrazem racji stanu, a nie patologicznych wybryków.

Tego u Strindberga nie znajdujemy. Wszystko tu chore, pokrętne, okrutne. Nie ma w sztuce pozytywnych bohaterów (może poza Karin Mänsdotter, konkubiną, a potem żoną Eryka), usuwający obłąkanego króla od władzy książę Jan, w konflikcie z najmłodszym bratem Karolem ujawnia, że nie ma happy-endu. Zmiana władcy nie uzdrowi stosunków w państwie, lecz zapoczątkuje nowe pasmo zbrodni, z tym tylko, że dokonywanych na zimno, nie pod wpływem obłędu.

W realizacji telewizyjnej sztuki Strindberga poszedł Gruza w kierunku wydobycia złożonego klimatu szaleństwa i zbrodni. Już pierwsze ujęcia, ograniczanie kadru przez zasłony i tiule, służą deformacji obrazu świata oglądanego oczyma obłąkanego. Scenografia Krzysztofa Pankiewicza wspomaga w tym reżysera swą oschłością, surowością, świadomie dozowaną brzydotą nawet w przypadku operowania piękną fakturą stroju królewskiego.

Decydującym czynnikiem w przedstawieniu Gruzy jest jednak aktorstwo. Skupmy się na wykonawcach dwóch ról głównych: na Walczewskim, odtwórcy postaci tytułowej, i Nowickim jako totumfackim i złym duchu króla, Göranie Perssonie. To dwa znaczące osiągnięcia w karierze tych wspaniałych artystów, których już dziś zaliczyć możemy z przekonaniem i dumą do najwybitniejszych przedstawicieli współczesnego aktorstwa polskiego.

Walczewski nieomylnie odtwarza psychiczne dewiacje nieszczęśliwego króla. Pełną zmiennych napięć i zaskakujących zwrotów interpretacją tworzy specyficzną, chorobliwą logikę i konsekwencję tej postaci. Nie zło, ale cierpienie, wątpliwości, załamania i uleganie podsycanej przez Görana podejrzliwości jest motorem działania Eryka w ujęciu Walczewskiego. Warsztat tego aktora obfituje w środki dla weryfikacji złożonych procesów zachodzących w świadomości i podświadomości króla.

Zdawałoby się, że jednej kreacji Walczewskiego starczyłoby dla zagwarantowania sukcesu przedstawienia. Ale oto wyrasta obok niego Nowicki, z co najmniej równorzędną siłą wyrazu budujący postać Görana. W tekście Göran obdarzony jest wyłącznie ciemnymi rysami charakteru. Nowicki potrafi wyposażyć tę ponurą postać w różnorodne motywacje: ambicję, zamiłowanie do gry politycznej, a nawet hazardu, nienawiść człowieka wydźwigniętego z gminu do wielkopańskiej pychy magnaterii. Te różnorodne faktory, zgalwanizowane inteligencją i nerwowością, tworzą drugą wybitną postać w tym znakomitym widowisku.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

ŻYCIORYS

Jedną z najtrudniejszych rzeczy w kinie jest widzenie historii z perspektywy indywidualnych ludzkich losów. I to w taki sposób, aby pomiędzy wydarzeniami dziejowymi a czyimś pojedynczym życiorysem istniało trwałe, autentyczne sprzężenie.

Aby historia nie była jedynie tłem, lub los bohatera tylko pretekstem do lekcji historii. Ale jeszcze trudniejsze jest powiązanie dziejów filmowej postaci z wydarzeniami historycznymi wówczas, gdy związek ten zbliżony jest do zupełnie powszechnych doświadczeń. Za życia każdego z nas można wymienić lata i miesiące, które odnotuje historia — ale to dopiero później. Najpierw są dni — jednakowe, bardzo podobne, nieznacznie różniące się od siebie. A przecież sensu życia raczej tylko okazjonalnie, odświętnie, poszukujemy wśród celów dotyczących całej zbiorowości.

I nie chodzi mi w tym wypadku o ocenę zjawiska. Raczej tylko o odnotowanie faktu. Po prostu świadomość celów ogólnych nieczęsto może zastąpić konieczność zupełnie indywidualnych motywacji, które pozwalają zaczynać nam wszystko na nowo, tak samo — a w całościowym rezultacie inaczej.

W „Wyznaniu miłości" — najnowszym filmie Ilji Awerbacha (autora pamiętnego „Monologu"), przez wielkie czasy w historii Związku Radzieckiego (od lat dwudziestych do roku 1945) — czasy wydarzeń, których podmiotem była zbiorowość, spojrzenie kamery śledzi losy człowieka zwyczajnego, nie wyróżniającego się niczym szczególnym. Wszystko w jego życiu było zwykłe, ale filmowa opowieść nadaje mu walor niepowtarzalności.

Bohater, który już zewnętrznie nosi wszystkie stereotypowe cechy inteligenta — marzyciela, życiowego nieudacznika (przyjaciele nazywają go żartobliwie Filipkiem) — wyłamuje się w filmie z konwencji, w jakiej umieszczałyby go cechy wizualne. Postać trochę ofermy, trochę wiecznego dziecka — z drugiej strony człowieka wrażliwego, starającego się postępować w życiu zgodnie z sumieniem, wedle wyznawanych zasad (bardzo dobra rola Jurija Bogatyriewa), jest — biorąc pod uwagę tradycję charakterologiczną w radzieckim filmie — zjawiskiem nowym. Konstrukcja filmu odzwierciedla sprzeczności zawarte w losach bohatera. Poszczególne fragmenty jego życiorysu oscylują pomiędzy dwoma biegunami: problemów ogólnych i problemów osobistych. Uparcie powracają sceny z odbytej przez bohatera w dzieciństwie podróży morskiej (ten życiowy punkt wyjścia i dojścia), na przemian z prasowymi, stereotypowymi fotografiami przedstawiającymi (a raczej punktującymi jedynie) wydarzenia w skali makro (kolektywizacja, pierwsze plany gospodarcze, wojna itd.).

Zasługą Awerbacha jest przede wszystkim ukazanie postaci całkowicie niejednoznacznej. Niejednoznaczność ta pozwala właśnie na obdarzenie bohatera cechami głęboko ludzkimi. Inteligent, dziennikarz — a jego życie jakby poza wydarzeniami istotnymi. Reportażysta — a więc przede wszystkim obserwator. Obserwator — człowiek z zewnątrz, nie angażujący się bezpośrednio, a jednak tworzący historię. Przy pierwszych reportażach jeszcze próbuje walczyć, w filmie oglądamy sceny, które utkwiły mu najsilniej w pamięci z pierwszych wyjazdów dziennikarskich: aresztowanie przestępców, akcja w melinie (Moskwa, około 1925), sytuacja podczas wesela, spory na temat kolektywizacji (na wsi, około 1930). Ale właśnie ich opisy nie znalazły się — wbrew zamierzeniom autora — w druku. W ten sposób całe skomplikowanie rzeczywistości, dostrzegane przez nas w ślad za bohaterem, stawało się w końcu tylko publicystyczną, retoryczną konstrukcją: walką nowego ze starym — spełniającą przecież swoją historyczną funkcję. A potem są ważne już inne sprawy: małżeństwo, życie rodzinne. Wiemy tylko, że Filipek w dalszym ciągu zajmuje się dziennikarstwem. Wybucha wojna: samochód wiozący dwu korespondentów wojennych — bohatera i jego znajomego, który przed laty pomógł mu w podjęciu pracy dziennikarskiej. Nadlatuje samolot, wbrew przekonaniu pasażerów nie jest to myśliwiec radziecki. Zwyczajnie, bez grozy i dramatycznych momentów: ostrzeliwanie; śmierć kierowcy, nieudolna pomoc Filipka rannemu dziennikarzowi, wreszcie jego cicha, odarta z wszelkiego patosu, bezsensowna śmierć obok rozbitego samochodu. Jest to znacząca sekwencja: w pięknym, a zarazem obojętnym, wrogim krajobrazie — dwóch inteligentów, jeden umierający, drugi bezradny i zagubiony, cały czas „na pan", cały czas w dystansie, i jeszcze w rozmowie o artykułach. Kolega bohatera — w ostatniej minucie życia — przekonuje Filipka, że żona nigdy go nie kochała. A więc wszystko nie miało sensu? Dotychczasowe życie było pomyłką? Powraca retrospektywny leitmotiv podróży parowcem w roku 1914 — przez całe życie trwale obecny w świadomości bohatera — w postaci rozświetlonych, słonecznych obrazów. Zawiera w sobie obsesyjny wątek rzutujący na minione i przyszłe lata; niezrealizowanej miłości, poszukiwania obiektu pierwszego uczucia z tych paru dni lata 1914 roku, czasu idealnego dzieciństwa.

Cały życiorys bohatera wygląda podobnie: tuż po poznaniu przyszłej żony (wczesne lata 20) dostaje się do więzienia jako anarchista-teoretyk, ale wiadomo, że jest jedynie teoretykiem. Wojna — to zaledwie parę wspomnień związanych z żoną. Pierwsze lata pracy dziennikarskiej — pierwsze kompromisy, narodziny syna, później odejście żony, samotność. Nic wielkiego, nic ważnego. Śmieszny Filipek — życie nie wystawiało go na sytuacje ostateczne, nie musiał podejmować jednoznacznych decyzji. Prześliznął się przez swoje czasy, a zarazem był współautorem wydarzeń. Zapatrzony w siebie — i może dlatego tragiczny. Zapatrzony w siebie — i dlatego ludzki. Wszystko, co historia uzna za ważne rozegrało się gdzieś, daleko poza nim — a przecież przy jego udziale. Swoje życie opisał — jako człowiek już stary — w książce, a raczej, jak sam mówi do żony, w cienkiej książeczce. Najbardziej autentyczna jest w niej dopisana własnoręcznie dedykacja dla żony: wyznanie miłości. Na końcu filmu powraca postawione przez bohatera pytanie najważniejsze: czy to jego żona płynęła tym samym, co on, statkiem w roku 1914? Historia może odpowiedzieć tylko, że to właśnie w jego życiorysie zamknęły się różne daty: 1917, 41, 45.

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

DRZEWO ŻYCZEŃ

SANDRA Paretti, współczesna pisarka niemiecka, urodziła się w Regensburgu (Ratyzbona). Studiowała muzykologię i germanistykę, uzyskując w 1960 roku stopień doktora filozofii. Odtąd pracowała jako dziennikarka głównie dla czasopism poświęconych muzyce. W roku 1969 przeniosła się do Zurychu i obecnie uważana jest przez krytykę literacką za pisarkę szwajcarską. Sandra Paretti znana jest przede wszystkim jako autorka powieści historycznych. Jej pierwsza książka została wydana w 1967 roku.

Akcja powieści „Drzewo życzeń" — 1975 rozpoczyna się na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku i sięga do 1921 roku. Tym razem autorka zaczerpnęła temat z historii kraju ojczystego, kreśląc niejako sagę swego rodu.

Powieść ukazuje rozkład rodziny szlachecko-mieszczańskiej w czasach wilhelmińskich. Autorka krytykuje utracjuszowski styl życia i dwulicowość moralną tych kręgów społecznych i wyraża aprobatę dla tradycyjnych wartości mieszczańskich, a więc dla pracowitości, oszczędności i poczucia odpowiedzialności za los własny i los swoich najbliższych. Sandra Paretti opisuje ciekawe życie wyższych sfer ówczesnego Berlina i prowincji niemieckiej w Neustrelitz i Warnemunde.

Sandra Paretti „Drzewo życzeń", przekł. Krzysztof Radziwiłł i Janina Zeltzer, PIW, W-wa 1979, stron 421, cena zł 50,—

ŚWIETLISTA OBRĘCZ

Michał Jagiełło, młody prozaik związany bardzo z górami. Debiutował w 1966 r. na łamach „Taternika" fachowymi artykułami i recenzjami z książek o tematyce górskiej. W roku 1978 ukazał się nakładem „Czytelnika" jego debiut powieściowy „Hotel klasy Lux".

„Świetlista obręcz" to tom opowiadań, które powstały w latach 1974—1976. Autor ułożył je w cykl tworzący jakby życiorys młodego Polska. Jeden jest bohater tych opowiadań: chłopiec, później młody mężczyzna. Obserwujemy jego dorastanie nie tylko fizyczne i psychiczne, ale także społeczne. Jedno jest też właściwie miejsce akcji. Pomimo że wydarzenia, które są opisywane dzieją się w dalekim mieście, to punktem wyjścia wszelkich działań jest rodzinna wieś bohatera. Wraca do niej we wszystkich trudnych chwilach swojego życia. Traktuje ją jako sojusznika, miejsce uspokojenia i ukojenia. Tradycje, zwyczaje wiejskie tkwią w nim tak głęboko, że chwilami wydaje się, że innych nie ma.

Opowiadania ułożone są w ciąg chronologiczny i każde z nich jest dalszym ciągiem poprzedniego, tak że zacierają się granice między nimi i czyta się je jako całość z podziałem jedynie na rozdziały. Przepiękny jest język, prosty, zwięzły i niezwykle melodyjny. Miejscami, szczególnie we fragmentach dotyczących studni, pomimo swojej współczesności brzmi jak archaiczna przypowieść.

W całości książka interesująca, typowa dla młodego twórcy, który poszukuje swojego rodowodu.

Michał Jagiełło „Świetlista obręcz", Czytelnik, W-wa 1979, stron 153, cena zł 20.

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

BRZYDKO PACHNIE

Kiedy człowiek przekracza czterdziestkę, zaczyna wystrzegać się narzekania na młodzież, aby nie być posądzonym o zrzędzenie. Po pięćdziesiątce jest nam już obojętna opinia zrzędy, ale w tym „niebezpiecznym", wieku, jakim jest czterdziestka (dodajmy „z hakiem") szczególnie ostrożnie wyważamy opinie na temat „dzisiejszej młodzieży".

A jednak wstrząsnęła mną publikacja pewnej debiutującej reporterki z pisma „Student", która oświadczyła, że chętnie stanęłaby na czele ruchu eksterminującego starców. Być może miał to być żart — ale, jeśli nawet — to diabelnie ryzykowny i głupi.

Słowo drukowane ludzie traktują raczej serio, nic więc dziwnego, że posypały się w tej sprawie zdziwione listy do „Polityki". Dlaczego do „Polityki"? Ano, cóż — jeśli „Student" publikuje podobne bzdury, to chyba jednak nie warto interpelować redakcji. Jako prasowa instancja odwoławcza pozostaje jedyne poważne czasopismo, jakim jest „Polityka", która zresztą listy przekazała „Studentowi". Co z tego wyniknie — zobaczymy.

Uznaję prawo do przesady i przejaskrawień, ale młodej reporterce zabrakło po prostu zwykłego taktu, kultury i odpowiedzialności za słowo. Można zresztą z jej tekstu wyczytać więcej niż by zapewne autorka chciała, tzn. w swojej młodzieńczej szczerości powiedziała więcej na swój temat niż sama sobie uświadamia, ale tu już wkraczamy w sferę domniemań, więc zapuśćmy zasłonę na wynurzenia pani M.

Początkowo nie zamierzałem zajmować się innym osobliwym tekstem — Krzysztofa Materny, opublikowanym na łamach młodzieżowego pisma pt. „Radar". Pan ten wystąpił po boksersku, z finezyjnym atakiem na sporą gromadkę swoich kolegów z estrady. Oczywiście, że może się nie podobać p. Maternie piosenkarz Hulewicz. Oczywiście, że może p. Materna nie lubić zespołu „Happy End". Sam także nie przepadam za sztuką wokalną Ewy Śnieżanki...

To wszystko są sprawy gustu, upodobań, poziomu aspiracji artystycznych... Wielu spośród nokautowanych przez p. Maternę wokalistów nie cieszy się zbyt dobrą prasą poważnej krytyki. To też prawda.

Ale jest również prawdą, że wszyscy oni posiadają swoje kręgi miłośników, że na ich koncerty przychodzą tłumy i długo jeszcze będą przychodzić. Nie moją jest rzeczą osądzać, czy to dobrze, czy źle. Każdy jednak, kto miał choć trochę do czynienia z jakimkolwiek zjawiskiem artystycznym wie, że eksterminacja nie jest tu żadnym rozwiązaniem. Pan Materna postuluje zakazy występów, używa wyzwisk i finezyjnych aluzji.

A przecież wie dobrze, bo z tymi, których sobie ustawił do bicia, niejednokrotnie wspólnie występował, że mają oni swoją widownię, są oczekiwani i potrzebni na estradowym rynku.

Wysoko cenię (może nawet najwyżej) Ewę Demarczyk, ale ponura wydaje mi się wizja polskiej piosenki, w której królowałaby wyłącznie Ewa Demarczyk. Istotą każdej sztuki — także sztuki estradowej — jest jej wielość i różnorodność. To przecież bardzo dobrze, że obok Wodeckiego śpiewa Hulewicz, a obok Łobaszewskiej — Śnieżanka. Nie mamy w Polsce widowni, bo nie ma jej nigdzie, nastrojonej wyłącznie na bardzo wysoką nutę. Ma swój wyrafinowany krąg słuchaczy Wanda Warska, ma swój — może bardziej plebejski — krąg odbiorców Regina Pisarek...

Czy zatem trzeba koniecznie ustawiać ring na estradzie?

W tekście Krzysztofa Materny, podobnie jak w tekście debiutantki ze „Studenta", brzmi coś fałszywego. P. Materna głosi potrzebę likwidacji kilkunastu nazwisk polskiej estrady w imię poziomu tzw. dobrego smaku. Pani M. ze „Studenta" głosi potrzebę likwidacji „staruchów" (obrzydliwe są te kpiny ze spacerujących plażą emerytów) w imię przestrzeni życiowej dla młodych.

Od obu tych tekstów bije w nozdrza nieprzyjemny zapaszek.

WIDOK

PROPOZYCJE

ŚWIAT NIE JEST DZIWNY

Wśród wielości poglądów na świat ostatnio daje się wyróżnić ze szczególną ostrością dwa poglądy, z których pierwszy głosi, iż są na świecie rzeczy, o których nawet nie śniło się filozofom, a drugi znów zaprzeczając temu udawadnia, iż na świecie nie ma niczego dziwnego, że wszystko już zbadano, opisano, st ierdzono i nauka tuż, tuż znajduje się przed odkryciem całej prawdy. Z góry już wiadomo, że jeśli pojawi się coś, co może budzić jakiekolwiek wątpliwości, że jest inaczej, to zostanie natychmiast i bezapelacyjnie zakwalifikowane do zjawisk już znanych, stwierdzonych, opisanych, nawet gdyby się w tych zjawiskach zupełnie nie mieściło. Jest to bowiem pogląd bardzo wygodny, zapewniający całkowity spokój i dostatnie życie. Oczywiście — twierdzą wyznawcy takiego poglądu na świat — są jeszcze różni fantaści, mitomani, burzyciele i marzyciele, którzy marzą o niezwykłości świata, ale tacy zdarzali się zawsze i są to pozostałości minionej epoki, kiedy jeszcze nie wszystko było jasne, opisane i wyjaśnione oraz z góry wiadome.

A nad Łodzią znów coś latało!

Swego czasu dziwiłem się, że nad Łodzią nic jakoś nie lata. I proszę, lata. I na dodatek nie ulega wątpliwości, że są to niezidentyfikowane obiekty latające, czyli UFO. Po pierwsze — dlatego, że lata, spełnia tym samym warunek, że musi to być obiekt latający. Po drugie — dlatego — i to jest ważniejsze — że jest to niezidentyfikowane, czyli nie wyjaśnione. Do tej pory nikt nie dał przekonywającego wyjaśnienia, co latało nad Retkinią — też Łódź — w nocy z 6 na 7 listopada 1979 roku, a dokładnie około godziny 23.50 czyli na krótko przed północą. Jak donosi „Express Ilustrowany" to coś widziały dwie osoby. Może widziało to coś więcej ludzi, ale dwie się tylko przyznały redakcji. Zwolennicy świata poznanego powiedzą zaraz, że to była zbiorowa hálucynacja, choć do tej pory zbiorowość tę tworzą dwie osoby. Ale dwa jest większe od jednego i jest już zbiorowością.

Zwolennicy świata poznanego orzekli już, że to, co leciało nad Polską wieczorem 20 sierpnia 1979 roku było bolidem, choć nikt z ludzi orzekających tego nie widział. Specjaliści są pewni, że to coś spadło nawet gdzieś w Polsce i proszą, gdyby ktoś znalazł jakąś pozostałość tego bolidu to ma przesłać do Poznania. W związku z tym Wacław Dominik przypomina na łamach „Głosu Pracy" iż 20 września 1971 roku około godziny 21 spadł w rejonie Wołowa bolid, którym nikt się nigdy nie zainteresował. Nikt z ludzi powołanych do interesowania się meteorytami.

Zainteresowali się nim natomiast dwaj mieszkańcy Wołowa: emerytowany pułkownik Kazimierz Wojtasiak oraz mieszkaniec wsi Bukowiec — Ludwik Talarek. Pierwszy z nich opisał upadek meteorytu. Drugi natomiast odnalazł jego szczątki i... odstawił je w ilości pięciu ton do składnicy złomu, gdzie zostały sklasyfikowane jako „złom żeliwny". Obaj próbowali zainteresować kogo trzeba swoimi odkryciami, ale nikt nie traktował ich poważnie. Nawet dziennikarze tym się nie zainteresowali. Widać trafili na ludzi, którzy uważają świat już za całkowicie opisany, a tych, którzy próbują im sygnalizować, że jest inaczej, za nieszkodliwych maniaków.

Warto uświadomić sobie, że termin UFO — niezidentyfikowane obiekty latające — oznacza dokładnie, że widziano jakiś obiekt, który nie można przyrównać do niczego znanego do tej pory. Aliści, skoro takich obiektów pojawiało się sporo, więc można już je przyrównywać do siebie. I stąd UFO oznacza już pewien typ latających obiektów, w których — jak przypuszczają jedni — latają nad naszą planetą przedstawiciele innej cywilizacji, albo — jak zakładają inni — są to zjawiska, które można wytłumaczyć bez uciekania się do kosmosu, ale których my jeszcze nie potrafimy ani poznać, ani wyjaśnić Wyjaśnić bowiem w tym wypadku, to dać taką ilość hipotetycznych przyczyn, które nie pozostawiłyby żadnych pytań bez odpowiedzi, a odpowiedzi te nie budziłyby żadnych wątpliwości. A to nie jest takie proste. Są bowiem na świecie...

Niestrudzony „Express Ilustrowany" — co prawda za „Kurierem Polskim", ale zawsze — doniósł, że amerykański badacz z Akademii Nauk Stosowanych w Concord — Bob Borofsky (czyżby rodak?) wyjaśnił zagadkę jeziora Loch Ness w Szkocji, stwierdzając z całą wyrazistością i bez wątpliwości, że żyje tam rodzina „potworów", czyli „zwierząt przedpotopowych". Skądinąd wiadomo, że w innych jeziorach też zdarzają się takie „potwory". Swego czasu odkryto rybę i to na afrykańskim straganie, która z całą pewnością powinna była wyginąć parę milionów lat temu.

Być może świat niedługo znów nas czymś zaskoczy, ale wielu ludzi to nie zdziwi. Dla nich świat nie jest dziwny. Wszystko dla nich jest już z góry wiadome, założone, przewidziane, opisane, zbadane. A jeśli nawet takie widzenie nie przystaje do rzeczywistości, tym gorzej dla rzeczywistości.

MARCIN RODAK

LEWYM OKIEM

JUŻ JESIEŃ...

„Już jesień, już się złocą na wystawach piklingi" — pisał kiedyś w felietonie Tadeusz Breza. Teraz trudniej zauważyć jakąkolwiek porę roku, bo na wystawach stoją wciąż te same piramidy puszek. Tylko zima rzuca się od razu w oczy: wylegają na ulice setki tysięcy kożuchów.

Wyobrażam sobie, jak wielkie stada baranów muszą iść pod nóż, żeby cztery piąte osobników płci żeńskiej w naszym kraju mogło się przyodziać w baranie skóry. Każda dziewczyna od piętnastu lat począwszy, każda pani do sześćdziesiątki musi, ale to koniecznie musi wbić się w gruby kudłaty futerał, czyniąc to — jak wiele innych rzeczy — całkowicie bezkrytycznie, bez względu na to co z tego wyjdzie. Większość okożuszonych dziewcząt to szpetne bezkształtne tułuby z głową bez szyi, ginącą w potężnym kołnierzu. Ale nareszcie mamy coś wyłącznie własnego. Gdziekolwiek za granicą zobaczymy na ulicy panią w kożuchu, będzie to na pewno nasza rodaczka. Czy to słoneczny, gorący dzień września, czy pięknie rozkwitający i równie ciepły maj nad Czarnym Morzem — po wszystkich domach towarowych, po wszystkich handlowych ulicach krajów ościennych paradują sylwetki umundurowane jak jedna, ujednolicone, niemal odczłowieczone: tułuby, pachnące z daleka juchtem.

Tajemnicą naszego gospodarskiego geniuszu pozostaje fakt, skąd ludzie biorą pieniądze na takie drogie przecież nabytki. Jak to się dzieje, że w bardzo skromnej rodzinie matka i trzy córeczki noszą na sobie po kilkadziesiąt tysięcy złotych? Jeszcze większą tajemnicą jest, gdzie się te kożuchy kupuje? Przecież w sklepach futrzarskich ich nie ma, a kilkunastu górali pod Nowym Targiem nie nadążyłoby chyba za takim popytem. Faktem jest, że od wielu lat popyt nie słabnie, fason wymaga kożucha, bez kożucha dziecko popada w kompleksy i tak długo wierci tacie dziurę w brzuchu, aż ten ruszy w Polskę, wynajdzie znajomych, wystudiuje ogłoszenia w prasie, nawiąże kontakty z komisami. Jeśli zaś tata nie dopisze to mama rusza jako turystka z tuzinem elektrycznych żelazek i jakoś tam załatwia. Otóż to: kożuchów się nie kupuje, tylko się je załatwia. A załatwiać żeśmy się już nauczyli.

Pośmiać się można, ale przecież kożuszek to naprawdę idealny przyodziewek na nasz klimat, zwłaszcza od kiedy wełniane ubrania i płaszcze zniknęły z obiegu, ustępując miejsca różnym związkom chemicznym. Wkrótce będziemy oznaczać tkaniny wzorami z podręcznika chemii — mnóstwem liter greckich, małych i dużych cyfr. — Mój płaszcz ma wyższą liczbę atomową i lepszą nadkwaśność — powie pan do pana, szczypiąc go ze znawstwem w rękaw. Kożuchy też miewają nadkwaśność, ale barany wiedziały co robią: w tym jest naprawdę ciepło.

A co do ciepła, to mała dygresja w zupełnie inną stronę. Feliks Bąbol publikując w „Głosie Robotniczym" garść swoich wspomnień z niemieckich obozów jeńców wojennych pisze, że „jeńcy kostnieli pod wytartymi kocami z bawełny, a ich część — uciekając od głodu i zimna, przeniosła się na wieś, do pracy na roli". Ci jeńcy — pisze redaktor Bąbol dalej — „wrócili w maju do obozu na skutek kategorycznego żądania postawienia ich przez obozową komisją lekarską", która miała stwierdzić ich niezdolność do pracy.

Wynikałoby z tego, że jeńcy robili co chcieli, „przenosili się" na wieś, a wiosną wracali na odpoczynek do obozu. Mój Boże, tak dobrze nie było. Owszem, przeniosło się na wieś mnóstwo jeńców — tych, którzy podpisali deklarację, że chcą przejść na status robotnika cywilnego. Tych wyłączono spod działania konwencji genewskiej o jeńcach wojennych i do obozów nigdy już nie wrócili. I jeszcze jedno: pisze redaktor Bąbol, że pojawiły się pieniądze obozowe, tak zwany lagergeld, „za które można było kupić znaczki pocztowe na list (ściśle cenzurowany)". Autor miesza chyba jeszcze raz obóz robotników cywilnych z obozem jeńców. Lagergeld był pieniądzem w obozach jenieckich, ale tam nie wolno było pisać listów inaczej niż na specjalnych blankietach. Każdy jeniec dostawał jeden taki blankiet na miesiąc, zapisywał połowę (26 linijek), druga połowa przeznaczona była na odpowiedź z kraju. Znaczków na taki list się nie naklejało — to była słynna Kriegsgefangenenpost. Takie listy możecie dziś kupić na giełdzie staroci jako muzealny dokument tamtych czasów.

Czytam wiele wspomnień wojennych i często mam ochotę prostować spotykane tam nieścisłości. Ale to już inna historia.

ĆWIEK

Z GALERKI

LEON NIEMCZYK

Film Polski bez Niemczyka
Jak kogut bez grzebyka

Rys.: Stanisław Ibis Grabkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

SPORT

KILKUNASTOLETNI MISTRZOWIE

Wróciła znów sprawa Szkoły Mistrzostwa Sportowego im. Mikołaja Kopernika w Krakowie, w której magister Jacek Choynowski trenuje polskich mistrzów w pływaniu. Od dawna zainteresowanie opinii publicznej budzą metody stosowane w tej szkole Mówi się powszechnie, że dobre wyniki, jakie na zawodach uzyskują wychowankowie szkoły są osiągane poprzez nadmierne obciążenia treningowe, które nie wszystkie dzieci wytrzymują. W tym roku krakowską szkołę opuściło 12 uczniów, wracając do normalnego życia. Co więcej — z nauki w szkole, z treningów i w ogóle z kariery sportowej zrezygnowała Katarzyna Jerko — jedna z najlepszych polskich pływaczek, rekordzistka, należąca do kadry olimpijskiej pływaczek. Nie wytrzymała intensywności treningów i wróciła do domu.

Nie wiem, co powiedziałby na to wszystko patron szkoły, ten, co to zatrzymał Ziemię a poruszył Słońce, czyli sam wielce szanowny Mikołaj Kopernik. Na marginesie — nie bardzo rozumiem, dlaczego Jego Wielebność kanonik fromborski musi patronować szkole sportowej, bo jako żywo nie przypominam sobie, aby Mikołaj Kopernik rywalizował w jakiejś sportowej dyscyplinie. A że był to człowiek mądry, więc może nie życzyłby sobie patronować temu, co się w szkole jego imienia dzieje. Czyż nie ma już zasłużonych ludzi sportu, którzy mogliby sportowym przygotowaniom patronować? Ale to inna sprawa.

Sport, dzięki telewizji, zdobywa coraz liczniejszą widownię, budzi coraz większe zainteresowanie. Jest barwnym, interesującym, emocjonującym widowiskiem. Oglądany przez miliony ludzi budzi nie tylko emocje, ale i namiętności oraz ambicje. Każdy chciałby, aby jego reprezentanci wypadli najlepiej. Ale to nie jest takie proste. Rosną wymagania, mnożą się rekordy, stosuje się coraz wymyślniejszy sprzęt i coraz intensywniejsze treningi. Do rywalizacji ze starszymi stają dzieci. Jeśli ktoś chce być mistrzem musi już jako dziecko trenować nieraz ponad siły. W niektórych dyscyplinach światowe rekordy zdobywają dzieci. Aktualna mistrzyni Polski w gimnastyce — Anita Jokielówna ma 13 lat. A nie jest ona wyjątkiem na świecie.

Czy to jest normalne?

Pamiętam, jak z niejakim przerażeniem patrzyłam na mistrzynie olimpijskie wychodzące z wody, które jeszcze nie zdążyły stać się kobietami, a już przestały nimi być. Lekarze zwracają uwagę, że nadmierny trening pływacki powoduje rozwój mięśni, co u dzieci może mieć poważne skutki. Nie tylko zniekształca to sylwetkę, ale też wpływa ujemnie na układ kostny. Zresztą każdy sport uprawiany „zawodowo" ujemnie wpływa na zdrowie. Znane są spory na temat szkodliwości boksu. Piłkarze czy kolarze wolą nie pokazywać swoich nóg ludziom o słabych nerwach. A jakie zmiany psychiczne powoduje sport? Nie wiem, czy nad pytaniem tym zastanawiali się lekarze. Ale w pływaniu, gimnastyce, łyżwiarstwie po mistrzowskie tytuły sięgają dzieci.

Każda matka chciałaby mieć genialne dziecko, nie mam tylko pewności, czy każde dziecko chce być genialnym, czy też o wiele lepiej dla niego byłoby być normalnym dzieckiem. Na ogół tak się dzieje, że z genialnych dzieci wyrastają normalni dorośli, natomiast genialni dorośli wyrastają z normalnych dzieci. We współczesnym sporcie, w pogoni za medalami, za wszelką cenę próbuję się produkować genialne dzieci masowo. Czy to aby słuszne? Czy zastanawiamy się nad moralną stroną takiego postępowania? W krakowskiej szkole mistrzowskiej jest na przykład hasło: „Dla kandydatów na olimpijczyków nie ma wakacji". Czy wolno nam, dorosłym, odbierać komukolwiek wakacje nawet za cenę medalu olimpijskiego? Kto podejmie się odpowiedzieć na to pytanie?

Albo inne hasło: „Brak odporności na ból treningowy wrogiem postępu". Jestem za postępem. W sporcie też. Ale uważam, że czasem warto zapytać o cenę tego postępu. Niech sobie będą szkoły mistrzów sportu. Ale niech sport służy ogólnemu rozwojowi człowieka, a nie prowadzi do wynaturzeń. Pytania o moralną odpowiedzialność w sporcie zadaje się chyba za rzadko.

BOGDA MADEJ

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch" Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sagan. Adres redakcji: ul. A. Mickiewicza 11 kod poczt 90-438. Telefony: 652-44 sekretariat i red naczelny 680 99. 677-70 Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł. kwart 36 zł Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762. Zam. 2591. A-2.

Załącznik nr. 51/.../79

HASŁO NUMERU: Oszczędzaj świece. Idzie zima.

SENSACJE DUŻE I MAŁE

Półtora roku później

EMILCIN. Jan Wolski, który wiosną 1978 roku spotkał „zielonych ludzików" i ich pojazd i był na pokładzie tego pojazdu, gdzie poddany został badaniom, 10 sierpnia 1979 roku „został niedopałkiem". Spaliła się mu chałupa. W gminie obiecali mu pomoc i materiały budowlane, ale materiały te może dostać pod koniec tego roku i na początku 1980. Wolscy mieszkają w stodole, a tu idzie zima. PZU też ich łaskawie nie potraktował, jak to donosi w „Kulturze" Mariusz Ziomecki.

Okazuje się, że nawet sława „przyjaciela ufitów" nie pomaga w załatwianiu spraw powszednich. UFO lata sobie, a życie toczy się swoimi torami.

Czaszka na ścianie

WARSZAWA. Na ścianie jednego z domów osiedla Bernardyńska w Warszawie znany artysta plastyk, Franciszek Starowieyski wywiesił czaszkę na prośbę redakcji „Tylko w Niedzielę". Wywołało to dyskusję. Jednym się czaszka podobała innym — nie. Tych było więcej. Niektórzy przychodzili i prosili: — „Panie Starowieyski, niech pan i u nas coś takiego wywiesi, może już niekoniecznie czaszkę". Czaszka nie podobała się też komuś ważnemu, kto zadzwonił do telewizji i zdjęto czaszkę wcześniej niż to przewidywano. Wszystko wróciło do normy.

Przykład ten pokazuje jak ważne są telefony w naszym życiu.

Nacisnął i...

WEJCHEROWO. Instalator gazu przyszedł do domu przy ulicy Guldeckiego w Wejcherowie i nacisnął guzik elektrycznego dzwonka. Zamiast spodziewanego dźwięku rozległ się ogłuszający huk. Dom zawalił się. Na szczęście ofiar nie było. Instalator i mieszkańcy zawalonego domu odnieśli tylko niewielkie rany oraz przeżyli szok. Okazało się, że iskra elektryczna spowodowała wybuch ulatniającego się gazu. Powołano specjalną komisję, która ustali, dlaczego tak się stało.

A można było wszystkiego uniknąć, gdyby instalator — w końcu specjalista od gazu — był czuły na zapach gazu.

S. Z. PERACZ

Rys. Jan Zieliński

GOSPODARZ DOMU — BOHATEREM

Pewnego listopadowego dnia — w godzinach rannych — dwóch nie znanych nałoletnich zamachowców usiłowało zamachnąć się na zielona tablice u wejścia do domu przy al. Mickiewicza 11.

Czyn ten jednak udaremnił im dozorca (przeoraszamy: gospodarz domu) na którego widok zamachowcy — srodze przestraszeni — zbiegli.

Wywiad jakiego przedstawicielowi naszej redakcji udzielił w związku z tym wydarzenem dzielny gospodarz stał się dobra okazją do podkreślenia doniosłej roli i znaczenia gospodarzy domów w rozwiązywaniu trudnych i skomplikowanych problemów naszej współczesności.

W liście dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi do redakcji „Polityki" na temat odejścia z Teatru Wielkiego jego kierownika artystycznego prof. Bohdana Wodiczki znalazł się cytat z pisemnej rezygnacji jaka władzom miasta złożył wielki dyrygent: „... Uprzejmie komunikuję, iż ze względu na stale pogarszający się stan mego zdrowia jestem zmuszony zrezygnować z zajmowanego stanowiska Dyrektora i Kierownika Artystycznego Teatru Wielkiego w Łodzi z dniem 1 lipca 1979. 1 września 1979 r. przechodzę na emeryturę, ponieważ prawdopodobnie nie będę mógł już więcej dyrygować".

REWANŻ?

Do tej pory wszystko w porządku. Zastanawia jednak, dlaczego w dalszym ciągu listu nazwisko: Wodiczko jest wciąż używane nieodmiennie (Profesorowi Wodiczko, przez prof. Wodiczko itd.). Przecież przejście człowieka w stan spoczynku nie oznacza jeszcze gramatycznej pasywności jego nazwiska. Nazwy własne w języku polskim doskonale odmieniają się przez przypadki o czym w Wydziale Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi chyba zapomniano. List podpisany został przez dyrektora Wydziału dra Macieja Imkowskiego choć wszyscy w Łodzi wiedzą, że nosi on nazwisko Łukowski. Czy to tylko chochlik drukarski, czy też może rewanż „Polityki" za Wodiczkę?

J. D.

RACZEJ: MIŚ

Napisała do nas pani Izabela D. (adres dobrze znany redakcji), że w witrynie sklepu z zabawkami przy ul. Piotrkowskiej wisi napis:

„MISIU TEŻ OSZCZĘDZA"

Mały Słownik Języka Polskiego (PWN 1968) zna tylko wyraz „MIŚ" — jako pieszczotliwą i żartobliwą odmianę groźnego „niedźwiedzia" (zob. s. 395). Natomiast słowem „Misiu" zdarza się nam określać jednego z naszych starych przyjaciół — Michała...

Tym razem przykład oszczędzania (myślenia?) wypadł niezbyt dydaktycznie (jak na sklep odwiedzany głównie przez najmłodszych...).

(t. s.)

SZOŁ-BIZNES

Sytuację w polskiej sztuce estradowej krótko a dobitnie scharakteryzował Marek Orzechowski na łamach „Sztandaru Młodych":

„Cyganie, Grecy, Polomski, Rodowicz, Santor i jeszcze kilka nazwisk — to czołówka, która nie boi się o sprzedaż biletów. Wszyscy pozostali coraz częściej liczą na cud".

A z cudami — jak wiadomo — jest coraz gorzej.

N.N.

ZAGADKA FILMOWA

Wytwórnia Filmów Fabularnych w Łodzi zamieściła ogłoszenie następującej treści:

„Wytwórnia Filmów Fabularnych w Łodzi, ulica Łąkowa 29 zakupi od osób prywatnych

Z ZAKRESU RENESANSU:

— KOPIE MONET — kopie przedmiotów ze szkła, metalu, majoliki dla potrzeb filmu „Królowa Bona",
— oraz CYLINDRY I MELONIKI dla potrzeb filmu „Polonia Restituta"."

Czytelnicy „Załącznika" mają odpowiedzieć na pytanie:

— czy osoby są z zakresu Renesansu, czy w okresie Renesansu noszono meloniki i cylindry?

Za prawidłowe odpowiedzi nagrody nie będą przyznawane.

N. N.

HISTORYCZNY REWOLWER

Klasyczne zasady dramaturgii nakazują, że jak w pierwszym akcie pojawia się dubeltówka, to w trzecim powinna wystrzelić. Akademia ruchu wprowadziła nowe zasady. W spektaklu „Życie codzienne po Wielkiej Rewolucji Francuskiej", aktor czterokrotnie brał do ręki rewolwer, ale ani razu z niego nie wystrzelił. Na zdjęciu prezentujemy ów historyczny rewolwer.

Foto. R. Łucyszyn

Z GALERII „CZARNEGO KABARETU"

REFERENT

„CZARNY KABARET"
Scena dla Dorosłych. PTL „Pinokio" — „Czarny kabaret" M. Wolskiego i A. Zaorskiego. Proj. plast. — Jerzy Kalina.

Foto: Andrzej Tworkiewicz

JUBILEUSZ W TEATRZE NOWYM

Nie milknącymi oklaskami uczciła publiczność łódzka jubileusz trzydziestolecia Teatru Nowego, który na „galowym" przedstawieniu pokazał sztukę Wincentego Rapackiego „Bogusławski" w reżyserii Wojciecha Pilarskiego. Oklaski nie ustawały, dopóki na proscenium nie ukazał się wieloletni dyrektor Teatru Nowego — Kazimierz Dejmek, który w ciepłych słowach podziękował za uznanie widowni. Szereg braw zebrał także białożółty pies, który wyraźnie łasił się do dyrektora. Wszystkim, którzy zastanawiali się, jaki ma związek pies z sukcesami Teatru Nowego dedykujemy następujący kuplet, pochodzący już nie ze sztuki Rapackiego:

Wszystkim niezorientowanym
Tajemnicę zdradzę.
Gdzie jest pies pogrzebany?
W talencie. I odwadze.

K.F.

JAKI TEATR?

Z okazji niedawnej wizyty TEATRU NOWEGO w Rzeszowie tamtejsze „Nowiny Rzeszowskie" doniosły, że z Łodzi przyjechał... TEATR NARODOWY.

Po jubileuszowej premierze — „BOGUSŁAWSKIEGO" — w tym teatrze, wypada nam tylko pogratulować kolegom z Rzeszowa niebywałego refleksu.

(Sol.)

KREWKA STARUSZKA

W Tomaszowie Mazowieckim rozegrał się przed sądem epilog niecodziennej sprawy. Jej bohaterką jest 50-letnia staruszka, która nie chciała zgodzić się na przeprowadzenie nakazanej wyrokiem sądu egzekucji. Pobiła komornika, trzech milicjantów, nie zgłosiła się na wezwanie milicji i pobiła kolejnego milicjanta, który poszedł doręczyć jej następne wezwanie do stawienia się na milicji.

Sąd skazał krewką staruszkę na 2 lata pozbawienia wolności z zawieszeniem wykonania kary na 4 lata oraz wymierzył jej grzywnę w wysokości 20 tysięcy złotych.

Wyrok ten powinien wzbudzić wielkie zdziwienie. Kto bowiem wyegzekwuje od krewkiej staruszki kolejną należność, jeśli egzekucja dotychczasowej zaprowadziła ją na ławę oskarżonych? Oczekujemy zatem następnego doniesienia z Tomaszowa Mazowieckie o, którego bohaterką będzie krewka staruszka. Pytanie, ilu milicjantów pobije ona teraz?

Zyg.

TOWAR NIEPEŁNOWARTOŚCIOWY

W Pabianicach narodziło się pytanie z typu zasadniczych. Klientka tamtejszego Spółdzielczego Domu Handlowego kupiła dwa termosy przecenione. Jeden za 15 zł, drugi — za 5 zł. Oba termosy traktowane były jako towar niepełnowartościowy.

W domu klientka pabianickiego SDH przekonała się, że oba termosy nie trzymają ciepła. Pobiegła do SDH i poprosiła o zwrot pieniędzy. Dowiedziała się wtedy, że za towary niepełnowartościowe pieniędzy się nie zwraca oraz, że od towaru kupionego za 15 czy 5 złotych wiele nie można oczekiwać.

Klientka pabianickiego SDH chodzi po Pabianicach i pyta: jaka jest różnica między towarem niepełnowartościowym a pospolitym bublem który już się do niczego nie nadaje? Jak do tej pory nie otrzymała odpowiedzi. Nawet „Życie Pabianic" nie podjęło się tego trudu.

A może należałoby pytać o granice ludzkiej naiwności i cwaniactwa?

Zyg.

KONRAD FREJDLICH

FRASZKI SPORTOWE

BOBSLEISTA

Chodzi pogięty.
Za ostro brał zakręty.

SZERMIERZ

By nie splamić jej zdradą
Sypia ze swą szpadą.

NASTĘPCA W. TBELLA

Naśladował Tbella.
I odtąd nie strzela.

SKOCZEK

Nie za swoje winy
Skacze z trampoliny.

SPÓR

Ostry spór powstał między Bogdanem Maciejewskim ze „Sztandaru Młodych" a „Kroniką" ukazującą się w Bielsku-Białej. Przedmiotem sporu stał się album fotograficzny poświęcony Fabryce Samochodów Małolitrażowych i jej produktowi. Zdaniem Bogdana Maciejewskiego „album o maluchu ma walory wyłącznie dekoracyjno-upominkowe i jest rodzajem zboczenia edytorskiego w sytuacji ostrego deficytu papierowego". Zdaniem „Kroniki" jest to niewątpliwe arcydzieło, na które z zapartym tchem oczekują miłośnicy malucha. Głównie ci którzy jeszcze nań oczekują w kolejce i mogą sobie oglądać album zamiast jeździć samochodem.

W tym sporze jesteśmy po stronie Bogdana Maciejewskiego. A swoją drogą marzą się nam też spory o sprawy trochę ważniejsze. I aby w tych sporach używano argumentów a nie epitetów, jak to zademonstrowała „Kronika".

S. P.